R
G
B
WH
GR
BL
Grey Scale #13
C
M
Y
K
DANES PICTA .COM
M
B


Colour Chart #13
Inches
Centimetres
Blue
Cyan
Green
Yellow
Red
Magenta
White
3/Color
Black
DANES PICTA .COM

# OBLĘŻENIE PARYŻA.

FRANCISZEK SARCEY.

# OBLĘŻENIE PARYŻA.

PODŁUG ÓSMÉJ EDYCYI FRANCUZKIEJ

PRZEŁOŻYŁ

FILIP SULIMIERSKI.

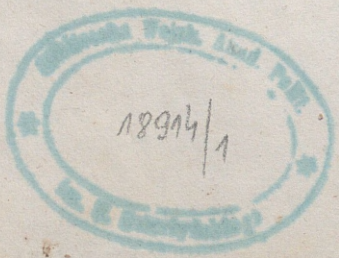
WARSZAWA.
NAKŁADEM I DRUKIEM JÓZEFA UNGRA,
przy ulicy Nowolipki Nr. 2406 (3).

1871.

9(44)

Дозволено Цензурою.

*Варшава, 23 Апрѣля (5 Мая) 1871 г.*



# ROZDZIAŁ PIĘRWSZY.

## Przed oblężeniem.

### I.

Dnia 19 lipca 1870 r. wojna Prusom została wypowiedziana.

Przypominam sobie, że dnia 22 czy 23 tegoż miesiąca, kiedy obiadowałem w towarzystwie dobraném i liczném, a rozmowa wpadła na tor rozpoczętej kampanii — o niczém inném podówczas nie rozmawiano—jeden ze spółbiesiadników, który ciągle przysłuchiwał się w milczeniu naszym świetnym nadziejom powodzenia, odezwał się do nas poważnie:

— Znam ja dobrze Niemcy, moi panowie; mieszkałem tam lat wiele; znam ich siły i nasze. Zaręczam wam, że nie upłyną dwa miesiące, a Pru-

sacy z bronią w ręku staną pod murami Paryża.

Powstał jednomyślny okrzyk oburzenia na proroka! Mówiono mu otwarcie, że jest złym Francuzem, Prusakiem, zdrajcą, szpiegiem Bismarka! Ludzie usposobieni do śmiechu zakrzyczeli go na piękne, a co gorsza nie widzieli w jego zdaniu nic więcéj prócz paradoksu wesołego bulwarowca. Bo téż w istocie podówczas, myśl że Paryż może być kiedykolwiek oblężony, ta myśl dziwna, nieprawdopodobna, niemożebna, nikomu z téj strony Renu nie przyszła do głowy. Naprożno nasze fortyfikacye przypominały nam codziennie jak była poważną ta ewentualność; ten długi szereg murów, gęstą trawą porosłych, przywykliśmy byli uważać jedynie za miejsce przechadzki, urozmaicające obwód naszéj stolicy; a skromne bastyony ze swojemi nieszkodliwemi działami, sprawiały na nas wrażenie tych dzielnych gwardzistów narodowych, którzy utrzymywali z nienabitą bronią straż na placu Vendôme. A przytém, Paryż! byłoto dla nas miasto święte, stolica cywilizacyi; dotknąć go byłoby świętokradztwem; czyż można przypuścić, ażeby którykolwiek naród ośmielił się popełnić je?

Ah! Berlin! to co innego! Zdawało się nam rzeczą bardzo naturalną wejść do Berlina po trzech lub cztérech wielkich zwycięztwach, przy

odgłosie bębnów i z rozwiniętemi sztandarami. P. de Girardin napisał w jednym artykule, który był sławnym przynajmniéj przez tydzień, że musimy kolbami zagnać tych Wandalów napowrót do Berlina. Wyrażał on tym sposobem, w żywéj dziennikarskiéj formie, myśl czysto paryzką. Nie powiem, ażeby wojna od samego zawiązku swego była u nas zbyt popularną, ale ponieważ wiedziano, że prędzéj czy późniéj jest nieuniknioną, szybko nastąpiła rezygnacya:

— Lepiéj zaraz, mówili jedni drugim.

Pośpiech rządu natchnął umysły otuchą. Widząc jak błahy pozór doprowadził rzeczy do ostateczności, mniemano, że rząd czuł się stanowczo przygotowanym, że cała sprawa pójdzie żwawo i że przed zimą jeszcze będziemy w Berlinie.

— Do Berlina! do Berlina!

Takim okrzykiem witano pułki przechodzące przez Paryż do Alzacyi. I towarzysząc im do dworca kolei śpiéwano *Marsyliankę*, *Mourir pour la Patrie*, *La victoire en chantant nous ouvre la barrière*, *La casquette au père Bugeaud*, i wszelkie znane śpiéwy patryotyczne.

Czy w tém wszystkiém była dobra wiara? Czy rzeczywiście wojna była tak ogólnie upragnioną, że o niéj tylko myślano? Jest to punkt jeszcze niedostatecznie wyjaśniony. Zdaje się, że skoro

już raz rzucono rękawicę, massy ludności, niewiele się namyślając, poczuły owo uniesienie wojownicze, które stanowi podstawę charakteru każdego dobrego Francuza. U nas ludzie są chętni do zbiérania wawrzynów, a przykład kilku wojen ostatnich, kończonych zwykle dość szybko i dość pomyślnie, utwierdzał wszystkich w przekonaniu o naszéj militarnéj wyższości. Nasza armia niezwyciężona! nasi dzielni żołnierze! nasi dawni jenerałowie afrykańscy! Tylko o tém można było słyszéć rozmowy na bulwarach i ulicach. Nie znalazłeś mieszczanina, chociażby usposobionego jaknajwięcéj pokojowo, któregoby nie było czuć prochem. Niektórzy zaopatrywali się już w chorągwie i lampiony.

W teatrach jak gdyby rzecz z góry była ułożona. Zaledwie kurtyna ostatni raz zapadła, dwadzieścia, trzydzieści, sto głosów całą piersią wołało: *Marsylianka!* Administracya, która spodziewała się codziennie téj manifestacyi zapału, wszystko miała zwykle w pogotowiu. Podnoszono zasłonę i jeden z artystów intonował hymn patryotyczny. Przy piérwszéj zaraz strofce jeden z widzów wołał: „*Wstać z miejsc!*" i cała sala podnosiła się jak jeden człowiek wtórując chórem artyście. Piérwszy raz taka ceremonia zdarzyła się w *Operze*, a byłoto coś istotnie pysznego. W trzecim

akcie *Niemėj*, ktorą wówczas grano, po rozpalającéj ducha aryi „*Amour sacré...*" cały teatr jedną piersią zażądał *Marsylianki*. Pani Marya Sass zaczęła śpiéwać. „*Debout*" ozwał się silny, dźwięczny głos, a byłto głos Girardina. Publiczność jak za uderzeniem iskry elektrycznéj zerwała się z miejsca i nieopisane wrażenie ogarnęło wszystkich. Wielu mężczyzn płakało, wszyscy byli łez blizcy.

Prawdę powiedziawszy, nie byłoto objawienie opinii; te tłumy nie miały jeszcze ustalonego zdania. Byłto raczéj wylew uczucia: uczucia nieokréślonego, w którém mieścił się i wojowniczy szowinizm i naiwna łatwowierność. Mała garstka ludzi zachowała zimną krew; ci tylko mogli obrachowywać, znając zasoby dwóch narodów, szanse téj wojny tak lekkomyślnie wypowiedzianéj, i pośród ogólnego entuzyazmu, nierozjaśniali czoła, tając w duszy przewidywania, których nie śmieli wyjawić z obawy ukamienowania. Znałem osobiście niektórych z nich, a może było ich i więcéj niż mi się naówczas zdawało. Ukrywali się atoli, zarówno przez osobistą ostrożność jak i przez konieczność patryotyzmu. Lecz można być pewnym, że w owéj epoce stanowili znakomitą, niedostrzegalną prawie mniejszość w masie ludności. Publiczność francuzka, w któréj odgłos bębna głuszy najrozsądniejsze myśli, skłaniała się raczéj

na stronę *blouses blanches*, którym policya płaciła za to, by krzykiem i śpiewem, na ulicach i w umysłach, podtrzymywali wojowniczą agitacyą.

## II.

Ten dreszcz wojenny bezustannie wzrastał od 19 lipca aż do piérwszych dni sierpnia. Przyłączyła się nawet do niego pewna niecierpliwość nerwowa, któréj nie mogły utrzymać w karbach rozsądne uwagi dzienników.

— Cóż to! pytano, wojna wypowiedziana już od dwóch tygodni, a my nie jesteśmy jeszcze nawet w Moguncyi! Co sobie myślą nasi afrykańscy jenerałowie, nasze dzielne wojsko, nasza armia niezwyciężona! Niewarto było kupować mappy, szpilki z chorągiewkami!

Dla Paryżan jestto zwykły sposób brania udziału w trudach wojennych. Kupują mappę — ah, ileż ich sprzedano w ciągu tych dwóch tygodni! ma się rozumiéć mappy Niemiec—innych nie było!— i uzbroiwszy się w długie szpilki, mające zaznaczać pozycye armij nieprzyjaznych, posuwają je to w tę, to w ową stronę. Nic ich nie zatrzyma w wykonywaniu raz powziętych planów. Przebywają oni rzeki, góry, opanowują twierdze

z zadziwiającą szybkością. Dosyć utkwić szpilkę i oto chorągiew trójkolorowa powiewa nad Trewirem, Moguncyą, Kolonią. Niewięcéj kosztowałoby zachodu umieszczenie jéj na murach Berlina!

Ten sposób prowadzenia wojny na mappie tak jest łatwy, że w fałszywém świetle zwykle przedstawia paryzkiemu mieszczaninowi trudy życia wojskowego i militarnych operacyj. Nie mógł też Paryżanin miéć jasnego pojęcia o czasie jakiego było trzeba, aby skoncentrować 300,000 ludzi i rzucić się z nimi na Niemcy. W piérwszych dniach sierpnia aż się najeżał ze złości, że nie wygrano dotąd choć jednéj wielkiéj bitwy. Ah! gdyby on był wiedział co się działo! gdyby był znał straszny nieład tych wojsk, źle kierowanych, źle żywionych, niedostatecznie uzbrojonych i do tego cierpiących oddawna niebezpieczną chorobę niesubordynacyi i niewiary w swego wodza! Nie zbywało wojsku na reporterach, którzyby mogli śmiało wypowiedziéć prawdę, ale odsuwano ich starannie od sztabów wojskowych; zresztą i oni sami nie śmieli wierzyć własnym oczom i zrywać z przesądném uszanowaniem, jakie każdy Francuz ma zawsze dla munduru i chorągwi; ci nawet którzy posiadali dosyć zimnéj krwi, aby jasno patrzéć na rzeczy, mieli pewien skrupuł zdradzać zarówno przed nieprzyjacielem jak przed swoimi ta-

jemnicę rzeczywistéj naszéj słabości. Bujaliśmy więc w pełnych marzeń nadziejach, a wiadomość o piérwszém powodzeniu pod Saarbrücken utwierdziła nas tylko w dobrém o sobie wyobrażeniu. Bawiono się trochę wieścią, jaką sławna odtąd wiadomość telegraficzna podawała o domniemanym następcy tronu; cesarz uwiadamiał żonę, że mały *Louis* podniósł kulę, która mu padła pod nogi, a żołnierze widząc to płakali z rozrzewnienia; odtąd małego Ludwika nie nazywano w Paryżu inaczéj tylko: *enfant de la balle.* Podówczas śmiano się jeszcze i bawiono błyskotliwym słów dowcipem.

We dwa dni późniéj rozeszła się wieść o wielkiém zwycięztwie: było to w sobotę, pięknego dnia letniego. Nigdy nie widziałem, i nie zobaczę już chyba nic podobnego. Tłum uniesiony radością biegał w obłędzie, sam nie wiedząc gdzie i po co. Ściskano się za ręce, całowano, płacząc z radości, nawet nie znając się między sobą. Na placu *Giełdy* lud zgromadził się tłumnie, podrzucano do góry kapelusze i krzyczano z całych sił. Nagle ktoś poznał panią Gueymard w odkrytym powozie, i zawołano na nią by zaśpiéwała *Marsyliankę.* Uprzejma śpiéwaczka zaintonowała hymn narodowy silnym swym głosem, a pięćdziesiąt tysięcy ludzi zawtórowało chórem. Wszystkie domy tego dnia naraz, jakby pod zaczarowaną laską,

przyozdobiły się chorągwiami; słowem wyobraźcie sobie najhałaśliwsze demonstracye i objawy radości graniczącéj z szałem.

W godzinę potém, zaczęto rozpuszczać pogłoskę, że wiadomość ta była fałszywą; lotem błyskawicy rozniosła się ona z jednego końca miasta na drugi. Lud rzucił się do ministeryum, do redakcyj dzienników, słowem wszędzie gdzie można było zasięgnąć pewnych objaśnień. Trzeba było niestety poznać smutną prawdę, że to mniemane zwycięztwo było tylko mistyfikacyą Bismarka, który chciał prawdopodobnie wystawić na próbę łatwowierność Paryżan. Nadzwyczajna radość zamieniła się nagle w oburzenie trudne do opisania. Lud byłby podusił ministrów, gdyby ich dostał w swe ręce. Zawód był zbyt silny, wybuch radości zamienił się w wściekłość, która wkrótce przybrała cechę blagi, na czém zwykle wszystko kończy się w Paryżu. Nazajutrz każdy się wypiérał tego, że wierzył takiéj olbrzymiéj kaczce. Na bulwarach każdy utrzymywał, że jego nie oszukano... że on był pewnym fałszu téj nowiny... gdzie téż to miłość własna się nie przyczepi!

Zatrzymałem się przez chwilę na tym epizodzie dlatego, że wówczasto po raz piérwszy nadarzyła się dla spostrzegacza dobra sposobność ocenienia téj ludności paryzkiéj: jak ona jest sko-

rą do nagłych uniesień, jak jest łatwowierną, ślepą, namiętną, i jak mało można liczyć na jéj rozsądek i rozwagę! Wszystko co robi, robi tylko przez kaprys i pływa nieustannie jak okręt bez steru na wzburzoném morzu, od jednéj ostateczności do drugiéj; od całkiem nieusprawiedliwionéj pewności, do najgłębszéj niewiary. Po téj krótkiéj chwili, w któréj Paryż, jak gdyby rozjaśnił się szaloną radością, wszystko popadło w najokropniejszą apatyą. Wyznaję, że to zdarzenie, które nie miało dalszych następstw, wcale nie dało mi dobrego wyobrażenia o sile oporu, jakąby kiedykolwiek taki lud mógł przeciwstawić nieszczęściu.

Lecz nie przewidywałem bynajmniéj tych wszystkich nieszczęść, jakie miały spaść na nas tak szybko jedne po drugich. Jenerał Douay zwyciężony i zabity dnia 4 pod Wissemburgiem, a w dwa dni potém, owa opłakana porażka Mac-Mahona, całkiem rozbitego pod Wörth, Freischwiller i Reichschoffen. Przez wyrąbany otwór potok niemieckiéj armii rzucił się w głąb Francyi. Nie można było się łudzić: był to najazd.

Tego dnia poraz piérwszy Paryżanie ujrzeli przed oczyma widmo oblężenia miasta. Nie wiedzieli oni prawie nic o rzeczywistym stanie rzeczy, prawda dochodziła do nich wówczas nad-

zwyczaj fałszowaną; nie przypuszczali, aby za tą trzechkroćstotysięczną armią, która napadła na Francyą, postępowały nowe setki tysięcy, a wkrótce prawie cała męzka ludność Germanii. Mieli jednakże cóś w rodzaju wizyi nieszczęścia, jakie ich czekało.

Zajęli się też odrazu środkami, jakie trzeba było przedsięwziąć, a mianowicie pomyśleli o wzmocnieniu fortyfikacyj i o natychmiastowém wypędzeniu Niemców, mieszkających stale w Paryżu. Lecz była to tylko myśl. Ekonomiści naukowo dowiedli, że byłoby wielkim błędem wypędzać Niemców z Paryża. Któżby zamiatał ulice? kto robił buty? kto załatwiał sprawy finansowe? Poczciwcy to zresztą byli ci piwosze, przemyślni, porządni; pracując dla siebie i nas zbogacali, więc pozbywać się ich, byłoby wielkim błędem przeciwko zasadom wiekopomnego Say'a. Tak rozumował wpływowy członek Instytutu pan Chevalier, senator, apostoł wolnego handlu i anioł wiecznego pokoju; lecz naturalna niedbałość Paryżan, jeszcze większą tu odegrała rolę, niż te uczone wywody. Taka to już nasza natura: krzyczymy zwykle jak opętani na nadużycie, jakie nas dotyka, a wieczorem idziemy sobie wesoło do teatru. Zapomniano wkrótce o współrodakach

Biblioteka Wojsk. Akad. Polit.

Bismarka. Prawda że nie na długo, i że niebawem przyszła na nich koléj.

Nie dłużéj téż trwało zajęcie się fortyfikacyami. Dziennikarze pisali mnóstwo artykułów, by dowieść, że Paryż nie może być nigdy oblężony przez armią mniejszą niż półtora miliona ludzi— milion dwakroć przynajmniéj—że miejsce obronne, które może zaopatrywać się w żywność i zachować kommunikacyą z resztą świata, jest nie do zdobycia, chyba szturmem. Co zaś do szturmu, od czegóż my-byśmy byli!.. Obliczano pomocnicze siły i rozpisywano się o walecznéj armii cztérystu tysięcy gwardzistów narodowych, którzy wyjdą z pod ziemi jak tylko nasi wodzowie zawołają.

— Ah! niech przyjdą! zobaczą.....

I bawiliśmy się temi mamidłami, które podówczas wszyscy uważali za rzeczywistość. Lecz uczucie jeszcze łatwiéj przekonywało nas, niż wszystkie specyalistów dowody. Nie dopytywaliśmy się tak bardzo o to, czy wiele można było liczyć na owe fortyfikacye, tak silne podług ich zdania. Opiéraliśmy się ciągle na téj myśli, upartéj i głębokiéj jak każda myśl z góry powzięta, że niepodobna było, aby wróg dotarł aż do Paryża, aby go miał obledz i bombardować. Coś podobnego, nie mogło się nam pomieścić w głowie.

Chyba święta ziemia ojczysta rozwarłaby się przecie i pochłonęła armją, którąby się chciała dopuścić tego strasznego świętokradztwa!

Są ludy, których wyobraźnia, z natury smutna, bywa przepełnianą mnóstwem czarnych widm. Paryżanie, przeciwnie, mają umysł zawsze gotów przyjąć wszystko, co jasne, co szczęśliwe. Nigdy oni nie patrzą w oczy rzeczywistości, która się im nie podoba. Podobni są do strusia, co schowawszy głowę między kamienie, nie chce patrzéć na mierzącego doń myśliwca. Nasycają się do zbytku miłemi przypuszczeniami, i chętnie odwracają oczy od nieszczęść, których już nie mogą ukryć przed sobą.

Prasa jak gdyby uwzięła się na podawanie kłamstw, schlebiających narodowéj próżności. Nie można już było taić powodzeń armii niemieckiéj i jéj ciągłych zwycięztw. Starano się zatém usprawiedliwiać porażki za pomocą gotowych wymówek, aby w naszych własnych oczach ocalić zadraśniętą miłość własną. Te porażki były chlubniejsze niż zwycięztwa, a o bitwie pod Wörth mówiono, że była to klęska pełna tryumfu. Wychwalano pod niebiosa cofanie się naszych wojsk i heroizm żołnierzy.

Pewnego dnia Edmund About z całą naiwnością opisał to, co widział po bitwie pod Reichshof-

fen: jak wojska Mac-Mahona były w zupełnéj rozsypce, żuawi rzucali broń, upijali się i grabili, a jenerałowie tracili głowę, ustępując wrogowi bez wystrzału sto mil kwadratowych gruntu, chociaż pięciuset ludzi gotowych na wszystko, byłoby mogło bronić przejścia całéj armii. Opis ten wzbudził jednomyślny krzyk przeciw nieszczęśliwemu felietoniście. Nazywano go Prusakiem. Są prawdy, których się nie godzi mówić, a odkrywanie ich przed Europą, to zdrada. Zresztą wszystko co napisał było kłamstwem; nie dobrze widział, przesadzał. Jak tu przypuścić, ażeby bohaterowie z pod Almy, Magenty, Solferino, haniebnie uciekali przed Pandurami?....

Pandury! nazywaliśmy ich Pandurami, Hunnami, Wandalami, obrzucaliśmy ich całym zapasem obelg, jakiego historya dostarcza; w dobréj wierze, niestety! jakże mało było pomiędzy nami takich, którzy byli w stanie zdać sobie sprawę z postępów, jakich te potulne i małe Prusy dokonały nietylko w robieniu bronią, lecz także i w naukach, sztukach, które są chlubą pokoju! Macaulay, roztropny i bystry spostrzegacz, jeszcze w roku 1843 powiedział, że monarchia pruska, najmłodsza z wielkich państw europejskich, tak ilością swojéj ludności, jako i dochodów, stawiana na piątém dopiero miejscu, właściwie mówiąc zajmo-

wała po Anglii drugie miejsce pod względem gruntownego wykształcenia, zamiłowania w pracy i zdolności do wszelkiego rodzaju nauk.

O nas ani wspomniał. Był w błędzie, niezawodnie, może umyślnym, nie lubił nas bowiem, jako Anglik, a nienawiść zwykle w błąd wprowadza. Ah! jakżebyśmy się byli zadziwili, gdyby nam objawiono ten sąd człowieka, uchodzącego za jeden z najbezstronniejszych i najgłębszych umysłów Europy! My, *la grande nation*, na trzeciém miejscu! my, którym się zdawało, że cały świat patrzy na nas, dlatego, że cała kosmopolityczna arystokracya ubierała się w Paryżu i śpiéwała nasze piosenki. Dużo jeszcze przejść musieliśmy nieszczęść, zanim z boleścią serca konieczność zmusiła nas do uznania tak smutnych prawd. A zresztą czyż to znowu tak niezaprzeczone prawdy, jak sądził p. Macaulay!

## III.

Gdy minęły piérwsze chwile osłupienia, Paryż, przy wrodzonéj sprężystości swojego optymizmu, znowu zapłonął nadzieją. W jednéj chwili upadło ministeryum Ollivier'a, a na czele rządu stanął jenerał Montauban, hr. de Palikao. Był to

stary lis szczwany, który wiedział dobrze, iż nas oszukiwać można. I śmiem twierdzić, że wszystkich nas zwiódł potrosze. Wiedział doskonale jaki zły skutek wywarły na paryzkiéj ludności przechwałki upadłego rządu i z nieopisaną zręcznością przybrał system zupełnie odwrotny Codzień po sessyi parlamentarnéj brał na stronę dwóch lub trzech bardziéj zaufanych przyjaciół i szeptał im do ucha zagadkowe słowa:

— Gdyby Paryż wiedział to co ja wiem, urządziłby dziś wieczorem illuminacyą...

Sza! dodawał jeszcze kładąc palec na usta.

— Sza! powtarzał wieczorem cały Paryż od bulwarów Montmartre aż do Chaussée d'Antin.

A kiedy który z członków lewicy, zniecierpliwiony tém milczeniem, ośmielił się interpelować w Izbie o wiadomości bardziéj stanowcze:

— Nie mogę nic powiedzieć, odpowiadał minister, ale wszystko idzie dobrze.

Jeśli zaś nacierano nań silniéj:

— Mam pilne zajęcie, dodawał, muszę się oddalić...

Albo:

— Nie mogę mówić więcéj: od dwudziestu lat mam w piersiach kulę, która mi oddech tamuje.

I unoszono się nad temi żołnierskiemi odpowiedziami:

— Co za człowiek! od lat trzydziestu ma kulę w piersiach!

Dzienniki nie zachowywały takiego jak Palikao milczenia. Każdego rana uliczne kioski rozrzucały po Paryżu seciny fantastycznych opowiadań, które utrzymywały Paryżan w ciągłéj gorączce i w paradnym humorze. Jednego dnia opisywano jak dziesięć pułków pruskich, napędzonych nad strome łomy kamienne, wpadło naraz w przepaść i 20,000 ludzi, przytłoczonych własnym ciężarem, w męczarniach postradało życie! Nazajutrz opowiadano jak kilku zołnierzy francuzkich udało że piorą bieliznę w sadzawce, a cała armia nieprzyjacielska otoczyła ich, gdy tymczasem Bazaine wpadł na nią z boku i zniósł do szczętu.

Obliczano ilu też Prusaków zginęło od początku wojny: rachowano setki tysięcy trupów. Nigdy Grecy, ci Gaskończycy świata starożytnego, opowiadając o klęskach Kserksesa, nie dopuścili się takiéj strasznéj rzezi na Persach.

Paryż pożerał takie nowiny. Jeden z moich przyjaciół, człowiek rozsądny, tylko cokolwiek sceptyk, miał przywiléj wymyślania niesłychanych, niepodobnych do prawdy zdarzeń, i cieszył się patrząc jak je chętnie przyjmowała publika łatwowierna. Puścił w obieg z półtuzina takich opowieści, a kiedy jednego dnia wysłuchałem cierpliwie

jak z najpoważniejszą w świecie miną mówił cóś podobnego i w końcu spytałem się go na uboczu dlaczego to robi, odpowiedział:

— Przez filantropią, przyjacielu. Ci ludzie zasną pośród najprzyjemniejszych marzeń, będą potém mieli złote sny i aż do jutra uszczęśliwiłem ich. Czyż to nic nie warto?

Co mię zadziwia, to okoliczność, że wystawiał paryzką łatwowierność na najsilniejsze próby, wystawiał ją ze dwadzieścia razy i nigdy jéj nie zmęczył. Pewnego wieczora, kiedy posunął się może trochę zadaleko, jeden z jego słuchaczy zbliżył się do mnie i wyrzekł z pewnym żalem:

— Wiem, że w tém wszystkiém co on opowiada nie ma ani słówka prawdy; ale to nic nie szkodzi; zawsze to przyjemnie!

Zawsze to przyjemnie! Tak, oto rozwiązanie zagadki. Gorzkiéj prawdzie przykro spojrzéć w oczy, a rozkosznie kołysać się illuzyami, które wléwają pociechę do serca! Jednakże niektóre szczere głosy zalecały ostrożność. Sądzę nawet, że i u ludzi najprzystępniejszych dla świetnéj nadziei można było znaléźć w głębi duszy jakąś nieokréśloną trwogę, która z każdym dniem stawała się żywszą.

Rozbiegła się pogłoska, że Bazaine został zamknięty w Metz, gdzie go Niemcy oblegają. Jeżelić

nowiny jakie nas dochodziły jedna za drugą od lotaryngskiéj granicy były prawdziwe, nie siedziałby tam przecie dobrowolnie, bezczynny, zamiast dążyć ku Paryżowi. Posyłano pułki za pułkami do Mac-Mahona, który w Châlons zajmował się zbieraniem nowéj armii. Lecz ta armia, złożona z cząstek i kawałków, w któréj paryzcy mobiliści najliczniejszą stanowili rubrykę, niewielkie wzbudzała zaufanie. Widzieliśmy jak wychodzili z Paryża ci mobile, których lud w zwykłém swojém narzeczu nazywał *moblots*, a mina ich wcale nie była zdolną obudzić wiary w ich karność i odwagę. Przechodzili oni przez Paryż, bez ładu, śpiéwając, wielu było pijanych, jedni jechali w dorożkach, inni na prostych wozach lub szli pieszo, ani śladu porządku, różnicy w stopniach!

Jak tylko stanęli w Châlons, zaraz rozszerzyły się po kraju wieści o ich wybrykach i szaleństwach. Po Paryżu obiegały najsmutniejsze pogłoski: jednego razu mobile podpalili obóz, inną razą odpowiedzieli krzykiem buntu jenerałowi, który mówił do nich o ojczyznie i o honorze. Nowiny te, już same przez się bolesne, rosły przechodząc z ust do ust. Jak się tu oprzéć z takiém wojskiem armii wyćwiczonéj i zwycięzkiéj?

Co godzina prawie dowiadywaliśmy się o coraz dalszém wkraczaniu téj armii wgłąb' wscho-

dnich prowincyj. Miasta jedne po drugich wpadały im w ręce, same otwierały swoje bramy; jedno wielkie miasto drżało przed cztérema ułanami, którzy wzywali je do poddania się. Tych cztérech ułanów wszędzie widziano, wszędzie jednocześnie, a za zbliżeniem się ich następowało ogólne *sauve qui peut.* Twierdze Lotaryngii i Alzacyi dobrze się trzymały w obec téj powodzi, która wszystko zalewała i uderzała o ich mury; ale wróg, pozostawiwszy tu i owdzie parę dywizyj dla prowadzenia oblężenia, forsownym marszem postępował ciągle naprzód; czoła jego szyków groziły już Szampanii. Niepodobna już było łudzić się daléj. Za tydzień, przypuśćmy za dwa, książę następca tronu, może stanąć ze swoim zwycięzkim korpusem na równinie Gennevilliers.

Już po raz drugi Paryż poważnie zastanowił się nad oblężeniem, widząc je tak blizkiém. Nie zajął się niém jednakże tak szczerze, jakby właściwie nakazywały okoliczności. Czegóż się jeszcze spodziéwał? Na co czekał? Nie wiem, ale i on sam zapewne nie umiałby na to odpowiedzieć. Czekał ciągle na jakiś nieprzewidziany wypadek, na cud, jedném słowem na cóś.

## IV.

To „cóś" nadeszło wreszcie.

Dowiedziano się, że armia Mac-Mahona, zamiast tamować drogę Niemcom lub podążać ku stolicy, aby stoczyć walną bitwę pod jéj murami, myślała o posunięciu się ku północy, według wszelkich pozorów dlatego, żeby przyjść w pomoc Bazainéowi, którego pragnęła zdeblokować.

Nie chcę osądzać tego ruchu strategicznego, który okazał się dla nas tak zgubnym w swoich następstwach. Nie wiem, czy w razie przyśpieszenia mógłby się był powieść. Nie znam się tak dalece na militarnych działaniach, a zresztą pragnę tu tylko malować wpływ tych wielkich wypadków na ludność paryzką.

Zdaje mi się, że się nie omylę gdy powiem, iż na tę wieść wszystkie piersi swobodniéj odetchnęły. Specyaliści i uczeni politycy byli może zdumieni dowiedziawszy się o tym planie; powiadają nawet że Thiers rzucił się hrabiemu Palikao do nóg, błagając by dał rozkaz przeciwny. Ja ograniczam się tylko na wrażeniach, okazywanych przez ogół: ogół nie posiadał się z radości. Niebezpieczeństwo oddalało się, i to, jak mniemano, oddalało się raz na zawsze. Z zadowoleniem du-

my, obliczano ilość pułków, któremi Mac-Mahon dowodził. Nie wolno też było liczyć Bazaine'a na mniéj niż 180,000 ludzi, kwiat armii francuzkiéj! Jakże nie miano rachować na tych dwóch jenerałów, z których jeden urósł pod wpływem doznanéj porażki, a drugi znanym był ze swéj znakomitéj energii i zdolności wojennych.

Było to w sobotę wieczorem, kiedy rozbiegła się po Paryżu straszna wieść o nieszczęściu. Od dwóch już dni całe miasto żyło tylko na bulwarach i ulicach, przechodnie zapytywali jedni drugich:

— Co słychać?

Najsprzeczniejsze pogłoski nie przestały ani na chwilę krążyć wśród tego tłumu niespokojnego i rozgorączkowanego. Wszyscy wiedzieli na pewno, że w okolicach Sedanu została rozpoczętą walna bitwa i toczyła się z rozmaitemi alternatywami. Lecz jakiż ostatni wypadek? Wypadku tego nie znano i z niewypowiedzianém rozdrażnieniem wyglądano co chwila na stanowczą wiadomość. Kioski były otaczane lasem rąk, które wydzierały sobie wzajemnie gazety; szczęśliwy nabywca dziennika wchodził na ławkę i odczytywał go głośno gromadce ciekawych. Dopiero to następnie sypały się wnioski, najczęściéj wprost sobie przeciwne! Nic pewnego, nic stanowczego.

A cały ten tłum, pozbawiony urzędowych informacyj, cierpiał rozdraźnienie nerwów. Przy piérwszych słowach rozmowy traktowano się od Prusaków, od głupców, i o najmniejszą rzecz tylko co nie przychodziło do bójki. Wszyscy mówili głośno, urywkowo; na twarzach widziałeś pewne okrucieństwo.

O ósméj wieczorem poszedłem do redakcyi *Gaulois* po nowiny. Ze zdziwieniem spostrzegłem, że drzwi wbrew zwyczajowi były zamknięte i otworzono mi je dopiéro wtedy, kiedym powiedział kto jestem. Wszedłem; na wszystkich twarzach malowało się przerażenie. Podano mi dziennik, przywieziony dopiéro co z Brukselli przez jednego z naszych reporterów. Wyczytałem w nim, z rozpaczą i osłupieniem, całą tę historyą sedańskiéj kapitulacyi, o któréj, chociaż zdarzyła się już 36 godzin temu, w Paryżu nikt jeszcze nie wiedział.

— Czy to podobna? zawołałem przygnębiony.

Lecz nie podobna było wątpić, na nieszczęście. Redaktor główny poszedł był sam z przywiezioną gazetą do prefekta policyi, chcąc się dowiedzieć od niego, czy to co w niéj napisano zgadza się z depeszami odebranemi drogą urzędową. Prefekt zwiesił głowę w milczeniu....

Zaczęliśmy zastanawiać się, czy zaraz puścić

w obieg numer *Gaulois* z nieszczęsną nowiną. Ktoś zrobił uwagę, że byłoby to rzeczą bardzo nierozsądną ze względu na roznamiętnienie panujące między ludnością; kto wié czy w piérwszéj chwili wściekłości, tłum nie rzuciłby się na biuro redakcyi, czy nie zniszczyłby i nie zburzył całego domu? Projekt więc został zaniechany.

Tymczasem wieść fatalna rozbiegała się między tłumami coraz szybciéj. Nikt nie wié szczegółów, ale że nas spotkało coś strasznego, to nie ulegało wątpliwości, to we wszystkich oczach dało się czytać. Nikt nie spał téj nocy w Paryżu. Posiedzenie Ciała Prawodawczego naznaczono na godzinę dwunastą w nocy.

Ah! gdyby Izba w téj stanowczéj chwili była spełniła swój obowiązek, gdyby jasno zapatrując się na położenie, wzięła była odrazu w swoje ręce losy Francyi i wybrała ze swojego łona rząd, w którymby zarówno Paryż jak i Francya były reprezentowane, ileż nieszczęść byłoby nas minęło! Lecz snadź to było zapisane, jak mówią na Wschodzie. Nikt nie wiedział, jaką dać radę, i przedsięwzięcie potrzebnych środków odłożono do jutra.

Nazajutrz była niedziela, 4 września. Rzeczpospolita została ogłoszoną.

# ROZDZIAŁ DRUGI.

## Prolog do oblężenia.

### I.

Byłoto wielkie nieszczęście; ale nieuniknione. Lepiéjby było niezawodnie ukonstytuować rząd tymczasowy obrony narodowéj i nieprzesądzać kwestyi, którą cała Francya powinna była decydować. Oszczędzilibyśmy sobie byli tym sposobem wiele kłopotów i to kłopotów nielada, o których będzie mowa w następujących rozdziałach. Nie zaniepokojonoby prowincyi, dla któréj wyraz Rzeczpospolita nie jest dotąd niczém inném tylko wspomnieniem rzezi 1793 r. i dni czerwcowych. Gdyby nie rzeczpospolita, prowincya, być może, z większym zapałem byłaby śpieszyła na pomoc stolicy; inne miasta niektóre, nie odrywa-

łyby się były od pnia narodowego, osobne wybierając dla siebie rządy, podobnież jak to zrobił poniekąd i Paryż. Ta pretensya stolicy do narzucania swéj woli departamentom musiała była rozdrażnić je. Nie mogły one patrzéć bez pewnego żalu, że cała deputacya Paryża ogarniała władzę, gdy tymczasem reprezentanci prowincyi systematycznie od wszystkiego byli odsuwani.

Lecz ludzie, którzy byli świadkami tych wypadków, wiedzą, że nastąpiły one tak pośpiesznie, iż nie było nawet czasu do zastanowienia się. Rzeczpospolita, że tak powiem, sama się ogłosiła, a rząd zaimprowizowano tylko, piérwszy lepszy, pośród zupełnego rozprzężenia wszelkich władz konstytucyjnych. Kto inny opowié dzieje tego upadku cesarstwa, które na miesiąc przedtém stwierdzone zostało przez ośm milionów głosów. Mnie chodzi tylko o scharakteryzowanie fizyognomii Paryża w ciągu tych bezustannych przewrotów.

Nigdy, choćbym jeszcze tysiąc lat pożył, nie zapomnę wrażeń tego dziwnego dnia. W przededniu dowiedziano się wieczorem o najstraszniejszém nieszczęściu, jakie mogło spotkać kiedy jakikolwiek naród; spostrzeżono już teraz nieuniknioną konieczność oblężenia i każdy z rozpaczą w sercu czuł się na dnie przepaści: tak było w so-

botę wieczorem. Nazajutrz, niedziela, uroczystość dla Paryżan. Na horyzoncie błyszczało prześliczne słońce, każdy kąpał swój wzrok w téj powodzi światła i ciepła, która tak przyjemną czyni porę jesienną we Francyi. Zdawało się, że wszystkie czarne widziadła nocy zniknęły przed jasnością takiego poranku. Cała ludność Paryża wyległa na bulwary, na chodnikach tłoczono się literalnie. Wszystkie twarze jaśniały wesołością; słychać było gawędy, śmiéchy! Co chwila środkiem ulicy przeciągały ze śpiéwami bataliony gwardyi narodowéj, zbrojne lub nieuzbrojone. Od czasu do czasu zawieszano śpiéwy, by zawołać: „*Niech żyje Rzeczpospolita!*“ i cały tłum tysiącznemi piersi wtórował im: „*Niech żyje Rzeczpospolita!*“

Niebawem rozeszła się pogłoska, że w prawodawczym pałacu urzędownie ogłoszono rzeczpospolitą. Wszyscy ci zebrani, na ulicach ludzie przyjęli ją jako starą przyjaciółkę, któréj powrotu oddawna się spodziewano i witano ją radośnie. Paryż przedstawiał tego pokojowe ożywienie ludu, który ma serce przepełnione uczuciem szczęścia. Nie widziałeś ani hałaśliwych demonstracyj, ani uniesień, ani awantur ulicznych. Zewsząd jaśniała tylko dowcipna i niepodobna do utajenia wesołość, objawiająca się ściskaniem sobie rąk, wzajemnemi powinszowaniami i żarcikami. Wszędzie

widać było robotników albo gwardzistów narodowych, którzy na wysokich drabinach zdzierali z szyldów urzędowych cesarską literę *N*. Tłumy zgromadzały się około każdego z takich wykonawców sprawiedliwości historycznéj. Sypały się różne dowcipy, robotnik odpowiadał na nie jak umiał, i śmiech nie ustawał ani na chwilę. W kawiarniach było pełno ludzi, przypatrujących się temu niesłychanemu widowisku i biorących udział w ogólnéj wesołości.

A Prusacy? A blizkie oblężenie? Ah! tak! Ktoby tam był myślał podówczas o Prusakach. i o oblężeniu. Zapomniano o wszelkich kłopotach! Słyszałem jak jeden robotnik mówił do drugiego na ulicy:

— Teraz kiedy ją mamy, oni już nie przyjdą!

*Oni*, byli to Prusacy, *ona* miała znaczyć rzeczpospolitą. Nie śmiéj się czytelniku; przez godzinę cała ludność paryzka tak myślała. Do tego stopnia przywykła ona żyć frazesem, że w dobréj wierze była przekonaną, iż Prusacy, przerażeni tém jedném słowem: „rzeczpospolita“, zatrzymają się. Paryżanie myśleli, że jestto jedna z tych formuł magicznych, które wypędzają djabłów i każą milknąć burzy. Taka naiwność wyda się zapewne nieprawdopodobną temu, kto mnie z zimną krwią czyta. Ale odwołuję się do wszystkich świad-

ków 4 września, a było ich dwa miliony! Tak jest, wszyscyśmy czuli jak nas opanowywało to dziwne szaleństwo. Niesłychane w dziejach wypadki, upoiły nas i od jednego razu straciliśmy rozsądek, rozwagę, zdolność słusznego oceniania wydarzeń, wszystko.

Jak się to dzieje, i dziś jeszcze nie rozumiem, ale sam doświadczyłem na sobie tego upojenia i śmiało powiem, że nigdy w życiu nie byłem szczęśliwszy, jak przez te kilka godzin.

Wieczorem, poszedłem dowiedzieć się najważniejszych nowin od jednego z tych, którzy brali udział w ruchu; sądziłem przeto, że zna ostatnie wypadki urzędowe. Dopiéro co wrócił do domu, rozgrzany jeszcze wrażeniami, których widownię opuścił. Wymienił nam szybko nazwiska członków nowego rządu.

— A Rochefort? spytano.

— Rochefort! rzekł. Ah! to ciekawa historya. Rząd był już ustalony i właśnie kiedyśmy zamknęli listę wybranych jego członków, zjawia się nagle Rochefort na czele niezliczonego tłumu, który uwolnił go z więzienia i krzyczał: „Niech żyje Rochefort! Niech żyje Rochefort!"

Jenerał Trochu zbliża się do młodego dziennikarza, winszuje swobody z miną trochę zakłopotaną i dając mu do zrozumienia, że rząd już jest

utworzony, że mógłby się obejść bez niego, zaprasza go jednak, jeśli ma ochotę, do zajęcia w nim choć drugorzędnego miejsca.

Pomflecista słucha go z twarzą obojętną, i przybrawszy ten sarkastyczny wyraz mowy, w którym odbijał się cały autor *Latarni:*

— Ah! jenerale, rzekł, do jakichkolwiek przeznaczycie mnie czynności, przyjmę je bez najmniejszego szemrania. Jeśli chcecie bym został szwajcarem przy ratuszu, bądźcie pewni, że z tym samym patryotyzmem zabiorę się do otwiérania drzwi, z jakim wy i wasi towarzysze kierować będziecie rzecząpospolitą.

— *Vive Rochefort!* krzyknęły tłumy.

Trzeba więc było, chcąc nie chąc, zgodzić się na przybranie do rządu nowego kolegi. Wiedziano jednak, co za przerażający skutek wywrze na prowincyi nazwisko Rochefort'a, który jednoczył w sobie całą nieufność i nienawiść, jaką wzbudzało Belleville. Ale byłato pora, w któréj nie dawano przystępu do serca żadnym obawom i niepokojom. Sprawy poważniejsze odłożono do jutra.

## II.

Nadeszło nakoniec to jutro, i Paryż dowiedział się o stanowczym składzie rządu, który po-

dniósłszy z ziemi upadłą władzę, przyjął na siebie trudną missyą naprawienia tylu nieszczęść i ocalenia Francyi. Przypomnijmy sobie nazwiska obywateli, którzy go składali. Byli-to panowie Emanuel Arago, Crémieux, Juliusz Favre, Juliusz Férry, Gambetta, Garnier-Pagès, Glais-Bizoin, Pelletan, Picard, Rochefort, Juliusz Simon. Jednogłośnie powierzono ster rządu jenerałowi Trochu, którego cesarz na jakiś czas przedtém, pod silnym naciskiem opinii publicznéj, mianował gubernatorem Paryża.

Ministerya rozdzielono w ten sposób: Gambetta wziął sprawy wewnętrzne; Juliusz Favre zagraniczne; Crémieux sprawiedliwość; Ernest Picard finanse; Juliusz Simon wychowanie publiczne; wojnę powierzono jenerałowi Le Flô; marynarkę admirałowi Fourrichon; roboty publiczne przemysłowcowi, panu Dorian, mało jeszcze znanemu publiczności, który jednak wkrótce intelligentną swą działalnością umiał zyskać niemały wpływ; nakoniec rolnictwo i handel dostały się panu Magnin.

Z liczby tych wszystkich nazwisk, zaledwie dwa lub trzy wzbudzały prawdziwe zaufanie w paryzkiém mieszczaństwie. Szanowano Favre'a za jego nieposzlakowaną opinią człowieka uczciwego, za jego obywatelskość, bezinteresowność i nad-

zwyczajny dar słowa. Nie sądzono jednak, aby był zdolny zapanować nad tak trudną sytuacyą jak ta, którą klęska sedańska zostawiła Francyi w spuściźnie. Nie przypuszczano nawet, jaką odda nam przysługę, opisując szczegółowo swoje widzenie się z Bismarkiem. Gambetta wzbudzał zaufanie, nie dlatego, aby miał już złożyć dostateczne dowody swojego uzdolnienia, publiczność bowiem znała go zaledwie z kilku mów znakomitych, ale wiedziano, że był młody, czynny, śmiały i ostrożny zarazem; łączył on w sobie ogień francuzkiego południowca ze zręczną przebiegłością Włocha; zachowawszy całkiem sympatye mieszczaństwa, umiał jednakże nie stracić wielkiego wpływu, jaki posiadał nad ruchliwą ludnością Belleville, Ménilmontant i Montmartre. Jedném słowem, był popularny, a ten wyraz wszystko tłumaczy we Francyi, gdzie powszechnie zgadzają się na to, że nic nie może się mierzyć z powodzeniem.

Wszyscy również byli zadowoleni z jenerała Trochu, nie dlatego, żeby jego talent wojenny był stwierdzony, lecz dlatego, że miał on za czasów cesarstwa odwagę napisać dzieło, w którém wytykał błędy naszéj organizacyi militarnéj i z góry poniekąd wykazywał przyczyny następnych klęsk naszych. Kampania 1870 r. nadała temu dziełu

smutny interes rzeczy bieżącéj, a jéj autorowi zapewniła niezwykłą popularność.

To prawda że, aby ją wydać na widok publiczny, trzeba było posiadać wielką ilość odwagi, która jest najrzadszą we Francyi: odwagi cywilnéj. Jenerał Trochu, wypowiadając otwarcie prawdę wodzom armii a nawet cesarzowi, zachwiał swoją karyerę i zdecydował się pozostać odtąd niczém nazawsze. Szczególném jednak zrządzeniem losu, książka, która miała zrzucić go z wysokiego stopnia i zagrodzić drogę do wszelkich awansów, wyniosła go do najwyższéj władzy, oddała mu w ręce losy Francyi.

Tylko jedna rzecz niepokoiła Paryżan. Jenerał Trochu, zaraz z początku zaczął pisać mnóstwo proklamacyj i okólników. Pisał dobrze, ale pisał za wiele. Mówił także dużo. Tradycya przedstawia go, jak oparty plecami o komin swego salonu, rozwija z nadzwyczajną obfitością pięknych słów swoje projekty i marzenia w obec ciągle zmieniających się słuchaczy. Świéży przykład czczéj i napuszonéj wymowy Ollivier'a oraz smutnego jéj powodzenia, nauczył naszych współrodaków niedowierzać szumnym mówcom. Strasznego żarciku pozwolił sobie jeden z dziennikarzy, p. Jules Richard, kronikarz *Figaro*: nazwał Trochu *militarnym Ollivierem*. Ale potrzeba człowieka, w któ-

rymby całą położono nadzieję, była tak gwałtowną, że prawie bez namysłu i bez żadnéj trwogi, oddano się nowemu zbawcy, wybranemu jednogłośnie.

Członkowie rządu byli w opłakaném położeniu. Lud paryzki zapomniał zupełnie o Prusakach, tymczasem Prusacy nie zapomnieli o nas ani na chwilę. Potrzebowali oni zapewne wypoczynku po silném starciu, czasu na zapełnienie kadrów zdziesiątkowanych w zwycięztwie, na skombinowanie swoich ruchów i pośpieszne przebycie drogi oddzielającéj granicę francuzką od murów stolicy; ale myśléć o powstrzymaniu ich było szaleństwem, które nie mogło przyjść do głowy żadnemu rozsądnemu człowiekowi. Zresztą nie było wojska, któreby mogło stawić opór ich pochodowi. Zawrzéć jakikolwiek pokój, to drugie niepodobieństwo. Nie mieliśmy już stałego rządu, uznawanego przez Bismarka, rządu który mógłby reprezentować całą Francyą. Trzeba przytém wyznać, że publiczność daleką była w téj chwili od wszelkich projektów pokoju. Obok tego że nasz naród, pod sztandarem rzeczypospolitéj czuł się zupełnie bezpiecznym, pałał przytém zemstą i okrucieństwem. Nigdy próżność narodowa nie doznała tak bolesnego upokorzenia. Przebiegnijmy myślą całe dzieje narodów, a nigdzie nie

znajdziemy hańby, równéj kapitulacyi Sedanu, dlatego też nic dziwnego, że paliła nas wówczas żądza odwetu. Chcieliśmy zemsty, stała się ona naszą potrzebą.

— Niech przyjdą! wołano, niech przyjdą, zobaczą co to jest naród pragnący żyć wolnym lub umrzéć.

Przypominano co chwila przykład Hiszpanii, nie zastanawiając się, że położenia między nami były tak różne, jak się różnią góry Sierra Morena od obszernych płaszczyzn Szampanii i Beauce. Nawet najbardziéj rozjątrzeni nie wstydzili się krzyczéć że jesteśmy bliżéj Berlina niż Prusacy Paryża. Zgubieni zostaliśmy przez jenerałów dworu, przez intendenturę nieporządną i rozrzutną, przez niedorzeczny militaryzm; ale dziś naród sam uzbroi się, powstanie i sam zajmie się wszystkiemi sprawami. Rozpoczniemy na nowo rok 1792 i zapłoniemy tym samym nieśmiertelnym ogniem, na który w tych strasznych ostatecznościach wszystkie oczy były zwrócone.

Juliusz Favre był tylko echem opinii publicznéj, kiedy napisał to sławne zdanie, w którém odbiła się cała Francya: *Ani piędzi ziemi naszéj, ani jednego kamienia naszych fortec!* Ludzie przezorni widzieli od początku niewłaściwość téj antytezy i zgubny przedsmak powikłań, jakie mogły wyni-

knąć z téj retorycznéj ozdoby. Oświadczyć naprzód i tak uroczystym językiem, że się nic nie ustąpi zwycięzkiemu nieprzyjacielowi, byłoto związać sobie ręce i skazywać się, jeżeli nieubłagana potrzeba popchnie nas z jednego nieszczęścia w drugie, albo na krzywoprzysięztwo, albo na zdanie władzy, z obawy nowéj rewolucyi pod okiem nieprzyjaciela. Pomińmy zresztą postanowienie nieustępowania nieprzyjacielowi ani piędzi francuzkiego terrytoryum, bo to dałoby się zrozumieć a nawet wykonać może. Ale dlaczegóż dodawać: *ani jednego kamienia naszych fortec!* Frazes ten dodano dla równowagi słów. Lecz o ileż to oświadczenie było próżném! Stosy kamieni nie są związane z honorem narodowym (?) i można odbudować późniéj zniszczone fortece. Jestto nawet zdanie dość rozpowszechnione między wojskowymi, że wypada raczéj znosić twierdze, mające zgubny wpływ na sprawy ludzi prywatnych, a zakładać duże obozy, któreby sie naigrawały z wszelkiego bombardowania. Ale te rozsądne uwagi, których słuszność miała dopiéro przyszłość wyjaśnić, były czynione tylko przez małą ilość ludzi politycznych, tłum niezrozumiałby ich nigdy. Mieszczaństwo z przekonaniem i zapałem na ustach powtarzało: „*Ani jednéj piędzi ziemi naszéj, ani jednego kamienia naszych fortec!*“ A dzicy demokraci uzu-

pełniali to zdanie, dodając pełne znaczenia wyrazy: „*Ani jednego franka z naszego skarbu*“. Było bowiem jedno stronnictwo, które, czy to w dobréj wierze, czy téż przez powzięte raz postanowienie, nie chciało o niczém słuchać. Jeden z dzienników przytaczał rozmowę, która miała miejsce między bogatym kupcem a typowym mieszkańcem Belleville.

— I cóż, mówił kupiec, chcąc zbadać owego człowieka, zawarto pokój; Prusacy oddalają się.

— Spodziewam się, że nic im nie ustąpiono? zagadnięty odpowiedział podejrzliwie.

— Ani jednéj piędzi ziemi, ani jednego kamienia naszych fortec.

— Ani jednego franka z naszego skarbu?

— Ani jednego franka z naszego skarbu, potwierdził kupiec, chcąc go ostatecznie doświadczyć.

— A jakiéj zażądano od nich indemnizacyi?

## III.

Dwie ważne kwestye przedstawiały się nowemu rządowi, pilne i groźne: kwestya fortyfikacyj i zaopatrzenia miasta w żywność. Co dotąd zrobił rząd upadły, a co zostawało jeszcze do zrobienia?

Klemensowi Duvernois, ex-ministrowi handlu, polecono zaopatrzyć Paryż w żywność. Clément Duvernois, mocno podejrzany u ludzi opinii liberalnéj, posiadał przynajmniéj zasługę, dość rzadką, że był rozumny, czynny, przedsiębierczy; mało zważał na sąd innych, śmiały był i stanowczy. Odrazu i bez namysłu zerwał ze zwykłą formą administracyjnéj rutyny i szybko wszedł w stosunki ze wszystkimi wielkimi przemysłowcami, jacy tylko mu się przedstawili.

Przypominacie sobie zapewne, czytelnicy, wielkiego patryotę, ministra z czasów Konwencyi, który posłany do wojsk, aby przyśpieszyć działania jenerałów, a nie znając się wcale na ich zajęciu, powtarzał ciągle: „Trzeba operować tłumnie, działajmy tłumnie," i wreszcie, zastosowując ten system, odniósł zwycięztwo. Było to trochę podobne do historyi Klemensa Duvernois. Nie studyował on wyłącznie przedmiotu, do którego załatwienia został wezwany zbiegiem okoliczności. Ale i on także „operował tłumnie." Kupował ciągle, kupował bez miary, a zawsze w wielkiéj ilości.

Opowiadano sobie zdumienie jednego z większych przemysłowców Francyi, którego minister handlu wezwał, chcąc u niego zaopatrzyć miasto w węgiel kamienny.

— Węgla kamiennego, zawołał Clément Duvernois, trzeba nam dużo, bardzo dużo. Węgiel jest chlebem powszednim przemysłu.

— A jakiego gatunku pan chcesz?

— Jakiego gatunku?

— Tak, bo są trzy gatunki.

I właściciel huty wyliczył je ministrowi.

— Bardzo dobrze, każdego zatém trzecią część.

— A ileż trzeba razem.

Minister naznaczył cyfrę; przemysłowiec uśmiéchnął się i rzekł:

— Paryż spożyłby to przez jeden dzień.

— Ah! czy tak! zawołał minister.... No, to przysłać tyle ile się tylko zmieści.

Ile się zmieści, to była jego zasada, i pokazało się, że, jak na tę porę, była to dobra zasada. Rozumié się, że nie mogę oznaczyć dokładnie cyfry nagromadzonych zapasów, i nie wiem czy nawet ktokolwiek z biura ministeryum mógłby ją podać autentycznie. Historya późniéj dostarczy wiernych w tym względzie objaśnień, jako też i w wielu innych względach. Jam jest tylko prostym obywatelem Paryża, i poprzestaję na zapisywaniu tego, co wówczas mówiono, i notowaniu wpływu, jaki owe pogłoski wywierały na publiczność.

Przepisuję więc z jednéj gazety (d. 4 października), notatkę, jeśli nie urzędową to przynajmniéj półurzędową, którą powtórzyły następnie wszystkie dzienniki.

„Oto jest cyfra ogromnych zapasów żywności, jakie obecnie miasto Paryż posiada. W samych tylko ogrodach stolicy, jakotéż w lasku bulońskim, luxemburgskim i kilku innych, posiadamy około 220,000 baranów, 40,000 wołów i 12,000 wieprzy.

„Ponieważ konsumcya codzienna Paryża wynosi blizko tysiąc baranów i siedmset wołów, ztąd więc wynika, że możemy długo nie obawiać się następstw.

„Co do mąki, Paryż posiada zapas 300,000 centnarów, nie licząc ilości, która znajduje się jeszcze u piekarzy, a którą można szacować na 200,000 centnarów.

„30,000 do 40,000 centnarów mięsa solonego lub marynowanego oraz wielką ilość solonych ryb. W końcu Paryż posiada znakomitą ilość soli, 100,000 cent. ryżu, 10,000 cent. kawy, nie licząc różnych zapasów, stale napełniających handlowe magazyny stolicy. Lud więc paryzki jest doskonale zaopatrzony i może z całą spokojnością oczekiwać Prusaków."

Byłato ciekawa rzecz te ogromne parki, pełne

zwierząt, w samym środku Paryża. Oprócz lasku bulońskiego i ogrodów publicznych, urządzono wewnątrz fortyfikacyj ogromne place i tam te zwierzęta pasły się czém mogły. Mobile wybrani z pomiędzy okolicznych wieśniaków pilnowali je kolejno. Litość brała, patrząc na te biédne zwierzęta, które zdawały się tęsknić do swoich obór i wyciągając paszczę długo i głośno ryczały. Deptały nogami przegniłą ziemię i patrzyły omdlewająco na widzów, którzy nie wahali się narażać na błoto tego koczowiska. W liczbie tych zwierząt znajdowały się dojne krowy, a improwizowani pasterze, z galanteryą podawali damom mléko prawie ciepłe jeszcze, które własnemi doili rękoma; i damy zlekka podnosiły spódniczki, śmiejąc się przeskakiwały płoty, i pijąc mléko z drewnianych kubeczków, pokazywały białe ząbki. Kilku starych buhajów spoglądało na to z ukosa. Barany pchały się tłumnie, jedne na drugie, drżące i smutne. Łatwo wyobrazić sobie, ile trzeba było wozów siana, aby wyżywić te niezliczone stada. Przytém jeszcze, źle przechowywany pokarm często bywał tak podeptany przez bydło, że go jeść późniéj nie chciało. Połowa się marnowała najmniéj. Trzeba było daléj, kiedy się zbliżały mrozy, budować dla tego bydła baraki, które nie na długo posłużyły, bo z każdym dniem oblężenia zmniej-

szała się ilość zwierząt, aż wkrótce ostatniego wołu z nich wyprowadzono.

Nowy rząd z gorączkowym pośpiechem zabrał się do zaopatrywania miasta w żywność, co zaczęli już byli robić jego poprzednicy. Przemysł prywatny w miarę możności popierał zabiegi rządu. Wówczas nawet, gdy jeszcze nie myślano o oblężeniu, a szczególnie o blokowaniu Paryża, było już mnóstwo spekulantów, którzy sprowadzali na gwałt ekstracugami ogromną ilość wszelkiego rodzaju żywności. Dworce kolei były zapchane, przepełnione zapasami, zwolna rozwożonemi po Paryżu. Plac targowy *Halles*, zawalony był olbrzymiemi stosami worków mąki, piramidami serów, beczkami solonego mięsa i niezliczoną ilością surowych jarzyn. Cudowny widok, zdolny zachwycić Gargantuę, sprawiały te wszystkie zapasy wiktuałów, znikające w paszczach bezdennych śpichlerzy.

Wszystkie puste gmachy Paryża obrócono na ten użytek. Nie warto ich wymieniać. Wspomnę tylko o nowéj Operze. Wiadomo, że była ona już prawie skończona w chwili, gdy nastąpił przewrót wrześniowy. Budowniczy Karol Garnier zaczął nawet powoli usuwać drewniane rusztowania, zasłaniające piękność tego arcydzieła. Radował się już z góry przyjemnością, jakiéj dozna w dniu stano-

wczéj inauguracyi. Nie przypuszczał nigdy, że ten gmach, wzniesiony na cześć muzyki i tańca, będzie służył najprzód za przybytek dla rzeczy nie mających żadnego ze sztukami pięknemi związku.

Obawiano się o to, że gdy Prusacy w danéj chwili przetną wodociągi paryzkie, miastu może zabraknąć wody. Otóż p. Garnier przypomniał sobie, że Opera została wzniesioną na źródlisku wody, spływającéj ze wzgórzy Montmartre. Kazał przewiercić warstwę betonu, na któréj spoczywały fundamenta gmachu; woda trysła i napełniła do wiérzchu obszerne podziemia. Dół i piętra służyły za kwaterę dla gwardzistów ruchomych i za skład różnych przedmiotów pożywienia lub ubrania dla wojska. Mieściła się tam i piekarnia wojskowa, co dało powód do wyrażenia, przypisywanego, jak zwykle, panu Auber'owi, że „w pałacu dźwięków, mąka się miele.“ Wspaniałe sale i *foyers* zamieniono w prywatne mieszkania oficerów i w kuchnie; tamże mieścił się ambulans dla rannych a na dachu umieszczono przyrząd ze światłem elektryczném i cały system sygnałowych znaków, dla porozumiewania się z podobnąż stacyą telegraficzną, urządzoną na wieży św. Sulpicyusza. Od góry do dołu nowa Opera dyszała wojną, jak wszystkie inne publiczne gmachy Paryża w tym czasie.

## IV.

Zaapatrzenie miasta w żywność na nicby się nie przydało, gdyby go nie wzmocniono jako twierdzy. I pod tym względem jeszcze raz pozwolę sobie zrobić uwagę, odnoszącą się zresztą do całego dziełka, że bynajmniéj nie mam zamiaru opowiadać dokładnéj prawdy, któréj, podobnie jak ktośkolwiek inny, znać nie mogłem, lecz jedynie idzie mi o zapisywanie wieści, które krążyły między nami, i wniosków, jakieśmy wtedy wyciągali z tych pogłosek.

Wszyscy bardzo mało mieliśmy wyobrażenia o wartości fortyfikacyj paryzkich. Wiedzieliśmy, że one istnieją, gdyż nie zapominano nigdy w niedzielę, kiedyśmy wyjeżdżali pociągiem spacerowym za rogatki, przyglądać się z ciekawością obronnym wałom i fossom. Lecz przypatrywaliśmy się im zawsze tylko jako olbrzymiéj zabawce, razem z ołowianymi żołnierzami przywiezionéj z Norymbergi, dla pociechy starych dzieci.

Ale trzeba było nareszcie zacząć traktować poważniéj te fortyfikacye, i dziś nie znajdzie chyba Paryżanina, któryby nie wiedział co to jest *bastyon*, a każdy rozprawia o *kurtynie* i o *lunecie* jak wytrawny artylerzysta.

Gdy inżenier ma fortyfikować miasto, otacza je najprzód wielokątem o pewnéj liczbie boków i na każdym z wierzchołków tego wielokąta buduje gmach w kształcie ostrza lancy, który nazywa się bastyonem. Sam koniec téj lancy nazywa się wyskakującym punktem, *le saillant*. Kurtynami nazwano boki wielokąta, które łączą między sobą rozmaite bastyony. Ponieważ punkt wyskakujący jest zwykle słabym punktem bastyonu, przeto dla jego obrony budują wysunięte naprzód zapory, zwane lunetami, kremalierami, koronami i t. d.

W Paryżu takie wysunięte naprzód zapory stanowią oddzielne forty, które, otaczając go, bronią zarówno muru opasującego, jako téż jedne są obroną drugich. Mur opasujący Paryż rozciąga się w kształcie prawie foremnego koła, mającego długości 36 kilometrów. Liczba bastyonów w tym murze wynosi 94. Linia łącząca między sobą środki wszystkich 16 fortów, ma od 105 do 106 kilometrów długości. Cyfry te mogły były w istocie działać uspakajająco na Paryżan. Ale w jakim stanie znajdowały się te wszystkie fortyfikacye?

Pod tym względem mieliśmy wszyscy bardzo niepewne dane. Jednakże, podług zdania specyalistów, trzeba było przynajmniéj pół roku, by dopełnić tego obronnego systemu i nadać mu całą

siłę oporu, jaką przedstawiać był powinien. Opowiadano, że jenerał Totleben, sławny obrońca Sewastopola, zwiédziwszy, w towarzystwie jednego z naszych oficerów, wszystkie fortyfikacye Paryża, zwrócił się w końcu do swego przewodnika i zapytał:

— Czy to wszystko?

— Tak, jenerale.

— Tak? We dwie doby po zobaczeniu piérwszego kasku pruskiego, musicie się poddać.

Thiers mówił otwarcie do swoich przyjaciół:

— Niechaj Paryż wytrzyma tylko przez tydzień, w takim stanie jak się obecnie znajduje nie można więcéj po nim wymagać; ale ten przeciąg czasu wystarczy.

Jeden z moich znajomych, który miał sposobność rozmawiać w tym czasie z jenerałem Trochu, spytał go jakie téż mogą być widoki powodzenia.

— Panie! rzekł do niego jenerał drżącym głosem, Prusacy wejdą do Paryża, kiedy im się będzie podobało. Bądź tego pewnym, każdy oficer, który choć cokolwiek zna się na rzeczy, wié o tém dobrze.

— Tam do licha! jenerale, czegóż się więc spodziéwacie?

— Ha! zginiemy, to zginiemy.

I robiąc gest rezygnacyi, dodał z tą przesadą która charakteryzuje jego osobę i jego zdolności:

— Będzie to nawóz dla przyszłych pokoleń!

Takie wieści, niezbyt zachęcające, przenikały w tłumy ludności paryzkiéj. Można śmiało powiedzieć, że wszyscy jenerałowie i oficerowie w Paryżu popiérali je dowodami, na które my, nieuki, nie mogliśmy wiele odpowiadać. Zdawało się, że ci ludzie zabezpieczają się i usprawiedliwiają z góry z kapitulacyi, którą uważali według warunków sztuki za nieuniknioną. Historycy mają często sposobność robienia obserwacyi, że w rozpaczliwych wypadkach najlepiéj się trzymają prostaczkowie; ludzie specyalni, lepiéj dostrzegając trudności, prędzéj téż tracą odwagę. Tam gdzie taki La Hire się waha, Joanna d'Arc staje na czele.

Fortyfikacye zbudowane przed 30 blizko laty, niemogły być zastosowanemi do dalekonośnych dział i innych przyrządów zniszczenia, jakiemi artylerya dzisiaj rozporządza. Zaniedbano więc kilku punktów, na które niegdyś nie można było przypuścić ataku, ale które dzisiaj mogły być bardzo niebezpieczne dla Paryża. Takiemi były wzgórza Châtillon, które na południe od Paryża wznoszą się po nad forty Vanves, Issy, Montro-

uge, i można z nich zasypać te forty gradem ognia. W stronie północno-zachodniéj, zygzakowato wijąca się Sekwana, wydawała się niegdyś artylerzystom dostateczną obroną téj części miasta, i dlategoto pomiędzy Mont-Valerien i Saint-Ouen pozostawiono bez wszelkiéj obrony duży przedział miejsca: półwysep Gennevilliers.

Były gubernator Paryża, jenerał Palikao, pomyślał z początku o ufortyfikowaniu tych słabych punktów, jak również o przyprowadzeniu do stanu obrony bastyonów i fortów, w których nie było ani dział, ani prochu, ani kul, ani artylerzystów. Lecz zabierał się on do dzieła powoli, jak człowiek, który nie wierzy w konieczność niebezpieczeństwa, zresztą nie chciał przerażać ludności,

Inżenierowie podejmowali się zbudować fort na wzgórzach Châtillon, w przeciągu 18 miesięcy. Ośmnastu dni nie było do stracenia, a przecież i tego krótkiego czasu, jak się zdawało, nie chciano zużytkować. Robotnicy włóczyli się tu i owdzie gromadkami, trzymając na ramionach rydle lub pchając puste taczki. Paryżanie, dla których mur opasujący i okolice fortów stały się zwykłém miejscem przechadzki, dziwili się téj niedbałości i nie wiedzieli co myśléć o tém wszystkiém.

Ogłoszenie rzeczypospolitéj, zamiast przy-

śpieszyć roboty, całkiem je wstrzymało. Byłato, jak już powiedziałem, chwila krótkiego szału. Podobno przez tydzień żaden robotnik nie chciał iść do pracy. I ci ludzie na swój sposób obchodzili uroczyście powrót „wygnanki“, wyobrażając sobie zarazem, że samo imię rzeczypospolitéj więcéj dokona niż te wszystkie wały, rowy i paszcze dział wyglądające groźnie z poczerniałych murów. Zawróciło się im w głowie.

Dużo czasu zeszło na niczém.

# ROZDZIAŁ TRZECI.

## Prusacy idą.

### I.

Co robili Prusacy?

Historya wyjaśni tajemnicę ich długiéj bezczynności, któréj nam nie podobna dzisiaj znać przyczyn. To tylko pewna, że wszyscy wyglądali ich ukazania się pod Paryżem najdaléj w pięć lub w sześć dni po Sedanie, kiedy tymczasem piérwsze ich mundury dostrzeżono w okolicach Saint-Denis dopiéro 19 września.

Śledzono ich ruchy z krótkich wzmianek, codziennie umieszczanych po gazetach: jednego dnia czytaliśmy, że pociągi dochodzą tylko do Bar-le-Duc, nazajutrz że już tylko do Vitry, w dwa dni potém tylko do Châlons, późniéj musiały się za-

trzymać już w Epernay. Mierzyliśmy tym sposobem o ile Francya malała, a obwód jaki Prusacy tworzyli naokoło naszéj stolicy stawał się coraz węższym, aż do czasu gdy ich przednie straże ukazały się mieszkańcom Asnières i Vincennes. Nazajutrz wszystkie wagony, maszyny, słowem cały ruchomy tabor kolei żelaznych sprowadzano z okolic do Paryża, a bramy przez które pociągi wyjeżdżały lub wjeżdżały, zamurowywano lub zamykano.

Ludzie, którzy opisywać będą potomności dzieje tego oblężenia, zwrócą prawdopodobnie główną uwagę na stałe i niezachwiane postanowienie Paryżan umrzéć lub zwyciężyć, jakie przez cały ten czas wykazywali; wynosić będą pod niebiosa heroizm téj wielkiéj stolicy, która nie wahała się wyrzec swojego przyzwyczajenia do zbytku i zniewieściałości, lecz zdecydowała się raczéj zginąć pod własnemi ruinami niż poddać się nikczemnie. Prawdę powiedziawszy, uczucia które miotały paryzkiém mieszczaństwem w ciągu tego peryodu niepewności, bardzo były skomplikowane i rozbiór ich wymaga niemałéj zręczności spostrzegania.

U każdego z Paryżan tkwiła w głębi serca tajona nadzieja, że się to jeszcze jakoś załagodzi, że Prusacy zatrzymają się w połowie drogi —na-

dzieja nierozsądna, niedorzeczna, śmieszna. Zkąd takie szczególne złudzenie? Znikąd i ze wszystkiego. Wilhelm oświadczył przecie, że cesarzowi Napoleonowi wypowiada wojnę. A zatém, myślano w duchu, skoro cesarz upadł, po co król pruski ma wojować z ludem, który mu nic nie zawinił? Zlęknie się, mówiono daléj, rzeczypospolitéj i demokratycznych przekonań, któremi gotowa się zarazić jego armia. I rzeczywiście wszyscy demokraci Paryża wystosowywali długie odezwy do nieprzyjacielskiego wojska, i nazywając żołniérzy pruskich *niemieckimi braćmi*, rozlepiali je na murach stolicy, zapewne dlatego, żeby oficerowie Bismarka wygodnie mogli czytać te utwory szczeréj ale płonnéj frazeologii. Rachowano téż na interwencyą Europy: Rossya nie pozwoli Prusom na zdobycze, które stałyby się groźnemi dla bezpieczeństwa ogólnego wszystkich mocarstw. Anglia powinna to czuć, że po zwyciężeniu i osłabieniu Francyi, Wilhelm sięgnie dłonią po Hollandyą i po berło panowania na morzu. Codzień czytaliśmy po dziennikach artykuły, obiecujące nam blizką pomoc zewnętrzną. Nie przytaczały za to gazety ustępów, gdzie *Times* z zimną krwią wyłuszczał powody, dla których Europa powinna była wstrzymać się od wszelkiéj interwencyi i radził jéj zachować się obojętnie, do czego aż nadto była skłonną sama z siebie.

Lecz nierozsądna owa nadzieja była podniecana przez tę nieuleczoną próżność, który jest jakoby tłem naszego narodowego charakteru. Zdobywanie Paryża uważaliśmy za tak potworne świętokradztwo, za taki straszny zamach na wszelkie prawa boskie i ludzkie, że nie mogło nam się pomieścić w głowie, jakimby sposobem podobna zbrodnia mogła być popełnioną: nie, to być nie może! Ziemia rozstąpiłaby się raczéj i pochłonęła przeklętych, nieczystą ręką dotykających arki przymierza.

Jestem pewny, że w téj nieprzepartéj nadziei niejeden z nas wytrwał do ostatka, że wszelkie wrażenia nasze były nią zaprawne i że dopiéro piérwszy strzał armatni z fortu Valerien ją rozproszył.

Wszyscy ludzie są zlepkiem sprzeczności; pod tym względem Francuz jest więcéj niż ktokolwiek inny człowiekiem. Obok tych wszystkich złudzeń uczucie całkiem innego rodzaju przebijało się w paryzkiém mieszczaństwie: każdy czuł, że wypada pozostać w Paryżu i ze wszech sił stawiać czoło zbliżającéj się burzy. Zwykle w wielkich wypadkach krąży między ludźmi jakieś słowo, streszczające w sobie uczucia wszystkich, jednoczące myśli i serca.

— *Trzeba nam być tu!* powtarzali Paryżanie.

To słowo stało się jakby hasłem.

Rząd obrony narodowéj nalegał o wydalenie z Paryża tak zwanych *gęb nieużytecznych* czyli *darmozjadów*. Wówczasto zamożniejsi obywatele miasta, przez posłuszeństwo władzy, jak niemniéj dla bezpieczeństwa, jęli wywozić żony i dzieci, to do miast nadmorskich, to do południowéj Francyi. Wszyscy jednak, umieściwszy rodzinę, wracali do Paryża. Emigracya ku brzegom Normandyi była najliczniejszą, a ciekawy był to widok jak dworce kolei przepełnione bywały powracającymi ztamtąd mężczyznami, których zresztą żaden osobisty interes nie zmuszał do powrotu. Trzeba nam tu być! powtarzali sobie, i tworzyły się ożywione grupy, w których wszyscy, choć nieznajomi sobie, kupcy, urzędnicy, przemysłowcy, artyści, zawiązywali wzajemną rozmowę.

— Wracasz pan do Paryża?

— A tak! Nie zrobię wprawdzie wiele złego Prusakom; nie umiem nawet obchodzić się z karabinem, ale *trzeba tam być.*

Trzeba tam być! to była powszechna zwrotka i nie szczędzono szyderstw ludziom, którzy ze strachu lub z osobistych względów uciekali z Paryża, bez nadziei powrotu. Nazywano ich *francs-traqueurs* albo *francs-fileurs de la Seine*, wolnymi zbiegami Sekwany. Opowiadano, że jeden ze

znanych dziennikarzy, żegnając się z przyjacielem, który go odprowadził na koléj, uścisnął mu rękę i rzekł:

— Odwagi, przyjacielu! Ażeby opuścić Paryż i to w takiéj chwili, trzeba jéj miéć niemało!

Powtarzano téż ze śmiéchem odpowiedź artysty, któremu znajomi mówili tonem wyrzutu:

— Cóż to? wyjeżdżasz?

— Nie mogę się oprzéć! odpowiedział. Czyż podobna pozostawać w mieście, które się nie będzie broniło!

Głos opinii tak był silny w tym względzie, że Emil Girardin, gdy wyjeżdżał na prowincyą, tłumaczył się odezwą po dziennikach, iż mając lat pięćdziesiąt pięć i wzrok nadzwyczaj osłabiony, nie mógłby wiele przynieść pożytku dla Paryża, gdy tymczasem zdaleka lepiéj mu służyć może. Odezwa ta nie rozbroiła złośliwych; nikt jéj nie chciał wierzyć, wywołała tylko grad żartów i szyderczych pocisków.

Była to chwila powszechnego skupienia w duchu. Ta chwila czyni najwyższy zaszczyt Paryżowi. Ludność Paryzka, tak lekkomyślna, tak próżna i, jak wspomniałem, tak łatwo unosząca się nadziejami, postanowiła bez hałasu ale z niezachwianą siłą bronić się do ostatka, bez względu na skutki, jakie to za sobą pociągnie. Nikt

wówczas nie myślał o blokadzie. Wszyscy spodziéwali się raczéj szturmu, ataku, słowem tego, co Paryżanie nazywali w swojém malowniczém narzeczu: „*Un coup de chien.*“ Myśleli że Prusacy jak tylko nadejdą, zaczną bombardować, i poświęciwszy jakie 50,000 ludzi rzucą się między dwa forty. Nie była to przyjemna perspektywa dla ludzi, których większa część nigdy broni nie miała w ręku, a jednakże nikt się nie cofnął, wszyscy sobie powiedzieli:

— Trzeba nam bronić się!

Bohatérska obrona Strasburga podnosiła umysły. Codzień kompanie gwardyi narodowéj defilowały przez bulwary, z kwiatami na bagnetach, prezentowały broń przed statuą Strasburga na Placu Zgody i wieńczyły w kwiaty jéj podnóże. Było-to miejsce powszechnego zebrania, jakoby rzymskie forum. Tu prawiono patryotyczne mowy, śpiéwano Marsyliankę, zachęcano się do naśladowania przykładu tych dzielnych ludzi, którzy tam, pod gradem kul, bronili tak zawzięcie honoru ojczyzny. Było tam trochę przesady w tych ceremoniach, które zbyt często się powtarzały, by można było wierzyć w ich naturalność; lecz zewnętrzne manifestacye przedstawiają tę korzyść, że wywiérają głębszy wpływ na umysły i podnoszą je wyżéj, niżby zdolne były

podnieść się same. Kiedy ludzie przywykli dość długo wołać chórem: zwyciężyć lub umrzeć; kiedy krzyk ten poparli niejednokrotnie publicznemi objawami, nadchodzi zwykle chwila, że nie mogą już cofnąć się, muszą iść coraz daléj.

Wszystkie kluby, a powstało ich mnóstwo w Paryżu, działały w tym samym kierunku. Nikt nie śmiałby był odezwać się tam z jakiémkolwiek słówkiem o pokoju. Wszyscy byliby go zakrzyczeli, wygwizdali, wypędzili. Mówcy nie przedstawiali wprawdzie wzorów grzeczności i wytwornego obejścia, uderzali pięściami w stół, wodzili błędném i dzikiém okiem dokoła sali i nie szczędzili królowi pruskiemu obelg, nazywając go zwykle utartém podówczas wyrażeniem: *Papa Wilhelm*. Nie lepiéj też traktowali jego przyjaciela, pana Bismarka. Przedstawiano sobie jednego upojonego szampanem, a drugiego pijanego krwią. Żartowano w najlepsze z *Fritza* i obiecywano pokazać mu co to znaczy wolny lud.

— Odprowadzimy go grzecznie aż do Berlina! krzyczał mówca.

— Tak! tak! wtórowało całe zgromadzenie.

I w taki-to sposób żarzyło się to ognisko patryotycznéj egzaltacyi. Politycy, którzy z głębi swego gabinetu, z zimną krwią zapatrują się na wszystko, woleliby byli, ażeby rząd, jakibykol-

wiek on był, udał się prosto do Prusaków i spytał ich: czego chcecie? Nie narzucajcie nam warunków, niepodobnych do spełnienia nawet po tylu klęskach, i zawrzyjmy pokój. Lecz nie mogli oni wystąpić z temi radami otwarcie. Oto przyczyna, dlaczego wszyscy, bądź z całą wiarą, bądź wbrew przekonaniu, mówili:

— Trzeba się bronić!

## II.

Patryotyzm nie wystarcza dla obrony miasta, nawet poza murami. Trzeba wojska. Nie było go. Po rozbiciu Mac-Mahona, osaczeniu Bazaine'a, cóż się zostało dla Paryża? Wszystkie wojska we Francyi składały się z 325,000 ludzi, z tych sławnych 325,000 *oui* plebiscytowych, które odkryły Bismarkowi naszą nieuleczoną chorobę. Lecz teraz są oni wszyscy w Niemczech, nieszczęśliwi! I armia Metz'u, ona także, zmuszoną została poddać się, czyli, jeśli wolno powtórzyć jeden z tych okrutnych i cynicznych dowcipów, właściwych paryzkiemu brukowi, Bazaine połączył się nareszcie z Mac-Mahonem.

Zkąd wziąć żołnierzy? Vinoy na szczęście dokonał zręcznego odwrotu, który nawet Prusacy

podziwiali, i zdołał przyprowadzić do Paryża cały korpus armii, ocalony z nim razem od sedańskiéj klęski. Nie można jednak było rachować wiele na to wojsko. Pominąwszy, że to niebyli wcale starzy żołnierze, wybór armii, jak ci których posiadał Bazaine, wracali oni zdemoralizowani widokiem strasznéj klęski, któréj przypatrywali się zdaleka. Zbyt żywe zrobiło to na nich wrażenie. W podartéj odzieży, prawie bez butów, okazywali wszelkie ślady pośpiesznéj ucieczki, ale to mniejsza; najwięcéj oni ucierpieli moralnie. Nie mieli już zaufania ani do wodzów, ani we własne siły.

— Nie warto nawet próbować, mówili, ci ludzie silniejsi od nas.

Zbiegi z pod Sedanu ze wszystkich stron wracały do Paryża. Jedni z nich przedostali się przez Belgią, inni szczęśliwie uchronili się kapitulacyi, inni wreszcie, byli i tacy, trzymali się ostrożnie, zdala od bitwy, a widząc nieuniknione nieszczęście, wzięli nogi za pas i drapnęli do domu. Wszyscy wracający do Paryża ze wstrętem opowiadali o ostatnich bitwach, rozsiéwając zniechęcenie i przestrach. Tchórze, którzy się najmniéj bili, głównie naturalnie hałasowali w téj demoralizującéj propagandzie. Dowiedziona to rzecz, iż Francuzowi zawsze potrzeba podniety, jaką daje powodzenie,

i że więcéj odwagi okazuje w porwaniu się do czynu niż w wytrwałości. Niepowodzenia go łamią, a ucieczka dokonywa reszty. Pomyślcie tylko o tém, że ci żołniérze, raz poraz, z niesłychaną szybkością, ponieśli kilka tak strasznych porażek, że o podobnych nigdy nie słyszała historya! Pomyślcie, że w marszu zrobili sto mil drogi, i to mając Prusaków na karku! Zkądże mieli jeszcze zdobyć się na chęć i zapał do nowych potyczek? Powtarzano im przez cały czas wyprawy słowa *Times'a:*

— Jesteście lwami, prowadzonymi przez osłów!

Niestety! I lwy potraciły swoje wspaniałe grzywy. Przez jakiś czas niemożna było spodziéwać się po nich żadnego prawdziwie silnego wystąpienia.

Pośpiesznie wysłano téż do Paryża marynarzy naszych portów. Lecz nie tylu ich zostało, ilu było trzeba. Niektórzy z nich odbywali żeglugę po Baltyku z ową tak wystawną a nieużyteczną flotą; pięć do sześciu tysięcy zginęło pod Sedanem. Reszta przybyła. Bylito wyborni żołniérze, ludzie małego rozgłosu a wielkiéj pracy. Rozmieszczono ich po fortach, gdzie odnaleźli własne działa, które za przykładem Totleben'a zabrano ze statków celem uzbrojenia fortec.

Marynarze ci nie byli dla nas przedmiotem

ciekawości ani żadném widowiskiem; ich wodzowie, obawiając się między nimi objawów niekarności lub zniechęcenia, trzymali ich w rygorze, i tylko rzadko kiedy pozwalali im schodzić *na ląd*. To też zaledwie kiedyniekiedy mieliśmy sposobność widzenia ich w cératowych kapeluszach, z dużemi wywiniętemi kołniérzami, w niebieskich bluzach, z miedzianą twarzą, z marsową i dobroduszną zarazem miną.

Ponieważ wojsko regularne zostało zniszczone, trzeba więc było poprzestać na gwardyi ruchomej, téj saméj, którą chciał zaprowadzić marszałek Niel, a z któréj marszałek Leboeuf, jego następca, naśmiéwał się w Izbie. Byłoto na kilka tygodni przed wojną; obliczano budżet wojenny, i sprawozdawca ofiarowywał ministrowi kilkaset tysięcy franków na utrzymanie gwardyi ruchomej.

— To bardzo niewiele, zauważył jeden członek z lewéj strony.

— To i tak za dużo! wesoło odpowiedział marszałek. Przyznaję, że choćbyście mi nic nie dali, byłbym również zadowolony.

I dworacy śmieli się z tych słów, które *Officiel* ubarwił nawiasami: (Bardzo dobrze! bardzo dobrze!).

I właśnie ta gwardya ruchoma, tak wzgardzo-

na, miała wydobyć nas z przykrego położenia. Oddawna już wojsko nasze, niepostrzeżenie, składało się tylko z zaprzedanych zastępców i powtórnie zaciągniętych w szeregi; piérwsi są prawie zawsze złymi żołniérzami, drudzy stają się zwolna pretoryanami. Takie wojsko nie było narodem. Gwardya ruchoma, przeciwnie, odnawiała się ciągle przez swój ustrój, żywemi siłami ojczyzny: przyjmowała w swoje szeregi wieśniaka, wytrwałego w pracy, posłusznego, sprężystego ciałem i duchem, wesołego, dzielnego; a obok niego synów téj *burżoazyi*, która wielki błąd popełniła że przez lat 40 ani pomyślała o wojsku, o broni, wykształconych, intelligentnych i ożywionych tą odwagą, którą nadaje umysłom wyższość wykształcenia. Oto były prawdziwe żywioły dawniejszych armij, tych, które w r. 1792 oparły się Europie, a między 1800 i 1814 wzdłuż i wszerz ją zdeptały na nasze nieszczęście.

Ale cała ta organizacya istniała dotychczas tylko na papierze. Próba, jakiéj dokonano pod tym względem w Paryżu, nie była ani zbyt szczęśliwa, ani też zbyt zachęcająca. Mobile paryzcy dziwili nas swoją niekarnością, o któréj szczególne krążyły wieści. Potrosze winien był temu sam rząd, który, nie mając zamiaru posługiwać się kiedykolwiek tém wojskiem, dał mu za oficerów lu-

dzi młodych, bogatych, arystokracików, którzy nic a nic się nie znali na wojskowości i już dlatego samego nie wywierali żadnego wpływu na swoich podwładnych. O zachowaniu się ich w szalońskim obozie najnieprawdopodobniejsze opowiadano historye: wygwizdywali jenerałów w czasie przeglądu wojsk, grabili hotele i oberże, nie chcieli chodzić na wartę, słowem tysiące popełniali nadużyć.

Marszałek Mac-Mahon pozbył się téj szarańczy wysławszy ją do Paryża; naznaczono im stanowisko w obozie Saint-Maur, ale, jak się zdaje, i tutaj zachowywali się nielepiéj. Mówią, że co noc kilkuset opuszczało swoje namioty i uciekało na zabawę „do miasteczka“; zrana, zawsze kilkudziesięciu brakowało do appelu. W pogłoskach tych, zatrważających, było zapewne dużo przesady. To jednakże nie ulega wątpliwości, że Paryżanie ci, rzuceni losem w kadry nowéj dla siebie formy, zostający pod nędzném dowództwem, pozbawieni ducha militarnego, sprawiali dużo kłopotu naczelnemu jenerałowi, który nie szczędził im proklamacyj, aż wreszcie rozmieścił ich po fortach, co było honorowém stanowiskiem, jak mówił, chcąc pozłocić pigułkę. I w tych twierdzach zaczęli pokazywać co umieją, objawiły się nieporządki. Lecz zwolna zmą-

drzeli jakoś i zaczęli spokojniéj się zachowywać, zwłaszcza kiedy im dozwolono, na równi ze wszystkimi mobilami, wybiérać sobie oficerów większością głosow. W każdym jednak razie nie bardzo można było liczyć na nich, nie byłto jeszcze żołniérz uformowany.

Gwardya ruchoma prowincyonalna wzbudzała większe zaufanie; nie dlatego żeby ci ludzie mieli znać lepiéj wojskowość; mało który umiał trzymać karabin w ręku. Ale dawało się wyczytać z ich twarzy uczciwéj, silnéj, łagodnéj, że byli to dzielne chłopcy, z którymi zręczny wódz wszystko zrobićby potrafił.

Jenerał Trochu jest Bretończykiem, przyzwał przeto natychmiast gwardzistów Bretanii, która na głos jego powstała jak jeden człowiek. Biédne chłopcy! Widzę ich jeszcze jak przybyli piérwszy raz do Paryża wieczorem, podczas silnéj ulewy; widzę ich wszystkiém zdumiewane twarze. Byli oni przez jakiś czas jedną z ciekawości Paryża. Większa ich część wcale nie mówiła po francuzku; nie można było porozumiéć się z nimi. Ich długie rozwiane na wiatr włosy przypominały starożytnych Gallów. W rysach twarzy znać było poetyczną zadumę, obok niepospolitéj energii.

Po Bretonach przyszli Burgundy z kraśném licem i zuchowatą miną, pełni ognia, jakby w ich

żyłach płynęła krew nawpół z winem zmięszana. Ściągały też liczne oddziały Szampanów, Beryszonów, Fransz-komtonów i innych, których naliczyć trudno. Przypomniały się czasy kiedy klany gallickie, rozrzucone na ogromnéj przestrzeni, biegły gromadnie z najdalszych krańczyn swojéj ziemicy na głos Vercingetorixa, toczącego rozpaczną walkę z Cezarem.

Teraz to można było zobaczyć z jakiéj rozmaitości plemion składa się ta jedność francuzka, którą zuchwały cudzoziemiec chciał zerwać. A co to za zapał, co za patryotyzm u wszystkich! Znałem wielu z nich, przyjemność była słyszéć jak rozprawiali, jak się odgrażali na Prusaków, jak projektowali sobie że ich w puch rozbiją.

Jak dziewiętnaście wieków temu tak i dziś Gallowie pełni zapału i ducha ofiary, widzą się w obec legionów, potężnych liczbą, organizacyą i bezprzykładném dotąd uzbrojeniem! Lecz nie tracą ani odwagi, ani humoru.

Spotkałem jednego dnia batalion przybywający z Semur; jeden z kapitanów tego oddziału był moim przyjacielem. Jak on mi opowiadał wesoło i fantastycznie całą podróż!

Najprzód polecono im w domu, zdala od Niemców, ćwiczyć się w robieniu bronią. Do ostatka nie powoływano ich wcale. Hola! my tak nie chce-

my, powiedzieli sobie, i nam trzeba być w Paryżu i nam trzeba się bić! Wysyłają tedy jednego ze swoich do ministra i otrzymują rozkaz wyruszenia w drogę. Ich radość nie ma granic. Zabierają manatki i marsz! Ze śpiéwami stają na dworcu kolei w Dijon.

— Pociąg dla nas!

— Już niéma pociągu, odpowiada dozorca stacyi; ostatni już odszedł, a kto wié czy Prusacy nie przecięli już drogi.

— Dawaj pociąg, natychmiast, albo zginiesz!

I nuże śmiać się! Burgundowie w taki sposób żartują. Niéma rady z tymi wcielonymi diabłami. Szykują pociąg.

— Ale ja nie mam maszynisty!

— To daléj, stary, na lokomotywę; tylko prędko, bo będzie źle.

Cóż ma robić pan zawiadowca? Staje przy maszynie, i jadą. Przez całą drogę Burgundczycy, pijani radością, strzelają z wagonów do bydła i owiec spokojnie pasących się na polu; śpiéwają, krzyczą, mocują się między sobą.

W dwa tygodnie potém dzielne Burgundy były już w ogniu i z tą samą siłą, z tą samą wesołością, stały naprzeciw kul nieprzyjacielskich!

Obliczają na 70,000 liczbę mobilów, wezwanych tym sposobem do stolicy, w dniach poprze-

dzających ostateczne zamknięcie bram. Nie było to wojsko, lecz była nadzieja narodu. Gazety pruskie szydziły, że zwycięzcom z pod Wörth i Sedanu, tacy *moblots* chyba nic nie zrobią! Musiały później odmienić trochę swoje zdanie. Zresztą terminu *moblots* nie dobrze użyły na oznaczenie gwardzistów ruchomych prowincyj.

Za nimi stała gwardya narodowa. Nie była to uorganizowana siła. Upadły rząd nie miał nigdy zaufania do niéj. Przypomniał sobie zapewne to określenie sławne: „Gwardya narodowa jestto naród zbrojny w obec władzy." Niedość że ją zniósł w kilku dzielnicach, lecz w pozostałych postarał się ją oczyścić. Zostawił w niéj tylko ludzi, na których, jak mu się zdawało, mógł był stanowczo polegać, a zresztą i tych jeszcze zniechęcał do służby bezczynnością i ograniczeniem wszelkich zajęć na obowiązkowéj paradzie.

Na oficerów zgłaszali się tylko ludzie ambitni, próżni, chciwi na czerwoną wstążeczkę, lub też ci, którzy poprostu chcieli być zapraszani na urzędowe festyny. Wszyscy zresztą usuwali się jak mogli od obowiązków narodowego gwardzisty.

Teraz gdy wróg się zbliżał, musiało się to wszystko zmienić. Wszyscy pojmowali, że muszą należéć do gwardyi.

Istniały już gotowe bataliony, złożone po wię-

kszéj części ze znakomitszych obywateli, kupców, lekarzy, adwokatów, urzędników; liczyły one po 800 do 1000 ludzi. Rekrutowano je daléj ludźmi, którzy w danéj dzielnicy miasta znajdowali się w podobném do tamtych położeniu materyalném, i bataliony te zachowały nazwę *dawnych*. Żaden z nich nie przechodził cyfry 1200 ludzi.

*Nowe* bataliony powstawały w dzielnicach, które nie miały gwardyi narodowéj, w Belleville, Ménilmontant, wszędzie gdzie cesarstwo obawiało się dawać szalonemu miecz w rękę. Takież same *nowe* bataliony tworzono i w bogatszych dzielnicach, *dawne* bowiem nie mogły pomieścić ochotników zewsząd licznie zgłaszających się. Te *nowe* bataliony urosły wkrótce prawie wszystkie do cyfry 2,000 ludzi.

I czy uwierzycie temu, czytelnicy, że się zajmowano pytaniem jak umundurować gwardyą narodową? Dawne bataliony prawie wszystkie nosiły tunikę i szako; ubiór drogi, niewygodny i śmieszny. Rząd chciał narzucić go całéj gwardyi. Powstał krzyk, i rozsądek opinii publicznéj nakazał wstrzymać wykonanie rozporządzenia, które martwą pozostało literą. Za ogólną zgodą przyjęto spodnie z czerwoną wypustką, bluzę, czarny pas i kepi, który to strój przybrały wkrótce i dawne bataliony; słowem, można powiedzieć,

cały Paryż. Nie spotkało się na ulicy nikogo bez kepi na głowie. Kapelusze cylindrowe, rury, zniknęły za jednym zamachem.

Chodziło o uzbrojenie tych mass. Nie było karabinów. Wystarczyło ich zaledwie dla *mobłot'ów*. Przetrząśnięto wszystkie sklepy, wydano pozwolenie na wolny handel prochem i bronią. Wszystkie fabryki puszczono w ruch przyśpieszony. Z rana, otworzywszy dziennik, odczytywało się z osłupieniem np. tego rodzaju nowinę:

„W jednym z magazynów rządowych znaleziono 50,000 karabinów, o których nikt nie wiedział. Będą one rozdane naszym gwardzistom narodowym."

Nazajutrz donoszono znów o pięćdziesięciu tysiącach iglicówek, schwytanych na jednej ze stacyj kolejowych; i opowiadaliśmy sobie do ucha, że ta broń była tam potajemnie przysłana przez Bismarka dla 50,000 Niemców mieszkających w Paryżu, którzy w danéj chwili mieli nam wsiąść na kark. Ale, dodawał nowiniarz, te niegodne rachuby zawiodą i broń Bismarka dostanie się naszéj gwardyi narodowéj.

Ma się rozumiéć, że ludzie od projektów nie próżnowali; każdego rana budził się ktoś w Paryżu z gotowym planem uzbrojenia 600,000 ludzi. O niczém też podówczas nie rozmawiano tyl-

ko o rozmaitych karabinach, o przerabianiu skałkówek na pistonówki, o przerabianiu broni zwyczajnéj na odtylcową, o remingtonach, szaspotach i t. d. i t. d. Gdziekolwiek przyszedłeś w odwiédziny, pan domu przynosił do salonu swoją broń i tłumaczył jéj mechanizm. Sklepy i fabryki z bronią były ciągle oblężone. Kupcy przyrzekali każdemu. Sprowadzali, rzeczywiście, po trosze, ale za bajeczne ceny. Szaspot np., za który rząd płaci 70 fr., nie sprzedawał się taniéj jak po 150 lub 200 fr. Rewolwery w ciągu tygodnia podskoczyły z 30 na 90 fr. Nie było w Paryżu młokosa, któryby nie chciał miéć w kieszeni własnego pistoletu.

— Chociaż z *jednego* zabiję! każdy powtarzał.

Każdy myślał podówczas, że Prusacy zaraz wnijdą i że trzeba będzie walczyć z nimi do upadłego na ulicach miasta.

Kilka uprzywilejowanych kompanij zaopatrzyło się w szaspoty; dawne bataliony były po większéj części uzbrojone w tak zwane *fusils à tabatière*, broń wyborna, celna, szybkostrzelna i dalekonośna; późniéj dopiéro oceniono sprawiedliwie jéj wartość. Nowe bataliony posiadały prawie wyłącznie dawne pistonówki, a niektóre żadnéj nie miały broni, jak np. konwój Marlborougha.

Wszyscy ci ludzie nie wiedzieli nawet co to są ćwiczenia. Ale poważnie wzięli się do pracy. W ciągu kilku dni rozprzedano 80,000 egzemplarzy *Teoryi gwardzisty narodowego.* Ćwiczenia odbywały się z rana i z wieczora; na bulwarach i placach ciągle było pełno, bądź to mobilów, bądź narodowców. Bardzo szybkie robiono postępy, lecz czas był za krótki. Brakowało instruktorów. Publiczność przeczuwała, a wodzowie prawie napewno wiedzieli, że nieprzyjaciel podstąpi pod Paryż wprzód, nim te dziarskie tłumy zmienią się w jakie takie porządne wojsko.

## III.

Mówiłem już, że fortyfikacye niewiele więcéj budziły zaufania od gwardyi ruchoméj i narodowéj. Była to, jak mówił Thiers, moralna siła. Czyż więc dlatego z taką opieszałością szły roboty? Czy może dlatego, że, jak krążyły pogłoski, rząd targował się o zapłatę dzienną z robotnikami, ze skwapliwością nieco naiwną w takich strasznych okolicznościach, chcąc oszczędzić cokolwiek? Czy téż może lud paryzki, zasmakowawszy w próżniactwie od czasu piérwszych dni rzeczypospolitéj, jeszcze nie odzyskał chęci do pracy?

We wszystkiém tém było prawdopodobnie trochę prawdy. To pewna, że roboty wcale nie postępowały naprzód. Paryżanie tłumnie chodzili co dnia do bram miasta, a przedewszystkiém w stronę punktów najbardziéj zagrożonych, jak wiadukt d'Auteuil i reduty Châtillon. Tutaj wszyscy głośno skarżyli się na to, że nie widać robotników nigdzie.

— Czemu nas nie wezwą do pracy? wołali gwardziści narodowi.

Podobnież opieszale niszczono wioski otaczające Paryż. Nie była téż to, co prawda, mała rzecz, zburzyć tyle domów, zmarnować tyle bogactw, nagromadzonych w ciągu 60-letniego, bezprzykładnego dobrobytu. Co za widok przedstawiały te ruiny!

Paryż otoczony był obręczą najbogatszych w świecie wiosek, pięknie zabudowanych, wesołych, przepełnionych zamożną ludnością! Teraz trzeba je było wszystkie burzyć do szczętu, ażeby dla strzałów działowych swobodne otworzyć pole! Wozy secinami wywoziły sprzęty i gruzy z tych miejsc zniszczenia. Wszędzie ruiny, wszędzie burzyciele z oskardami w ręku.

Ah, bolesne to były ofiary! Nie mówię już o tych, które każdy ponosił prywatnie, w swojéj własnéj szkodzie, lecz o tych, które nas obchodzi-

ły wszystkich jako mieszkańców Paryża, tego biédnego Paryża, któryśmy własnemi rękami tak kaléczyli srodze. Nie, samiśmy nie wiedzieli, nie domyślaliśmy się, nie mogliśmy się domyślać nawet, jak bardzo byliśmy przywiązani do tego miasta! Łączyło się ono z naszemi sercami tysiącem niewidzialnych węzłów, których nie znaliśmy wcale.

Ktoby mi był powiedział np., że pośród tylu klęsk, najsroższe cierpienia sprawiła mojemu sercu wiadomość o wycięciu bulońskiego lasku, tego lasku, w którym ja, człowiek pracy, bywałem co najwyżéj cztéry razy do roku i uważałem go za rzecz najobojętniejszą w świecie. A jednak nie mógłem myśleć bez ciężkiego żalu, że wszystkie te z ogromnym kosztem sprowadzane drzewa, te improwizowane łąki, te stawy ręką ludzką kopane, że wszystkie te powaby upiększonéj natury, zostaną sprofanowane siekiérą i ogniem. O mało nie płakałem nad tém.

Przypomniała się mi jedna z dowcipnych karykatur Gavarniego. Jakiś wyrobnik, załamując ręce z rozpaczy, podnosi ku niebu wzrok pełen boleści i wyrzutu, a stojący obok towarzysz zapytuje go:

— Cóż to, Franek? któż ci umarł? Kogoś stra-

cił? Ciotkę Bachu? Nie? To może wuja Dorlot? Co? Kogóżeś u diabła stracił.

Karykaturzysta odpowiada w miejsce zapytanego:

— Franek stracił wielkiego Napoleona, cesarza Francuzów, króla Włoch, protektora Rzeszy Niemieckiéj i t. d.

Mój żal nad bulońskim laskiem był poniekąd podobny do boleści owego Franka z powodu zgonu wielkiego Napoleona. Poszedłem zobaczyć to miejsce przechadzki właśnie w wigilią dnia, w którym miano stanowczo zakazać do niego przystępu publiczności.

Było to po południu. Pogoda wspaniała. Czy uważaliście jaki dziwny wpływ wywiera pogoda na usposobienie Paryżan? Zdaje im się, że gdy słońce świéci, nic smutnego spotkać ich nie może. Panuje wtedy uroczystość zarówno w sercach naszych jak na błękitnym horyzoncie. Dzień dżdżysty czyni posępnemi nasze umysły i zaciemnia nam jeszcze okropność sytuacyi.

Większa część lasku jeszcze stała na swojém miejscu, a liście zaczynały już brunatnieć i mienić się w piękne, melancholiczne barwy. Alee, te alee po których tyle przesuwało się zwykle pojazdów, takie śmiejące się, takie ożywione, były

teraz literalnie puste i ponure, a moje kroki odbijały echem śród ciszy i samotności.

Tu i owdzie zwalone drzewa nasuwały obraz zniszczenia, ruiny i wplatały go w tkaninę pojęć o cywilizacyi, wytworności, jakie na każdym kroku budziło to prześliczne miejsce.

Stanąłem blizko jeziór. Ani ekwipaży do koła, ani łabędzi, ani kaczek czubatych, nic, wszystko zniknęło. Łabędzie i kaczki, wiewiórki i łanie, wystrzelali panowie gwardziści. Znajdowałem tu i owdzie białe pióra, smutne resztki życia jakie panowało niegdyś na tych rozkosznych jeziorkach, dziś kałużach!

W miarę jak się zbliżałem do granic lasku, spotykałem coraz częściéj ludzi z siekiérami, piłami i dolatywał mię huk upadających drzew, krzyk rozlatującego się ptastwa. Od niejakiego czasu szedłem w towarzystwie kilku przyjaciół i rozmowa była dość ożywiona. Nagle, po tych smutnych odgłosach, zupełnie się urwała. Zniszczenie lasku, tego ulubionego, najsławniejszego lasku, obudziło w nas przeczucie strasznego upadku wielkiego miasta. Byłato chwilka tylko, ale i téj chwilki było dosyć, ażeby się przekonać, czém się stał dla nas ten Paryż, Paryż na którego mogliśmy rzucać klątwy biblijne, ale który mimoto kochaliśmy całém sercem.

Widziałem tych samych uczuć silny objaw publiczny w dniu, kiedy się rozeszła pogłoska, że podłożono ogień pod wszystkie lasy otaczające Paryż. Mnóstwo osób wyległo na Montmartre, by ze szczytu téj dostrzegalni objąć okiem większą przestrzeń okolicy. Widać było w oddali szerokie płachty czarnego dymu pełzające po ziemi, a z głębi nich wyłaniał się od czasu do czasu jasny płomyk. Jedni powiadali drugim co to mianowicie płonie. Lecz ofiara ta okazała się daremną. Wilgotne drzewa nie chciały się palić, i dzisiaj zaledwie jakiś pień osmolony świadczy tu i owdzie o bohaterskiém zamiarze naszym. Nie mogło być większéj dla nas przykrości jak widzieć, że ogień i dym znieważa prześliczne zarogatkowe krajobrazy. One tak piękne te okolice naszéj stolicy! Choć tam są gdzie na świecie wspanialsze, wznioślejsze widoki, żadne chyba nie mogą iść w porównanie z widokami paryzkiéj okolicy pod względem wpływu na umysł; żadne nie są bardziéj ożywione, zalotne, wesołe; żadne nie przypominają tak wymownie téj francuzkiéj, dowcipnéj cywilizacyi. O prześliczne gaje Meudon i Ville d'Avray! O wesołe Bougival, pełne wioślarzy! O Montmorency, od wisien rumiane! Montreuil, duszące wonią brzoskwiń! I wy kochane różyczki Fontenay! Co

się z wami stanie podczas oblężenia! Co z wami zrobią ci barbarzyńcy!

## IV.

Zbliżali się oni, dumnie, bez pośpiechu. Dnia 9 września wiedzieliśmy że są w Laon z jednéj strony, w Montmirail z drugiéj; dnia 10, Crespy i Compiègne zagrożone były na północy, Coulommiers na wschodzie, a już między Coulommiers i Compiègne widziano ich w Chateau-Thierry. W dniu 11 września (ostatnia nasza niedziela!) miasto Meaux telegrafowało, że dostrzeżono ułańskie piki na wiérzchołku pagórka Jouarre. Napróżno w obec tego napadu szarańczy inżenierowie wysadzali w powietrze mosty, psuli koleje: Wilhelm najspokojniéj pisał do Augusty, że Francuzi źle robią zasiéwając im drogę tylu ruinami, ani o godzinę bowiem nie opóźnią i tak pochodu niemieckiéj armii. I niewiele, mówiąc to, kłamał... Dnia 15 błękitne huzary pruskie zbliżyły się do Corbeil, zkąd dopiéro co wyszły dwa pułki naszych dragonów. Wieczorem, kawalerya zajęła lasek Sénart blisko Juvisy; pokazywała się téż nad Sekwaną i Marną tak blizko, że dostrzegano ją z Charenton i z Vincennes. Dnia 16 linia

orleańska została przeciętą między Athis i Ablon; dnia 17, ostatni pociąg który wyszedł z Paryża został napadnięty tuż pod Choisy. Wersal drżał. Rekonesans konnicy wysłany wieczorem przez jenerała Ducrot z trudnością przedostał się przez Meudon. Wszystkie drogi i pola zostały zalane przez wroga, który czémprędzéj postępował od rzeki ku Meudon i Wersalowi.

Dnia 19... zatrzymajmy się chwileczkę na téj nieszczęsnéj dacie, która stanowi piérwszy dzień regularnego oblężenia.

Jaką téż miał fizyognomią Paryż podczas tych kilku dni przerażenia i trwogi? Ożywioną zapewne i hałaśliwą. Mnie się jednak zdaje, że cudzoziemiec, gdyby tak nagle wysiadł z balonu na bulwary, nie wiedząc o niczém co się u nas działo, z pewnością nie poznałby odrazu, że się znalazł w mieście, któremu w tak niedalekiéj przyszłości ostateczność grozi. Miasto zachowało wszelkie pozory głośnéj wesołości; sklepy, wieczorami, lśniały od blasku światła, kawiarnie pełne były gości. Lud przechadzał się niedbale po ulicach i nic ani w ubraniach ani na twarzach, nie znamionowało smutnych myśli. Tylko sami Paryżanie mogli po tysiącznych szczegółach poznać jak do gruntu zmieniły się nasze zwyczaje. Goście owych kawiarń, zwykle tak różnorodni i krzykli-

wi, bylito dzisiaj oficerowie ruchomej gwardyi, z którymi przyszły pogwarzyć bulwarowe dziewczyny. Bezustanne kalembury, dowcipy, uściśnienia rąk, krzyki, śmiéchy, ciągła zmiana osób, spacery pod rękę, słowem obraz cokolwiek cyniczny, który wywoływał oburzenie niektórych obywateli; i ostatecznie zakazał podobnych scen prefekt policyi paryzkiéj.

Zamknął on już był dawniéj teatra. Wieczorami fasady tych gmachów nie błyszczały już takiém światłem jak zwykle. Niektóre nie czekały na zakaz policyjny; w saméj rzeczy chwila krytyczna Francyi dała się już i im we znaki. Od d. 5 września *Opera komiczna* (teatr subwencyonowany i ulubiony przez Paryżan) zwołała cały personel i dyrektorowie oznajmili, że widowiska zawieszają, dochód bowiem téj sceny z reprezentacyi wczorajszéj wynosi 10 fr. (miano grać *Zampę,)* z onegdajszéj tylko 8. Ułożyli się tedy z artystami i urzędnikami administracyi, co wszyscy inni dyrektorowie mieli naśladować, gdy policya wybawiła ich z kłopotu, rozkazując na znak żałoby publicznéj zamknąć wszystkie teatra. Wszystka ta ludność, która zwykle chodzi do teatru, została tym sposobem na ulicy, a że Paryż późno się kładzie spać, ulice zatém wyglądały bardzo żywo i gorączkowo.

We dnie kręcił się po nich nieprzeliczony tłum mundurów: wolni strzelcy, kirassyerzy, artylerzyści, ułani, liniowi gwardziści i *moblots*. Do pojazdów, które bez przerwy turkoczą po bruku, łączyły się ciężkie wozy ze sprzętami albo małe wózki, z całą chudobą rodziny; tam stado baranów pędzi podaniowy pastuszek, tu znowu olbrzymie fury siana, zaprzągnięte w cztéry woły, ciągną się zwolna ulicą.

Byłyto rozmaite rodziny, ściągające z resztkami szczupłego dobytku z za rogatek do Paryża. Biédni ludzie! Ileż łez wylali, opuszczając swoje gniazda! Gdzież im teraz złożyć głowy? Litość brała często na widok nędznych sprzęcików, które z sobą uwozili, połamanych krzeseł, potłuczonych garnków, kuchennych statków, na które paryzka służąca nawet nie rzuciłaby okiem: cały ich majątek. I inni, bogatsi, nielepiéj się mieli. Ileżto bolesnych dramatów! Z pomiędzy wielu przytoczymy jeden.

Któż z literatów nie znał w Paryżu Aleksandra Flan, dowcipnego felietonistę, sławnego z żywości dowcipu w prowadzonéj rozmowie? Najlepszą część życia spędził on na zbiéraniu biblioteki dzieł scenicznych, w któréj ostatniemi czasy znajdowało się prawie wszystko w tym rodzaju. Na mieszkanie wynajął sobie mały domeczek nie-

daleko Neuilly i ciężkiéj pracy życiem zrealizował nakoniec horacyuszowskie *hoc erat in votis.*

Jednego dnia inżenierowie przyszli mu powiedzieć, żeby się wyniósł ze swojego domku.

— Prusacy przyjdą, jeśli więc my nie zburzymy waszéj chatki, oni ją splondrują.

— Wynosić się ztąd! odrzekł, nie, to niepodobna. Zaczekam, oni nie przyjdą.

Niespokojny, chodził odtąd z boleścią po swoim ogródku, gdzie każde drzewko własną ręką szczepił, i oglądał księgozbiór, którego tomy zbierał tak wytrwale, tak starannie porządkował.

I znowu powtórnie zakołatano do drzwi jego chaty.

— No, dość już tego! wynoś się pan, tylko zaraz, dziś wieczorem!

— Dziś wieczorem! Tydzień nie starczy na przeniesienie moich książek.

— Co nam do książek, jutro dom musi być zburzony do szczętu. Alboż nie było ostrzeżenia?

Nieszczęśliwy człowiek nic nie odpowiedział. Z workiem podróżnym w ręku szedł i szedł gdzie go oczy poniosą. Zażądał kącika w piérwszym lepszym hotelu. Położył się spać. Nazajutrz znaleziono w łóżku trupa! Serce mu pękło pod naciskiem boleści.

Niejedno takie zdarzenie możnaby niezawodnie zapisać do ówczesnéj kroniki Paryża.

Bogatsi właściciele dworków naokoło Paryża, opuszczając swoje wille, zabezpieczali się jak mogli; byli przezorni, nawet zbyt przezorni. Zamykali wszystko jak najszczelniéj, kosztowności zakopywali, w piwnicach zostawiali tylko tańsze wina. Niektórzy zostawiali pewne sprzęty, licząc na dyskrecyą Prusaków. Wątpię czy dobrze powychodzą na tém.

Ileż to szkód spostrzeżemy, kiedy nareszcie pęknie tłocząca nas obręcz żelazna! Ile miliardów straconych! Ile rozwianych marzeń, zawiedzionych nadziei!

# ROZDZIAŁ CZWARTY.

## Châtillon-Ferrières-Villejuif.

### I.

Dziewiętnastego września wszystkie gazety ogłosiły przerażającą wiadomość mniéj więcéj w tych słowach: „Ostatnie drogi żelazne łączące Paryż z Francyą i Europą przecięte od wczoraj. Paryż zostawiony sam sobie! Musi już odtąd rachować tylko na swoje własne środki i na swą własną odwagę. Europa, któréj to miasto udzieliło tyle światła, i która zawsze zazdrościła mu sławy, zapomina o niém. Lecz Paryż, jesteśmy pewni, dowiedzie iż nie przestał być najsilniejszą podporą francuzkiéj niepodległości.“

Wszystkie dzienniki wystąpiły z waryacyami na temat: „Paryż trzymać się będzie! Paryż trzy-

mać się powinien i musi!“ Atoli w miarę jak się zbliżała uroczysta chwila, postanowienie rządu obrony narodowéj, w obec strasznych niebezpieczeństw i wypadku ostatecznego prawie nieuniknionego, zdawało się słabnąć i chwiać. Panowie członkowie rządu wydali dekret, wzywający paryzkich wyborców do wybrania rady municypalnéj a wszystkich Francuzów do wybrania Konstytuanty, która mogłaby streścić opinią większości i rozporządzić dalszemi kraju losami. Nazajutrz po 4 września, myśl wybrania we Francyi prawdziwie narodowego ciała reprezentacyjnego, nie byłaby przez nikogo krytykowaną; ale po dwunastodniowém oczekiwaniu znamionowała ona pewne znużenie w dźwiganiu ciężaru, niebacznie przyjętego na własne barki, pewną chęć ukrytą zawarcia pokoju i zrzucenia na innych ciężkiéj za to odpowiedzialności. Wszyscy wówczas głośno mówili, że rząd „*ma już tego dosyć;*“ że nie pokładając wielkiéj wiary w patryotyzmie prowincyi, chce ją zwołać dlatego tylko, by jéj dać sposobność wykazania niechęci do dalszego prowadzenia wojny, a te pogłoski potwierdzane były zresztą przez niepewną jeszcze, ale coraz pewniejszą wieść, że nasz minister spraw zagranicznych, zrobił jakiś krok osobisty względem króla Wilhelma i hr. Bismarka.

Kluby okazywały wściekłe oburzenie. Co miał robić taki Favre w obozie nieprzyjacielskim? Czyż zapomniał o swoich dzielnych słowach: *Ani piędzi naszéj ziemi, ani jednego kamienia z naszych fortec?* Agitatorowie zaś nie przestawali wygrażać pięściami i krzyczéć: *Ani jednego franka z naszego skarbu?*

Byłyto piérwsze objawy wysuniętego naprzód stronnictwa, z którém często będziemy się spotykali w dalszym ciągu tego opowiadania. Stronnictwo to opierało się w téj chwili zwołaniu narodowego zgromadzenia i rad municypalnych dlatego samego powodu, dla którego domagało się utworzenia w Paryżu *Kommuny*. Chciało ono bowiem samo przyjść do najwyższéj władzy, a dalsze prowadzenie wojny było potężnym ich planów sprzymierzeńcem. Ludzie kierujący tą partyą byli po większéj części zacni, uczciwi, silnie przekonani że tylko oni mogą zbawić Francyą, fanatycy 1793 r., którzy nie cofnęliby się byli przed żadnym środkiem, byle tylko zapewnić tryumf swoim ideom i sobie samym.

Dotychczas walczyli oni tajemnie z rządem 4 września, odtąd zerwali z nim stanowczo, a to mianowicie po artykule, jaki ich przywódzca, p. Delescluze, umieścił w dzienniku *Reveil*. Delescluze, potężny lecz ciasny umysł, subtelny lo-

gik, pisarz jasny i stanowczy, wywierał ogromny wpływ na całe swoje stronnictwo i był przez wszystkich szanowany za niepodległość charakteru, prawość i długie ofiary jakie dla swéj sprawy ponosił. Stawiał on, z góry, swoje żądania:

„Jutro, pisał, bezzwłocznie, przedsięwziąć środki radykalne, energiczne, a między innemi:

1. Odłożyć aż do ustalenia pokoju wybory rad municypalnych i zgromadzenia narodowego;

2. Wybory do paryzkiéj Kommuny naznaczyć jak najprędzéj;

3. Znieść prefekturę policyi;

4. Znieść sądownictwo mianowane przez Bonapartego;

5. Uwolnić od służby wszystkich urzędników cesarstwa;

6. Publicznie oświadczyć, że z królem Pruss nie będzie się wchodziło w żadne układy; dopóki jego wojska będą na naszéj ziemi;

7. Nałożyć sekwestr na posiadłości wszystkich ministrów, ambassadorów, senatorów, deputowanych, prefektów, jenerałów, członków kommissyj mięszanych;

8. Zmienić gubernatorów Banku i Kredytu gruntowego.“

Poczém dziennikarz dodawał, że „*lud wymaga tego bezwarunkowo.*“

Jasną jest rzeczą, iż mówiąc o ludzie, p. Delescluze miał na myśli siebie i swoich przyjaciół, że pisząc to, innym Francuzom nie mieszkającym w obrębie paryzkich fortyfikacyj dawał wyraźną odprawę: „Wy nie jesteście ludem, nie ufam waszemu patryotyzmowi i mam zamiar zrobić z wami, choć bez was, wszystko co będę chciał.“

Przesadzone te wymagania podtrzymywał w klubie sam p. Delescluze i jego akolyci. Jestto starzec wysoki, siwy jak gołąb, twarzy przebiegłéj, manier ascetycznych, a jego mowa porywa tonem silnego przekonania. Za nim szli Lhermina, Vermorel i wielu innych, znanych obywatelstwu tylko z nazwisk, ale te nazwiska miały przywiléj budzenia w niém przestrachu i smętnych myśli.

Owo stronnictwo miało zamiar uorganizowania wielkiéj demonstracyi, którą usprawiedliwiłaby rocznica 21 listopada. Miano się zebrać na placu *Zgody*, blizko statui Strasburga, i ztąd, z bronią lub bez broni, (to mniejsza, jak powiedział silnym głosem Delescluze) udać się do Ratusza i stwierdzić publicznie postanowienie bronienia się aż do ostatniéj kropli krwi.

Te zabiegi tém więcéj niepokoiły Paryż, że jego stałość, energia, w przededniu właśnie okropny cios poniosła i silnie została zachwianą. Być może, iż późniéj historya, która wszystkie wypadki widzi tylko w zarysach i sądzi o nich zdaleka, sławić będzie heroizm Paryżan i powié, że się on ani na chwilę nie zachwiał. Na nas, którzyśmy byli naocznymi świadkami i wolimy prawdę niż fałsz, ciąży obowiązek notowania jak i kiedy publiczny zapał stygnął; powiemy zatém, że i w owéj właśnie chwili jeden fakt znaczący za jednym podmuchem rozwiał publiczne zaufanie i zwrócił jéj oczy do pokoju a przynajmniéj do zawieszenia broni.

## II.

Prusacy w swoim pochodzie na Paryż, musieli, dla zajęcia Wersalu, okrążyć miasto i przejść przez Creteil, Châtillon, Clamart. Dość spojrzéć na piérwszy lepszy plan Paryża dla przekonania się o tém. Mówiono, że Trochu miał odrazu powzięty zamiar nie stawiać im żadnych w téj mierze przeszkód; że nie czując się zdolnym do stawienia im, z niewyrobioném wojskiém, poważnego oporu, postanowił, wzmódz się w siłę pod

kamiennym pancerzem fortyfikacyj i czekać na Prusaków w pozycyach dotąd zajmowanych. Podobno jednak p. Trochu uległ namowom pana Ducrot. Byłto jenerał, który zabrany pod Sedanem do niewoli, umknął szczęśliwie, i pośród tysiącznych niebezpieczeństw, przybył do Paryża ofiarować swoją broń tymczasowemu rządowi obrony narodowéj.

Jeżeli mam wierzyć kompetentnym, plan jenerała Ducrot był śmiały i dobrze obmyślany. Szło o to, by pod Châtillon przeciąć Prusaków na dwie połowy, jednę odpędzić ku Wersalowi i rozbić, a druga usunęłaby się tymczasem ku orleańskiéj kolei żelaznéj. Nie do mnie należy opis téj bitwy; to tylko pewna, że prawe skrzydło naszych wojsk zachwiało się; te wojska stanowili żuawi; jedni, młodzi rekruci, nie przywykli do ognia, drudzy, którzy byli lichymi żołniérzami i źle się już bili pod Sedanem. Nię uprzedzano ich że granaty pruskie mogą padać nietylko przed frontem ale i w środek szeregów, i nawet poza szeregi. Dlatego téż zaledwie trzy czy cztéry granaty wpadły między nich, niewiele wyrządziwszy im złego, a już myśleli że to koniec świata i rozbiegli się krzycząc: „*Sauve qui peut*“ Odkryli tym sposobem cały jeden bok obronny. Prusacy skorzystali z błędu i zaczęli iść naprzód

ściśnionemi kolumnami. Środek i lewe skrzydło dobrze się trzymały, ale dowódzcy wkrótce spostrzegli, że jeśli nie uderzą do odwrotu, nieprzyjaciel wszystko otoczy i zabierze do niewoli. Cofnięto się zatém, pozostawiając Prusakom wzgórza Châtillon i kilka zapomnianych w pośpiechu armat.

Właściwie mówiąc, nie byłato klęska tylko poprostu mała porażka, zmniejszana jeszcze i tém, że żołnierze po większéj części bili się dobrze; dwa razy odbierano wrogowi wzgórza Châtillon i drogo on zapłacił za ten piérwszy tryumf.

Ci tylko, którzy widzieli Paryż w téj chwili, mogą wyobrazić sobie jego przerażenie, oburzenie i nieład, jaki ta wiadomość wywołała.

Około południa rozeszła się na bulwarach wiadomość, która narobiła nieopisanéj wrzawy: „Zginęliśmy, Prusacy zwyciężyli, wchodzą do Paryża!“

Byłem właśnie w towarzystwie przyjaciela, który miał wstęp do ministeryów, pobiegliśmy do ministeryum spraw wewnętrznych, dla zasięgnienia potrzebnych wiadomości. Spotkaliśmy Gambettę rozgorączkowanego, który wychodził dla wydania rozkazów.

— Co się dzieje? zawołaliśmy na niego.

— Co się dzieje... co się dzieje.... to że o téj porze te b... są już może przy bramie Maillot.

I wsiadł do dorożki.

Przy bramie Maillot! to była przesada południowca. Poszliśmy na pole Marsowe. Tutaj zobaczyliśmy straszną i rozdzierającą mieszaninę koni bez jeźdźców, jeźdźców bez koni, oficerów bez żołniérzy. Żołnierze dziwili nas swoją twarzą zwierzęcą i idiotyczną. Wszyscy byli przygnębieni. Chcieliśmy zapytać którego z nich, ale ani słowa nie można było wyciągnąć. Byli niemi, przerażeni, jakby uderzeniem piorunu. Weszliśmy na Trocadéro; stało tam mnóstwo osób uzbrojonych lunetami, ale nic nie było widać. Poszliśmy aż do bramy Montrouge.

Byłem w towarzystwie jednego z moich współpracowników, który w charakterze reportera był obecnym klęsce sedańskiéj: widok, któryśmy mieli przed oczyma, nie robił na nim wielkiego wrażenia. Widział on wiele innych! Co do mnie, nie zapomnę nigdy bolesnego wrażenia, jakie ten widok na mnie zrobił. Była to ucieczka najwstrętniejsza. Żołniérze wszelkiéj broni przybywali pojedyńczo lub plutonami, jedni w uzbrojeniu drudzy bez, a wszyscy napiętnowani znakiem zbiegostwa. Zaprzęgi artyleryjskie, ambulanse, konie, torują sobie drogę przez ten tłum.

Po każdéj stronie drogi na chodnikach massa ludu, kobiét, dzieci, każdy z niepokojem dopytywał się przechodzących o przebieg sprawy, a na pijanych krzyczał z oburzeniem, było bowiem dużo i takich nędzników, którzy do boju szli nietrzeźwi. Krzyki, śpiéwy, klątwy, śmiéchy, płacz, jęki rannych, wołania woźnic, a ponad tém wszystkiém ten nieokréślony szmer tłumu, podobny do szmeru morza podczas burzy; wróciliśmy zrozpaczeni. Przez ten czas bulwary były w stanie egzaltacyi blizkiéj szaleństwa: Mówiono powszechnie, że 20 tysięcy naszych zostało na głowę pobitych przez 100,000 Prusaków pod Clamart, że cała armia rzuciła broń, oznajmiając że się bić nie będzie, że armia zwycięzka natychmiast przystąpi do ataku, pędząc trop w trop za uciekającymi.

Wszystkie te pogłoski były przesadzone, ale i prawda, która niedługo wyszła na jaw, nie mniejszy budziła niepokój. Rozwścieczeni gwardziści narodowi chwytali za kołniérze powracających żołniérzy, nazywając ich tchórzami i prowadząc w ten sposób na plac Vendôme. Oburzone tłumy plwały w twarz pijanym nędznikom, którzy przynosili hańbę swojemu mundurowi i nazwisku Francuza. Dowiedziano się, że gwardya ruchoma biła się lepiéj niż tak zwane stare woj-

sko. Krzyczano też: *niech żyje gwardya ruchoma! precz z wojskiem regularném! precz z żuawami!* Dopominano się o surowe ukaranie tchórzów; niektórzy proponowali, aby ich wszystkich ukarano śmiercią.

Wieczorem na bulwarach, z powodu tłoku, niepodobna było ani kroku zrobić. Niecierpliwa i zdenerwowana ludność wyrywała sobie dzienniki, które jednak nie były w stanie dokładnych udzielić jéj wiadomości. Schodzono się w kawiarniach, jaśniejących gazem, gdzie oficerowie gwardyi ruchomej zbierali się nadzwyczaj licznie. Obok nich widziałeś wiele kobiét i jak gdyby dla kontrastu, który jest jedną z charakterystycznych cech fizyognomii paryzkiéj, wszyscy ci ludzie żywą prowadzili rozmowę, bawili się, śmiali. Widok téj wesołości rozdraźnia narodowych gwardzistów przechodzących ulicą: wzywają oni publiczność na świadka; lud rzuca się na kawiarnie, które powoli zatarasowują się. Jest to niby małe zamięszanie, ale pociąga ono za sobą nadzwyczajny nieporządek. O w pół do jedenastéj wszelkie zakłady tego dnia były zamknięte, a nazajutrz prefekt policyi wydał rozporządzenie, aby tak było codzień. Nie odrazu jednakże wzburzenie ustało: uliczni przechodnie robią spostrzeżenie, że na najwyższém piętrze jednego z domów przy bulwarze

Montmartre, światełka z jednego do drugiego okna szybko się przenoszą. Muszą to być sygnały pruskie. Tłum zbiera się groźny i chce zburzyć cały dom; tą raza znowu gwardya narodowa wdaje się w całą sprawę, przetrząsa podejrzane mieszkania, nic w nich nie znajduje i uspakaja tłumy, które zwolna się rozchodzą.

Wszyscy téj nocy źle spali w stolicy. Nikt chyba na dobre nie zasnął. Każdy nadstawiał ucha, czy nie usłyszy huku bębnów, każdy bowiem był przekonany, że około drugiéj zrana Prusacy przypuszczą atak. W chwili kiedy to piszę, jest jeszcze siła ludzi, którzy sądzą, że gdyby w istocie mieli Prusacy dosyć podówczas śmiałości, gdyby się byli zdobyli na atak, byliby niezawodnie, ze stratą jakich 30,000 swojego żołniérza zrobili wyłom w murze i wdarli się do miasta, taka panowała w niém demoralizacya. Inni znowu myśleli, że opór naszych fortów, niezupełnie wprawdzie ale dostatecznie uzbrojonych, złamałby ich potęgę. Nie będę rozstrzygał, które z tych zdań zasługuje na większą wiarę.

Następny dzień przyniósł nam dwa urzędowe dokumenta. Wojskowy raport o wczorajszéj bitwie, napisany blado, mieścił on w sobie frazes, który stał się sławnym w Paryżu: „niektórzy z naszych, żołniérzy cofnęli się z godnym żalu pośpiechem,“

Wyrażenie to w ustach Paryżanina przybrało cechę żartobliwą. O każdym gwardziście podejrzywanym o tchórzostwo mówiono że „jestto człowiek zdolny cofnąć się z godnym żalu pośpiechem.“ Drugim dokumentem była energiczna i wymowna odezwa Gambetty, ustanawiająca sąd wojenny dla wydawania kary na żołniérzy zdradzających swoje obowiązki i hańbiących swoją godność.

Uspokoiło to potrosze przerażoną mieszkańców wyobraźnię. Jednakże wiara w możebność powodzenia zbyt już silnie została zachwianą, a rezultat bitwy pod Châtillon zbyt wymownie stwierdzał zdanie tych którzy uważali dalszą walkę za niepodobną, ażeby większość ludności nie miała powziąć chęci zawarcia pokoju. Stronnictwo radykalne zobaczyło co się święci; wiedziało ono i o tém, że rząd skłonnym był do układów i miał nadzieję w negocyacyach przez Favre'a rozpoczętych; dlatego téż rzucało się na wszystkie strony z gorączkowym zapałem, we wszystkich gazetach umieszczało wściekłe artykuły, agitowało w klubach i szykowało się urządzić demonstracyą, tak zwane *journée*, stawiając tym sposobem burżoazyą z jednéj strony między Prusakami, z drugiéj między czerwonymi, których wyobrażała sobie jako drżących już z góry nadzieją mordu i grabie-

ży. Nie wiem czego mieszczaństwo bardziéj się bało: więcéj nienawidziło cudzoziemca, ale większą trwógę budzili w niém mieszkańcy Belleville.

Ah! gdyby Bismark był dokładnie wiedział co się działo w Paryżu, byłby w rozmowie z Favre'em dał do zrozumienia, że nie jest przeciwnym zawarciu przymierza na warunkach dla Francyi możebnych, a wtedy wojna domowa, straszna, rozpaczliwa, byłaby niezawodnie wybuchła. Któż wié? strona zwyciężona byłaby może otworzyła bramy Prusakom i z prośbą przywrócenia w mieście porządku rzuciła się w ich objęcia. Na nasze szczęście piérwszy minister króla Wilhelma, upojony tylu zwycięztwami, dumny z ostatniego pod murami miasta tryumfu, odpowiedział Favre'owi w sposób ubliżający, a podając nam niepodobne do przyjęcia warunki, zjednoczył wszystkie rozdzielone serca wspólném uniesieniem oburzenia i wściekłości.

## III.

Wieczny zaszczyt będzie, to przynosiło Favre'owi, że w owéj chwili natchnął on nas jedném patryotyzmu uczuciem, że z każdego oka łzę wycisnął, łzę szlachetną, łzę boleści i zemsty. Gdyby

nam był opisał dyplomatycznym stylem swoje widzenie się z Bismarkiem w Ferrières, bylibyśmy może przeczytali taki opis z zimną krwią. Ale Favre jest człowiekiem i obywatelem. Napisał swoje sprawozdanie z sercem i pozostanie ono na zawsze jedną z najwymowniejszych stronic w pismach tego męża stanu i mówcy.

Udał się on do Bismarka, by mu powiedzieć: „Ta wojna zrodzona z kaprysu jednostki, dzisiaj, gdy Francya stała się panią saméj siebie, nie ma już powodu istnienia. Kraj pragnie pokoju, ale pokoju uczciwego, pokoju, któryby nie był krótkiém i groźném zawieszeniem broni.“

A p. Bismark odpowiedział, że gdyby tylko mógł wierzyć w możliwość zawarcia takiego pokoju, podpisałby go natychmiast. Lecz z kimże zawrzéć ów pokój? Rząd paryzki wisi na włosku, i jeżeli za kilka dni miasto nie zostanie zdobyte, zwali go taż sama hałastra...

Na ten wyraz Favre się obruszył. Nigdy mniéj szczęśliwe słowo nie wyszło z ust dyplomaty. Spadło ono jak policzek na twarz paryzkiego ludu. I powstał jeden ogólny krzyk wściekłości. Teraz jeszcze, po wielu innych przejściach, wspomnienie zniewagi zagrzéwa krew w żyłach. Dość powiedzieć pewnym tonem: „*hałastra Bismarka!*“ ażeby wywołać burzę.

Równie bolesną była treść jak wstrętną forma. Bismark żądał koniecznie Lotaryngii i Alzacyi, a kiedy Favre mówił mu, że mieszkańcy tych obu prowincyj niezawodnie oparliby się temu: „Wiem o tém, odpowiedział pruski minister; wiem że oni nam dużo narobią kłopotu. Ale nie możemy nie zabrać tych prowincyj. Jestem pewny, że wkrótce nową stoczymy z wami wojnę. Pragniemy i w niéj miéć wszelkie za sobą korzyści.“

Niepodobna było okazać więcéj stanowczości i dumy.

Juliusz Favre podniósł zatém kewstyą zwołania zgromadzenia narodowego. „Dobrze, przerwał minister, ale dla uskutecznienia tego planu, trzebaby zawrzéć zawieszenie broni, a na to nie zgodzę się za żadną cenę.“

Negocyatorowie atoli prowadzili daléj rozprawy. Bismark nibyto ustępował i odłożył do następnego dnia dalsze układy z naszym ministrem. Ale tu pozostawmy Favre'owi dalsze przedstawienie rzeczy. Trzeba czytać to opowiadanie, tak bolesne, dumne, pełne patryotyzmu, który z duszy pisarza miał się rozlać na cały naród i otworzyć mu oczy.

„Już tylko słówko dodam, opisując bowiem ten bolesny dla mnie fakt, odświéżyłem w swojém sercu wszelkie wrażenia, które były taką dla

mnie katuszą w ciągu tych trzech nieszczęsnych dni, i chciałbym prędko zakończyć. Byłem w zamku Ferrières o jedenastéj. Hrabia wyszedł od króla o trzy kwadranse na dwunastą i zakomunikował mi warunki zawieszenia broni; były one spisane po niemiecku, dosłownie je przetłumaczył.

„Zażądał jako rękojmi zajęcia Strasburga, Toul i Pfalzburga, a ponieważ w dniu poprzedzającym mówiłem mu, że chcemy zwołać do Paryża zgromadzenie narodowe, chciał w takim razie otrzymać na ten czas fort dominujący nad miastem... np. Mont-Valerien...

„Przerwałem mu na to, mówiąc: Daleko prostszą będzie rzeczą zażądać od nas Paryża. Jak pan możesz myślóć, żeby zgromadzenie francuzkie toczyło obrady pod waszemi działami? Miałem zaszczyt powiedzieć panu, że wiernie opowiem mojemu rządowi naszą rozmowę, choć nie wiem doprawdy, czy się ośmielę przytoczyć mu tę propozycyą pańską.

— Wynajdźmy inną kombinacyą, odpowiedział mi.

Powiedziałem mu o zwołaniu zgromadzenia do Tours, nie zobowiązując się w niczém co do Paryża.

Odrzekł, iż pomówi o tém ze swoim królem, a zwracając się do zajęcia Strasburga, dodał:

— To miasto i tak dostanie się w nasze ręce, sprawa teraz czysto inżenierska. Żądam zatém, by garnizon dobrowolnie oddał się w niewolę.

Na te słowa boleść mię przejęła i powstawszy z miejsca, zawołałem:

— Zapominasz, panie hrabio, że mówisz z Francuzem; poświęcać bohatérski garnizon, który wzbudza uwielbienie w nas i w całym świecie, byłoby podłością; — nie obiecuję bynajmniéj powtórzyć i téj propozycyi.

Bismark odpowiedział, że nie miał zamiaru obrażenia mię, że się zastósował we wszystkiém do praw wojennych i że nadto, jeśli król przystanie na to, i ten artykuł może być zmodyfikowany.

Powrócił po upływie kwadransa. Pruski monarcha przyjmował warunek co do Tours, ale nalegał na to, żeby garnizon Strasburga poszedł w niewolę.

Siły mię już opuszczały, bałem się czy nie zemdleję. Odwróciłem się dla połknięcia łez, które mię dusiły, i usprawiedliwiając się z téj mimowolnéj słabości, pożegnałem pruskiego ministra temi słowy:

— Omyliłem się, panie hrabio, przybywając tutaj; nie żałuję tego, dość wycierpiałem, ażeby we własném swojém przekonaniu czuć się wytłumaczonym; uległem zresztą jedynie przed poczu-

ciem obowiązku. Opowiem mojemu rządowi wszystko co mi pan powiedziałeś, i jeśli uzna za rzecz właściwą jeszcze raz przysłać mię do pana, zrobię to choć z okrutną boleścią serca. Dziękuję panu za życzliwość, jakiéj mi dawałeś dowody, ale zdaje mi się, że odtąd wszystko trzeba zdać naturalnemu biegowi wydarzeń. Lud Paryża ma odwagę i gotowość do największych ofiar; heroizm jego może bardzo wpłynąć na zmianę ich kierunku. Możecie Paryż zwyciężyć, ale nie zmusicie go do poddania się. Cały naród jest ożywiony temi samemi uczuciami. Dopóki tylko będziemy w nim widzieli żywioł oporu, nie przestaniemy walczyć z wami.

Nie sądzę, aby kiedykolwiek jak świat istnieje, wywarł jaki dokument dyplomatyczny podobne na ogół wrażenie. W całym Paryżu nie widziałeś nic prócz dreszczu oburzenia, wybuchu wściekłości i gniewu na to dumne i niedorzeczne zuchwalstwo. Cała ludność połączyła się jakby cudem we wspólném postanowieniu walczenia do ostatniego tchnienia. Jeden z najpopularniejszych mówców klubu Folies-Bergères, oznajmił, śród oklasków tłumu, że odtąd nic już nie pozostaje tylko stanąć ściśnioną kolumną za rządem i razem z nim iść naprzeciw wroga. Co zaś do

zapowiedzianéj manifestacyi, która miała się odbyć na placu *Zgody* w rocznicę ogłoszenia rzeczypospolitéj 21 października, i która, jak się obawiano, mogła była zamienić się w rewolucyą, odbyła się ona najspokojniéj w świecie. Z liczby mówców, tylko jeden, p. Vermorel, pośrednią aluzyą zaczepił rząd i Juliusza Favre'a. Wywołał jednogłośne szemrania:

— Nie pora teraz na rozterki domowe! ktoś zawołał.

— Czy byłbyś zdolnym do lepszego prowadzenia rzeczy? zapytano z innéj strony.

Z trudnością Vermorel ukończył swoją mowę, lud rozszedł się cicho do domów i agitatorowie zobaczyli, że teraz już nie zgromadzą go i nie poprowadzą na Ratusz. Wszyscy zgadzali się z sobą. Bismark wyrządził nam przysługę, zacierając wszelkie różnice i rozpalając dusze jedném, wspólném uczuciem miłości Ojczyzny, niegodnie zelżonéj przez tych Wandalów.

Jedno małe powodzenie (piérwsze jakieśmy odnieśli w téj wojnie) ożywiło naszą odwagę i nasze nadzieje. Posłyszano silną kanonadę od strony Villejuif, i natychmiast rozeszła się po mieście nowina o wielkiém zwycięztwie. Mówiono o 20 czy 25,000 Prusaków w niewolę wziętych, nie li-

cząc zabitych i ranionych, a było ich krocie. Radość była bardzo żywa, ale zawiele odebraliśmy już byli nauczek: każdy w połowie tylko się radował. Nie była to eksplozya owego zapału, którego w początkach wojny bywaliśmy świadkami i ofiarami. Po Châtillon myśleliśmy że wszystko stracone, a tak źle nie było; po Villejuif wszystko wydało się nam odzyskaném, a właściwie mówiąc byłato drobnostka.

Nazajutrz rano śpiéwano po ulicach piosnkę, modną u naszych żołniérzy:

Bismark si tu continues
De tous tes Prussiens il n'en restera guère,
Bismark si tu continues
De tous tes Prussiens il n'en restera plus.

Wieczorem trzeba to było.... odśpiéwać. Po sprawdzeniu, wielkie zwycięztwo okazało się niewielką korzyścią, która dobrze wróżyła, ale nie mogła miéć żadnego wpływu na przebieg oblężenia. Pozycye pod Villejuif zajęte były po téj świetnéj utarcze przez dywizyą Maud'huy, która się na nich utrzymała. Rezultat taki, jakkolwiek mały, w porównaniu z przesadzonemi nadziejami jakie mieliśmy w początkach wojny, wzmocnił nas trochę i wypogodził nasze myśli.

Rząd wydał rozporządzenie, mocą którego wy-

bory municypalne, naznaczone piérwotnie na 28 września, zostały wstrzymane podobnież jak wybory do zgromadzenia, naznaczone na dzień 2 października, i ta kwestya, która tyle rozdraźniała umysły, zdawała się raz nazawsze rozstrzygniętą.

Była tylko odroczoną.

# ROZDZIAŁ PIĄTY.

## Piérwsze dni oblężenia.

### MORALNA FIZYOGNOMIA PARYŻA.

### I.

Paryż stał się obozem. Każdy, młody czy stary, zapisywał się do gwardyi narodowéj.

Trudno by mi było lepiéj poznać i ocenić charakter mieszczaństwa paryzkiego, jak wówczas gdym patrzał na funkcyonowanie gwadyi narodowéj. Tutaj to objawiało się to zamiłowanie zuchwałéj niepodległości, zakrawającéj na bezkarność, i ta prawość uczuć, tak blizka wielkości, i ta odwaga, pełna naiwnéj dobroduszności, którą krok tylko dzielił od heroizmu, słowem niezmierna mięszanina średnich przymiotów i umiarkowanych błędów, które tworzą francuzkiego

*bourgeois.* Nad tém wszystkiem panował dobry humor, naturalna wesołość, odziedziczona jeszcze po Gallach naszych przodkach, i stanowiąca niezatartą cechę naszéj rasy.

Wszyscy z zapałem brali się do ćwiczeń. Nie było już policyi w Paryżu, bo na miejsce dawnych serżandewilów; zanadto znienawidzonych od ludu, by mogli pozostać w miejscu, utworzono paryzkich gwardzistów, którzy z wygoloną brodą, dobroduszną miną, bez broni, całemi dniami chodzili po trzech tu i owdzie, a wyglądali raczéj na poczciwców świéżo przybyłych z prowincyi, niż na konstablów.

Gwardyi narodowéj polecono zatém pilnować bezpieczeństwa publicznego. Zajęła ona na każdéj ulicy pewien punkt, z którego wychodziła nocną porą, dla odbywania patrolów po mieście.

Nie wiem czy to jéj trzeba przypisać zasługę, dość, że nigdy nie było w Paryżu mniéj kradzieży i morderstw jak w peryodzie oblężenia. Trzeba także powiedzieć, że Trochu, przed opasaniem Paryża, kazał wynieść się z miasta wszelkim łotrom bez żadnego tłumaczenia i wielu z nich włóczyło się naokoło fortów, po okolicy pozbawionéj wszelkiéj opieki.

Największém i prawdziwém zajęciem gwardyi narodowéj było czuwanie nad całym niezmierzo-

nym pasem okalających wałów. Straż taka stała się wkrótce synekurą, gdy już była pewność, że Prusacy nie kuszą się o wzięcie miasta przez napad, i ograniczą się na blokowaniu. Lecz w piérwszych dniach wszyscy byli przekonani, że wróg wpadnie niespodzianie, i że pewnego pięknego wieczoru, kule i granaty posypią się na mur opasujący. Niemniéj atoli chętnie odbywano służbę na wałach. Czas był jeszcze dosyć pogodny i wszystkim prawie spacerom towarzyszyło piękne jasne słońce. Jakież urocze wspomnienia pozostaną nam wszystkim, z tych przechadzek i z jaką przyjemnością opowiadać je będziemy kiedyś naszym dzieciom przy kominku.

Rano o siódméj mamy rendez-vous w zwykłém miejscu zgromadzenia każdéj kampanii. Gorliwi i nowicyusze przybywają punkt o siódméj, termin wojskowy! prawdziwi żołniérze nie mają innéj godziny. Opieszali ściągają ze wszystkich ulic przyległych aż do ósméj. Każdy pożywił się jakimi grzanym napojem, gorącą kawą np., środek zalecany przez hygienę dla zabezpieczenia się od złego wpływu porannego zimna, wilgoci.

O ósméj wszyscy są zgromadzeni; należy zaprowadzić jakiś porządek. Oficerowie biegają i krzyczą. Ustawiają się wszyscy w dwa szeregi; każdy się prostuje jak umié i jak może.

Tutajto uderzała nawet najbardziéj nieznających się na rzeczy okoliczność, która była długo wadą gwardyi narodowéj. Obok starca z siwą brodą, młodzieniec prawie jeszcze niedorostek; daléj poczciwy stary ojciec, którego potężny brzuszek ledwie trzymał się na dwóch małych nóżkach; uczciwe twarze mieszczan z wyrazem pokoju, a zarazem marsowéj miny; wszędzie wiele okularów, dowodzących krótkiego wzroku; czerwone nosy, świadczące o uprzejmości kupców win: była to najdziwaczniejsza mięszanina różnych postaci, jakie tylko można sobie wystawić.

Zdawałoby się, że łatwo można było zaprowadzić porządek w takim chaosie; rząd posiadał władzę zwołania do broni wszystkich młodych ludzi, żonatych czy nieżonatych, od lat dwudziestu do trzydziestu pięciu. Mógłby dobrowolnie lub siłą wybrać z gwardyi narodowéj żywioły waleczniejsze i sformować prawdziwe wojsko, nie zrobił jednak tego, środki zaś jakie przedsięwziął późniéj, a o których powiemy we właściwém miejscu, nie były tak radykalnemi i prostemi, jakby tego wymagały okoliczności. Przez chwilę zostawiał armią w swobodzie i bezkarności. Nigdy gwardya narodowa nie odznaczała się zamiłowaniem porządku i posłuszeństwa. Nasza była jeszcze strasznie zuchwała. Rozważaliśmy

rozkazy, szemraliśmy na naszych wodzów, chociaż sami wybraliśmy ich, a jeżeli jaka praca zdawała się nam niepożyteczną, lub nas nudziła, bez ceremonii odrzucaliśmy ją na bok.

— Źli żołnierze! jak mówił żartobliwie Couderc w *Wielkiéj księżnéj de Gérolstein.*

Kilka batalionów zatrwożyło nas naprawdę. Oprócz tego, że nieporządek zakradł się między nie, okazywały one wręcz, w oczy władzy, taka niepowściągliwość słowa, że to budziło obawę na przyszłość. Kilka kompanij o mało nie rzuciło się na jenerała, swego dowódcę, który po krótkiéj przemowie, zamiast *„niech żyje rzeczpospolita!“* zawołał: *„niech żyje Francya!“* Rząd zamknął oczy na to zajście, dla uniknienia złych skutków, odsunął jenerała; ale podobne głupstwa nie dawały dobrego wyobrażenia o naszéj karności.

Przybywamy do bastyonu o jedenastéj. Jest to godzina śniadania. Jedni wyjmują z worków zapasy przygotowane przez gospodynię; drudzy rzucają się na manierkę, inni znowu rozpraszają się po poblizkich restauracyach. Była to pora, w któréj trudno dać do zrozumienia gwardziście narodowemu, że dzień służby nie jest spacerem za rogatkę. Butelki szły za butelkami, toasty za toastami, a mundur nie zawsze bronił tego co go nosił, od opłakanych następstw pijatyki.

Był tylko jeden środek zabezpieczenia ludzi od tych wydarzeń, to jest zniewolić ich do pracy wyczerpującéj siły. Roboty nie brakowało: kopać ziemię, budować kazamaty, wznosić namioty, prowadzić wozy, słowem było co robić. Ale gdzie tam! Spacerowano od rana do wieczora koło namiotów, do których chowano się na noc. Niektórzy grali w kręgle; inni w wista lub pikietę. Wielu włóczyło się, biegało, inni czytali dzienniki, lub też spali na słońcu.

Żadnego zajęcia nie mieli prócz straży. Przez cały dzień jesienny i pogodny, dwie godziny takiego zajęcia były niemal przyjemnemi. Potém nastąpiła pora dészczów i rozpuszczania śniegów, niezbyt miła. Drżeliśmy od zimna pod obszerną sukmaną żołnierską, przemokłszy do nitki. Ale w owym czasie to była także pewna przyjemność.

Widzę się jeszcze dziś na wałach szańcowych, gdzie mnie postawiono na szyldwachu. Z góry tego obserwatoryum wzrok błąka się po cudownym pejzażu, a za tém mgławém światłem, które błyszczy się na dalekich granicach horyzontu, szuka się myślą mrowiska nieprzyjacielskich kasków. Jednak nikt się niczego nie boi. Niebezpieczeństwo jeszcze nie grozi.

Ten obraz życia wojskowego, bez strachu, jaki mu zwykle towarzyszy, nowość położenia, su-

rowa piękność pejzażu, albo smętne myśli, powstające zwykle po samotnych wycieczkach, poczucie dobrobytu, jakie nasuwa chłodny wiatr wrześniowy, to niepewne spojrzenie które rzucamy po horyzoncie, z ręką opartą na lufie karabina, owo „kto idzie?" szyldwacha, które ci przypomina od czasu do czasu rzeczywistość, wszystko to wzrusza i zachwyca; a podczas kiedy zagłębiałem się myślą, w te tak obce mi wrażenia, nie wiem zkąd przyszła mi do głowy zwrotka, śpiewana w jednéj z ostatnich operetek Offenbacha. Król, którego tylko co jego poddani wypędzili, ukazuje się na scenie: „Zabrali mi mój majątek, moje królestwo; dyamenty, tron i t. p. ale mogli mi zrobić jeszcze coś gorszego, więc, z tego jestem kontent, że widziałem to com widział". Tak, doznawaliśmy wszyscy wielkiego zadowolenia, żeśmy to widzieli cośmy widzieli. Takato już natura ludzka! czuje się tajemną przyjemność, iż się było świadkiem wydarzeń tak cudownych, że żaden wiek już chyba nie ujrzy podobnych i że się do nich przyczyniło choć w drobnéj części! Jest się współdziałaczem historyi, i to historyi nielada; czyż to mała pociecha?

Służba nocna była trudniejsza. Prawda i to, że nasi wodzowie, przez przesadzoną gorliwość, powiększyli nad potrzebę ilość szyldwachów. Umie-

szczali wartę co pietnaście kroków, a szeregi straży były wszędzie podwójne, niekiedy potrójne. Każdy służbowy czuł przez to mniejszą odpowiedzialność, i spełniał obowiązek z większą obojętnością. Lecz mimo to, ileż reumatyzmów, gorączek i innych przykrych chorób, nabawiliśmy się z tych nocnych czuwań!

Jeszcze spano pod namiotami, bo kazamaty nie były gotowe. Namiot wygląda malowniczo, ale ważną ma dla poczciwych bourgeois'ów wadę: za mało jest elegancki i zbyt chłodny.

A przytém, czyż trzeba jeszcze mówić? nie znaliśmy się nic na téj całéj organizacyi służby wojskowéj. Napróżno naznaczano każdemu gwardziście miejsce, które miał zająć pod takim dachem z płótna; nie umieliśmy zachować ładu, a ztąd powstawały kłótnie, nie bez śmiésznych często zajść.

Pod każdym namiotem znajdowało się dwóch lub trzech gwardzistów narodowych, którzy się kładli na piérwszém lepszém miejscu i z głową wspartą na czyimkolwiek mantelzaku, spali doskonale na słomie swego sąsiada. Nieszczęśliwi, którzy opuszczali stanowisko, wracali przeziębnięci, wsuwali się poomacku do namiotów i szukali pociemku rękami worków i przykryć, jakie pozostawili odchodząc, aby trafić do miejsc swo-

ich. Zastawali je wszystkie zajętemi przez innych chrapiących kolegów.

— Cóż to, panowie! wołał piérwszy, to dobre, zabrano mi moje rzeczy. Kto śpi nie na swojém miejscu!

— Tak nie uchodzi! wołał drugi.

— To niegodziwość! klął trzeci.

Każdy śpiący tulił się po cichu do swojego mantelzaka; niektórzy nawet posuwali zuchwalstwo do tego stopnia, że mocniéj niby chrapali. Chrapanie ma być dowodem czystego sumienia. Gniéw wzmagał się coraz bardziéj i nieraz dochodziło do zelżywych wyrazów:

— Wam zdaje się to śmiészném! a ja jestem zmarznięty!... Eh! panie.... panie!... to pan jesteś na mojém miejscu.... ależ u licha, oddajże mi pan moją torbę i miejsce, albo cię wyrzucę!

— Zobaczymy!

— Zobaczysz, natychmiast!

— Nie dotykaj mnie!

Już bitwa wszczęłaby się niezawodnie wśród ciemności, gdyby jeden z sąsiadów nie odezwał się z radą.

— Wywołuj pan każdego po imieniu.

— Paradny doradca, mam wołać imiennie, kiedy ciemno jak w piekle!

— No, to pozwól że nam....

Na taki hałas, wszyscy śpiący, nawet ci co rzeczywiście spali, budzą się.

— Bądźcie cicho! do licha! i tak nie bardzo smacznie spać na słomie!

— To jeszcze pan bądź szczęśliwy, że ją masz, mnie nawet i słomę ukradli.

— Ale nie ja!

— Ja tam nie wiem kto!

— Jakto pan nie wiész, przecie ja mówię!

— Dałbyś pan lepiéj pokój ze swoją zbytnią drażliwością.

— O jeśli tak, to możesz ztąd wyleciéć, mój ptaszku! czy słyszysz!

— A ty myślisz, że się ciebie boję?

— Wzajemnie!

Widząc, że to kłótnia na dobre, człowiek szukający łóżka, spostrzega światełko nadziei i radzi dwom sprzeczającym się panom, aby wyszli z namiotu dla wzajemnego porozumienia się. Ta propozycya działa w sposób skłaniający na dwóch przeciwników, którzy nie przestają wymyślać sobie jak dwaj bohatérowie Homera, i o mało nie przychodzi między nimi do bójki. Wyrzuca jeden drugiemu, że za wiele pił, i, jak się zdaje, obadwaj mają racyą.

Tymczasem nieszczęśliwy gwardzista nie przestaje krzątać się po namiocie, mruczyć pod

nosem, dopóki jakaś poczciwa dusza nie wyjmie z kieszeni paczki zapałek i nie zapali świécy, wówczas spostrzegają jakiś mantelzak, bez właściciela.

— Ah! patrzcie, wasz tłomoczek! wołają.

— Nie, to nie mój.

— Co tam, bierz go, niech się już raz to skończy!

Zmęczony tém wszystkiém, bierze go, ale kłopoty nie kończą się na tém; gwardzista stęka, klnie że nie może spać, podczas gdy inni ze wszystkich stron wymyślają sobie i uskarżają się na siebie, bez żadnego powodu i bez żadnéj racyi. Wtém nowy głos mięsza się do dyskussyi i zaczyna śpiéwać *Marsyliankę*. Wszyscy się oburzają.

— Ha! jeżeli ci panowie mogą się kłócić, dlaczegóż ja nie miałbym sobie zaśpiéwać.

I kłótnia trwa daléj kosztem nowego indywiduum.

Najrozsądniejsi porzucają namiot i idą przejść się, na szczęście niebo pełne gwiazd i ani jednéj na horyzoncie chmurki. Widać na wschodzie bielejący widnokrąg z różowym już u dołu obrąbkiem. Wskróś mgły porannéj widać téż jak cienie, różne kobiéty które przynoszą strawę swoim krewnym, a innym przedają za bezcen czarną kawę i grzane piwo. Każdy pije swoją porcyą, przy

ogniu biwakowym, który tylko co rozpalono i rozmawia ze swoim towarzyszem:

— Brr...., jak zimno dziś rano. Czy słyszałeś strzały armatnie dzisiejszéj nocy?

I inne tym podobne rozmowy.

Pobudka zagrała, obóz wstaje, wszyscy gwardziści narodowi w najdziwaczniejszy sposób ubrani, z oczyma zaspanemi, wychodzą przed namiot: jeden otulony w obszerny szlafrok, przechadza się poważnie z fajką w ustach; inny ginie wśród wielkiéj opończy, zkąd tylko głowa okazuje się na zewnątrz. Dawały tu sobie schadzkę, szkockie płaszcze, hiszpańskie okrycia, angielskie *plaid'y*, słowem wszelkie najnieprawdopodobniejsze kostiumy. A co za twarze! na wszystkich znać całonocną bezsenność! Każdy smutny, ponury, zębami dzwoni! Ale nie upływa i pół godziny, wszystko to znika, duch ożywił znowu strudzone ciała i wszyscy wracają wesoło do miasta, które spało spokojnie wówczas gdy nad niém czuwali.

Wesołość! wesołość! nie podobna położyć zbytniego nacisku, na ten punkt tak charakterystyczny! Podczas największych smutków, nigdy ona stanowczo nie została wyrugowaną z naszego umysłu. Jestto forma wyłącznie paryzka, w którą przyodziéwają się tutaj wszystkie prace choćby najpoważniejsze, wszystkie boleści nawet najdo-

tkliwsze. Nigdy rozkaz nie był więcéj szanowanym przez nikogo, jak przez paryzkiego gwardzistę narodowego. Ale z drugiéj strony, żaden żołniérz zapewne do tego stopnia nie lekceważył sobie obowiązków wojennych, jak narodowy paryzki gwardzista. Żartowano sobie z nich, ale wykonywano je ściśle i z większą dokładnością, jakby to byli robili prawdziwi żołnierze, których przyzwyczajenie uczyniło leniwszymi. Nic ciekawszego nad rond, który nocą odbywano pod dowództwem oficera, od jednéj do drugiéj warty. Każdy był na swojém stanowisku, ale na zapytania i uwagi kontrolującego oficera, odpowiadał najczęściéj żarcikami. Lecz pomimo to wszystko, gwardziści posuwali rygor aż do śmiészności. Wydano rozporządzenie, aby nikt z noszących mundur nie wychodził z miasta i nie bywał téż napowrót wpuszczany. Środek ten miał na celu mobilów, którzy bardzo często wychodzili z fortów i tłumnie nawiédzali Paryż. Gwardzista narodowy wykonywał to rozporządzenie z całą akuratnością. Widziałem niejednego z poczciwych obywateli, zatrzymywanego przy bramie, dlatego tylko, że zamiast zwykłego kapelusza, miał na głowie modne kepi.

— Ależ, mówił taki jegomość, ja nie mam innego ubrania głowy.

— To mnie nic nie obchodzi, odpowiadał gwardzista. Taki rozkaz!

Wdałem się w to i uparty gwardzista podał środek bardzo sprawiedliwy:

— Włóż pan sobie swoje kepi pod palto, a w takim razie będziesz mógł przejść; odtąd jesteś już tylko prostym obywatelem z gołą głową.

Wspomnienia te należą do najlepszych i najweselszych czasów oblężenia. Gwardya narodowa miała później sposobność zebrania innych wspomnień, które należą do kategoryj bohatérskich; teraz jednak nie nadszedł jeszcze czas pięknych poświęceń i szczytnych ofiar. Straż na wałach i utrzymywanie policyi wewnątrz miasta, stanowiły całe jéj zajęcie.

Utrzymywanie porządku policyjnego pociągało za sobą mnóstwo szczegółów, jakich potomność nawet nigdy domyślać się nie będzie mogła. Któżby pomyślał, że jedném z najważniejszych zajęć policyjnych w piérwszych czasach oblężenia, było polowanie na szpiegów pruskich. Trzeba znać Paryż, ażeby zrozumiéć do jakich nadużyć jakaś myśl uparta doprowadzić może tę ludność, gdy jéj uczucia są pod pewnym względem naprężone. Przez tydzień lub dwa tygodnie wszyscy literalnie niczém inném nie byli zajęci, tylko myślą o szpiegach nieprzyjacielskich, zajęcie myśli okro-

pne, które już zamieniało się w szał. Wszędzie widziano szpiegów. Jeden z pisarzy, zajmujących się bezprzestannie chwytaniem wrażeń brukowych dla zabawy umysłów paryzkich, aby je umieszczać w artykułach, Tymoteusz Trimm, pisał w pewnym artykule z którego nikt się nie śmiał, do tego stopnia był wyrazem publicznéj trwogi: „Obawiano się niegdyś w Wenecyi ajentów Rady Dziesięciu, widziano ich na lagunach, na szczytach drabin u okien, albo nawet za kratkami konfessyonału; a jednak! Rada Dziesięciu była jeszcze zebraniem uczciwych ludzi w porównaniu z policyą militarną Prusaków... Widać ich wszędzie, tych szpiegów, w najrozmaitszych kostiumach. Wczoraj pojmano woźnicę i węglarza. Węglarz i woźnica byli szpiegami, poznano jednego po tém że lewą ręką trzymał lejce, z niemiecka; drugiego, że miał zbyt czarne ręce. Przy bramie Maillot, tuż przy fortyfikacyach, zbiéra się lud tłumnie koło kolportera sprzedającego broszury. Trzyma on w ręku *Biografią walecznego jenerała Uhricha, komendanta Strasburga* i bierze za nią tylko po jedném sous. Kupujcie, panowie! Jakaś kobiéta podaje mu sztukę 50 centymów; szuka on po kieszeni swéj kamizelki; nagle wypadają mu z dłoni złote napoleony, i to go zdradza. Byłto szpieg... Tego samego poranku pewna dama przechodzi

koło pałacu Przemysłu, przyzwoicie ubrana, w sukni czarnéj, aksamitnym kapeluszu, gęsta woalka spada jéj na twarz. Ktoś ciekawy idzie za nią, chce jéj podać rękę, zbliża się, gdy nagle, niespodziéwany powiéw wiatru odsłania woalkę, a nasz nieznajomy dostrzega że twarz damy świéżo była wygolona... I to był szpieg...“ Przez dwa tygodnie wyobraźnia Paryżan była nawiédzana widmem szpiegostwa. Zatrzymywano na chybił trafił ludzi najuczciwszych w świecie, którzy z wielkim trudem unikali zemsty wzburzonego tłumu. Prowadzono ich do najbliższéj warty, gdzie dopiéro zwykle dawali się poznać i zostali puszczani swobodnie. Takimto sposobem mój spółtowarzysz Lomon, który z pozoru najdobroduszniéj w świecie wyglądał, został pociągnięty do prefektury. Narobiła mu tego kłopotu właśnie jego uczciwa fizyognomia. Tyle uczciwości, tyle dobroci, musiało być udaniem, i zdawało się podejrzaném. Zapewniają, że nawet jenerał Trochu został zaaresztowany przez zbyt gorliwą straż i śmiał się sam z téj pomyłki. Biada temu, kto mówił alzackiém narzeczem! nie był pewnym swojego losu! Jeden z moich przyjaciół, syn patryotycznéj Alzacyi, postanowił sobie, że ani słowa tym językiem nie przemówi w publiczném miejscu. Stał się dwa razy ofiarą przykrych nieporozumień! Jak zwykle

i we wszystko w Paryżu, wmięszała się blaga i do tego śledzenia szpiegów. Żartownisie wołali na kogokolwiek „Prusak“ i trzymali się za boki od śmiéchu, widząc głupowatą twarz biédaka, którego chwytano za kołniérz. Jakiś dłużnik napadnięty na ulicy przez niedyskretnego krawca czy szewca, nazwał go głośno szpiegiem, i uciekł śmiejąc się ze swego konceptu.

Niekiedy wieczorem spostrzegano zbierające się grupy ludzi, które spoglądały gdzieś w górę; niebawem robiły się z nich massy. Czemuż to przypatrywano się z taką uwagą?... Oto na czwartém piętrze błyszczy światełko przechodząc z okna do okna. Światło! o dziesiątéj wieczorem! na samym dachu! oczywiście, nic innego tylko sygnał!... Tak, to sygnały.... Patrzcie! widzicie ten odblask zielonawy.... i daléjże najrozmaitsze przypuszczenia...

— Ja znam odźwiernego, żona jego Niemka, przechowuje szpiegów, to nie ulega wątpliwości... chcą wydać Paryż....

Zbliża się gwardya narodowa, rond chwyta drżącego odźwiernego i idzie z nim po schodach. Tam, na górze, znajdują zwykle zacną, rodzinę, zajętą szyciem lub czytaniem przy blasku poczciwéj lampy.

— Ale co znaczyło to przenoszenie się światła z okna do okna?

— Chodziliśmy po coś do drugiego pokoju.

— A ów odblask zielony?

— Obicie pokoju jest koloru zielonego.

Pewnego znowu dnia, a raczéj wieczora, szczególny jakiś przedmiot migoczący kolorami czerwonawym, zielonawym i niebieskim, pod światłem świécy poruszanéj jakoby konwulsyjnym ruchem, wzburzył wszystkich sąsiadów, którzy nie mogąc wytłumaczyć sobie tego zjawiska, zaczęli bąkać że trzeba złupić i spalić mniemane obserwatoryum. Wdarto się do mieszkania i znaleziono za oknem papugę wypchaną na postumencie, na piórach któréj igrały promienie poruszanéj świécy. Poważny *Journal des Débats* rozgłosił nazajutrz z naiwnym przekąsem ten ustęp szpiegowania i tém ukrócił złe, bo dziwactwa nasze mają to do siebie, że im są żywsze, tém krócéj trwają. To, o którém mówimy, minęło szybko, i nie nabijano sobie już głowy urojonemi szpiegami, tylko wzięto się do śledzenia prawdziwych szpiegów, owych nędzników ostatniego rzędu, którzy pod pozorem zdobywania prowiantu wychodzili z Paryża z workiem, mając napełnić go kapustą lub kartoflami, a dostarczali nieprzy-

jacielowi naszych gazet i różnych wiadomości, które udało im się posłyszéć tu i owdzie.

A czy byli jeszcze i inni? i czy w liczbie tych wszystkich ujętych i zaaresztowanych znajdowali się rzeczywiście ludzie płatni przez Prusaków za wyjawianie naszych tajemnic? Nie wiem, ale być może. To tylko pewna, że od czasu sprawy Harta, przekonanego o szpiegostwo i rozstrzelanego w kilka dni po rozpoczęciu oblężenia, nie słyszano już o żadnym podobnym procesie ani egzekucyi. Należy zatém wnosić, że nie dowiedziono żadnéj winy ważniejszéj ujętym osobom podejrzanym, bo w razie przeciwnym władza nie zaniedbałaby rozgłosić o ile można wyroki, choćby tylko dla uspokojenia wzburzonych umysłów.

## III.

Mania ta ustała więc sama z siebie, ale zato dwa inne charakterystyczne rysy oblężenia z każdym dniem silniejszéj nabierały wagi. Zrazu zaledwie dające się uczuć, stały się późniéj nader bolesnemi. Piérwszym z nich był zupełny brak wszelkich wiadomości. Paryż, gdzie zgromadzały się nowiny całego świata; Paryż, o który odbijały się one rozmnożone i powiększone niby cudowne echo, został nagle odciętym od reszty świata. Do-

tąd żyliśmy ideą, że zupełne osaczenie olbrzymiéj stolicy całkiem jest niemożliwém, a przynajmniéj że trzebaby użyć ku temu przynajmniéj 1,200,000 wojska, a wiedzieliśmy dobrze, że nieprzyjaciel taką niezmierną siłą dysponować nie może. Mimo to musieliśmy spuścić z tonu i spojrzéć w oczy smutnéj rzeczywistości: nie dochodziły nas ani gazety, ani listy, ani żaden nawet kuryer. Zarząd pocztowy rozesłał w różnych kierunkach bryftregerów, mających przedrzéć się przez linie pruskie i przynieść nam listy; żaden z nich nie wrócił. Z liczby ambasadorów, trzech nas opuściło, mianowicie: angielski, rossyjski i austryacki. Inni pozostali, zażądawszy od sztabu jeneralnego pruskiego, aby dozwolono im znosić się swobodnie z właściwemi rządami. Bismark odpowiedział z góry, że korrespondencye ich i odpowiedzi mogą miéć bieg wolny, ale rozpieczętowane i po uprzedniém odczytaniu i ostęplowaniu w biurze kanclerza. Ta niesłychana i trudna do uwierzenia zarozumiałość dowodziła najlepiéj nieubłaganego postanowienia trzymania nas w matni; z Paryża chciano zrobić olbrzymie więzienie, Mazas.

Zdziwiło nas to bardzo i zmartwiło, bo cel zamierzony i osiągnięty przez nieprzyjaciół przechodził wszelkie nasze przewidywania. Przedewszystkiém cierpiała nasza miłość własna. Tyle

razy rozprawialiśmy wciąż i powtarzali, że Paryż jest główną sprężyną myśli ludzkiéj, że gdyby zaprzestał objawiać wielkie idee i uczucia, cała maszyna wszechświata stanęłaby niebawem, co spowodowałoby niejako ogólny zastój cywilizacyi! Niestety! trzeba było przyznać, że jeżeli w istocie zajmowaliśmy ważne miejsce w świecie, nie byliśmy jednakże arteryą życiodawczą, i że po usunięciu Paryża z grona ludów, ziemia nie przestałaby tak samo obracać się około słońca; ludzkość nie zapomniałaby myśléc i działać jak dotąd i dążyłaby jednym i tymże krokiem do wiekuistego postępu. Smutne odkrycie! gorzkie rozczarowanie! I w saméj rzeczy, Europa i Ameryka mogła się obyć bez nas, nam zaś brak było całego świata. Jak rozbitki na wodach oceanu pragnęliśmy wiedzieć co się dzieje. Co słychać we Francyi? było to dla nas pytanie ważne, na które nie znajdowaliśmy odpowiedzi.

Na kilka dni przed całkowitém osaczeniem, rząd wysłał do Tours dwóch swoich członków dla zorganizowania pospolitego ruszenia i ożywienia zapału departamentów; mieliśmy jednak słabe zaufanie w ludziach, którym powierzono tę missyą. Byli to dwaj starcy: pp. Glais-Bizoin i Crémieux, znani tak jeden jak i drugi z prawości i szczerości zdań, ale z energią osłabioną wie-

kiem. Te ręce opadające czyż podołają strasznemu ciężarowi? Nie mieliśmy żadnéj nadziei, a tym dotkliwszą była trwoga, że nie mogliśmy przebić oczyma czarnéj zasłony nocy. Uprzedzono nas, że Thiers oddając na usługi nowego rządu swoje wieloletnie doświadczenie i wielką powagę, wyjechał z propozycyami do różnych dworów europejskich; że najprzód miał udać się do Londynu, następnie do Petersburga, a wreszcie przez Wiedeń i Florencyą powrócić do Tours. Co się stało z tą podróżą? Jak dalece ambasador nasz postąpił w układach? Kochaliśmy się zawsze tak bardzo w ułudnych marzeniach i nadziejach, że w tym czasie wierzyliśmy jeszcze w możliwość koalicyi europejskiéj przeciwko zwycięzkim Prusom. Głównie, oto macie próbkę opłakanéj naiwności, liczyliśmy na Rossyą. Wmawialiśmy jedni w drugich, że zrozumié ona przecie swój własny interes; pojmie, iż Prusy potężne, upojone zwycięztwami, zażądają prędzéj lub późniéj zwrotu prowincyj niemieckich, a w razie odmowy, oderwą je siłą. „Kto wié? powtarzaliśmy między sobą, może w téj chwili przymierze już zawarte,“ i obliczaliśmy ile czasu potrzebowałaby armia rossyjska dla zagrożenia Berlinowi i zmuszenia naszego nieprzyjaciela do odwrotu w celu stawienia czoła nowemu wrogowi. Co za boleść, jaka trująca nie-

pewność, nie módz dowiedzieć się nic o rzeczach obchodzących nas tak blisko, tak żywo!

Ale, prócz tego, ów brak wiadomości dotykał nas wszystkich jeszcze srożéj i boleśniéj. Wszyscy powysyłaliśmy żony, dzieci i rodziny, bądź zagranicę, bądź na równiny Bretanii i Normandyi, bądź wewnątrz Francyi. Nikt z nas nie przewidział blokowania, zostawiliśmy je więc tam bez funduszów, jedynie ze szczupłym zasobem na czas krótki. Co się z nimi stało, co się stanie? W jaki sposób uspokoić ich co do nas samych? domyślaliśmy się bowiem, że Bismark rozgłaszał po dziennikach kłamliwe wieści o naszéj wojnie i naszych rozterkach, wystawiając nas wszystkich za ofiary mordu i bombardowania. My zaś, jakże dowiemy się, czy te istoty drogie naszemu sercu żyją i jak się mają? Z przerażeniem i obawą liczyliśmy ubiegające godziny; owe godziny tak brzemienne chorobami, wypadkami, obawą, rozpaczą, wyczekując z sercem przepełnioném boleścią i goryczą. Byłoto jedyne cierpienie, które dało się uczuć każdéj bez wyjątku jednostce. Widziałem jak blaga paryzka nie oszczędzała niczego, drwiąc sobie od niechcenia z największych przykrości oblężenia, tego jednak nie odważyła się dotknąć, bo głos zamarłby jéj w piersiach, a drwinki przeszłyby w płaczliwe jęki. W Paryżu pełno było słomia-

nych wdowców, którzy wracając do domu pytali odźwiernego:

— I cóż, niéma listu?

— Niéma, panie, brzmiała odpowiedź.

I tak każdy dzień był dla nich świéżym, bolesnym ciosem. Długo nie zapomnę, jak pewnego wieczora byliśmy na obiedzie w restauracyi, ja i trzech Paryżan, niedowiarków piérwszéj klassy, i przymuszając się do lichéj strawy, dowcipkowaliśmy o okropnościach oblężenia, ożywieni tą sztuczną wesołością, co to szumi na okaz, jak szampan. O parę kroków od nas, przy oddzielnym stoliku, obiadował starzec z młodą kobiétą, zapewne córką, mającą przy sobie chłopczyka 3 lub 4-letniego, blondynka z włoskami w loczkach i rozprawiającego wesoło, jak dziécię. Spotrzegł na naszym stole gruszkę i poprosił o nią matkę. Jeden z nas powstał i przepraszając młodą damę, podał dziécięciu ćwiartkę gruszki, uścisnąwszy je serdecznie. Za powrotem grube łzy, które starał się ukryć, widniały mu w oczach, i nic nie mówiąc jeden do drugiego, pochyleni nad talérzami, zapłakaliśmy wszyscy cztéréj gorzko, boleśnie.

Administracya, zaskoczona zrazu znienacka, nie umiała pomódz w nieszczęściu. Godném jest zaiste uwagi, o ile w całéj téj wojnie u osób rządzących nami zbywało na zmyślności, na zaso-

bach i wynalazczości ducha; wiele dobrych chęci, ale ani źdźbła twórczości. We wszelkich zamiarach i przedsięwzięciach musiała pchać ich, że tak powiem, opinia zniecierpliwionéj publiczności. O systemacie balonów kierowanych ludźmi pomyśleli zapóźno, używając zrazu balonów wolnych, w które miano wkładać kartki bez kopert, opatrzone stemplem 10 centymów. Co się stało z temi balonami i z listami, któreśmy im powierzyli, do dziś dnia nie wiem, piszę bowiem te wspomnienia przed zdeblokowaniem Paryża dla utrzymania zajęcia. Dopiéro po dwóch czy trzech tygodniach krętaniny, zorganizowali nareszcie regularną służbę prawdziwych wielkich balonów, o których pomówimy jeszcze w rozdziałach następujących. Daleko późniéj jeszcze zdobyli się na zapewnienie nam choć krótkich i rzadkich wiadomości od drogich sercu naszemu istot za pośrednictwem gołębi. Ci skrzydlaci posłańcy uradowali nie jednego z nas! Iluż to jeszcze dotąd czeka w niecierpliwości i obawie!

## III.

Drugiém zdziwieniem i drugą nędzą rozpoczynającego się oblężenia, było nagłe zmniejszenie się zapasów żywności. Rząd uprzedził wpraw-

dzie mieszkańców, aby zawczasu porobili zapasy, ale przestrogi téj nikt nie brał na seryo.

Nie przewidywano tu zupełnie zablokowania Paryża. Niektórzy rozsądniejsi mieszczanie ponapełniali wprawdzie piwnice swoje żywnością, ale tych bardzo mała była liczba.

Inni kupowali dla mody, z blagieryi, ten szynkę yorkską, tamten kilka pudełek sardynek, parę kilogramów ryżu lub innéj leguminy i słoje konfitur. Obchodzono wielkie składy korzenne jakby po spacerze. Modne damy przyjeżdżały wystrojone do bramy Potin; pakowały do pojazdów, co popadło: słoje, pudełka, szynki, salcesony, sér i t. d.; płaciły złotem i wracały śmiejąc się jak szalone z nowego rodzaju zajęcia.

Niebawem spostrzeżono, że oblężenie przejdzie w blokadę i że te zapasy poczynione na prędce, bez ładu, jakby żartem, nie potrwają długo. Wtedy, całe miasto jednomyślnie rzuciło się z wyciągniętemi rękami na sklepy z żywnością. Ceny wzrastały z dnia na dzień. Przed drzwiami kupców, traktyerń i t. p. stały długie szeregi gospodyń, rozchwytywały sér, szynki, kiełbaski i inne wiktuały. Jeszcze i w téj chwili śmiano się z tego rwetesu, nie przewidywano, że chwila prawdziwych boleści i wielkich cierpień tak blizką.

Byliśmy przytém świadkami dziwnego i trud-

nego nawet do uwierzenia zjawiska, gdyby nie wymowne fakta, a mianowicie żarłoczny apetyt, jaki nagle ogarnął Paryżan. Nigdy jeszcze *wielkie miasto* nie łaknęło tak za żywnością. Dawniéj jadano, aby wyżyć i nie troszcząc się wiele o wybór. Nie łatwo znalazłeś Paryżanina rozmyślającego wprzód co mianowicie ma jeść na śniadanie, gdy tymczasem w początkach już oblężenia żołądki niecierpliwiły się coraz więcéj. Wzrokiem pożądliwym wpatrywaliśmy się po wystawach sklepowych w olbrzymie stosy pudeł blaszanych, szeregi słojów, w których widać było konfitury żółte lub czerwone, w owe beczki pełne śledzi, i ślinka szła do ust na widok tych wszystkich wiktuałów, jako nadzieję przyszłych biesiad. Niejeden co dotąd kontentował się na śniadanie dwoma jajkami i kawałkiem séra, musiał miéć teraz porządny kawał befsztyku i butelkę czerwonego wina. Czy żołądek dopominał się żywiéj? czy słuchano go więcéj? jest to kwestya, rozwiązanie któréj pozostawiam moralistom. To tylko pewna, że w przewidywaniu wstrzemięźliwości przymusowéj, każdy starał się jeść i więcéj i lepiéj, potrawy przyrządzano obfitsze i więcéj wyszukane. Zdawało się, że wszyscy powiedzieli sobie: tyle naszego, co użyjemy — tém mniéj dostanie się Prusakom!

Nigdy pomiędzy mieszczaństwem zaproszenia nie były liczniejsze jak w tym piérwszym peryodzie blokady. Obiad oblężenia!... wyrażenie uświęcone. I cieszono się naiwnie, drażniąc jakoby Prusaków częstowaniem współbiesiadników smacznym kąskiem, który ciż połykali, wyrzekając na męczarnie głodu. Drwinki niedługo trwały, bo szlachtuzy poczuły niebawem blokadę. Trzeba było wydzielać żywność na porcye—jedno z najtrudniejszych zadań do spełnienia. W owéj epoce nie wystawiano sobie jeszcze wszystkich trudności. Oprócz dostatecznéj na zwykłą potrzebę ilości świéżéj wołowiny i baraniny, była znaczna obfitość mięsa końskiego, daleko łatwiejszego do nabycia, bo odrzucały je przesądy ludowe.

Przypominam sobie, że udając się z rana na ćwiczenia gwardyi narodowéj, przechodziłem koło tłumów zalegających drzwi przed jatką mięsną i wszczynałem rozmowę z gosposiami drepczącemi i posiniałemi od zimna, a mimo to gwarzącemi wesoło czekając na swoją koléj.

— Ależ, mówię im, dlaczego tu stoicie na dészczu i w błocie, narażając się na zaziębienie, kiedy w domu gdzie ja mieszkam na dole otworzono jatkę z mięsem końskiém, właściciel któréj nie rozprzeda nawet zwykle całego zapasu dziennego?

— Ah, konina! krzyknęły ze zgrozą.

Otóż ja jadałem mięso końskie codziennie, i smakowało mi bardzo; również jadali je moi znajomi i przyjaciele, do czego także wzwyczaiła się bez wstrętu klassa bogatszych obywateli. Ale dla skłonienia ku temu robotników i ich żon, trzeba było katuszy głodu. Mógłem śledzić za postępem blokady, obserwując jatkę mego sąsiada sprzedającego koninę. Klientela jego wzrastała z ubywaniem żywności w Paryżu. Około połowy listopada zaczęły już wystawać przy jatce niezliczone szeregi tłumu, tak, że w następstwie otwierał sklep w pewnych tylko godzinach i wydawał mięso jedynie za bonami.

Każdy cyrkuł organizował u siebie wydzielanie żywności, wedle swego uznania. Zewsząd sypnęły się skargi, po większéj części uzasadnione, bo biédne gospodynie trawiły całe półdnie dla otrzymania kawałka baraniny lub wołowiny, a można było oszczędzić im tak długich wyczekiwań pod gołém niebem. Trzeba jednak przyznać, że nie tak to łatwo żywić sposobem administracyjnym dwa miliony ludzi, z usposobienia przebiegłych i czyhających tylko jakby oszukać czujność władzy. W chwili gdy to piszę, organizacya jest jeszcze bardzo wadliwą; jeden cyrkuł w lepszych od drugiego warunkach; system numerów porządkowych wydawanych konsumentom uregulowa-

ny tu więcéj, tu znowu mniéj dogodnie, ale mieszkańcy uzbroili się w cierpliwość, wszystko to, jak mówi lud, *uszykowało się*. Cierpią może więcéj, ale skarżą się nie tak głośno.

Nieraz jeszcze, w ciągu spostrzeżeń naszych, spotkamy się z kwestyą żywności, obecnie zaś idźmy daléj za przerwanym biegiem wypadków.

# ROZDZIAŁ SZÓSTY.

## Bourget.—Kapitulacya Metz.—Manifestacya 31 października.

### I.

Manifest Juliusza Favre'a i nastąpione wkrótce lekkie powodzenie naszego oręża, wzmocniły nadzieję w sercu Paryżan, natchnąwszy nową odwagą, której tak bardzo potrzebowali. Położenie okropne! Byliśmy wzięci we dwa ognie, niemniéj groźne jeden od drugiego: zewnątrz Prusacy, wewnątrz wichrzyciele. Jestem przekonany, że w owéj epoce, to jest w ostatnich dniach września, mieszczanie obawiali się tych drugich więcéj jeszcze niż piérwszych i słusznie, byli oni bowiem, nie wiedząc o tém, sprzymierzeńcami, na których liczyli najpewniéj Prusacy dla wejścia do Paryża,

a Bismark nie taił bynajmniéj swoich nadziei. Na wszystkie tony i strony, po dziennikach i w rozmowie prywatnéj, o czém dosłuchy dochodziły do nas, głosił, że wojna domowa otworzy mu bramy miasta, odzywając się z góry z pogardą o narodzie, w którym najwyższe niebezpieczeństwo ojczyzny nie mogło stłumić wrodzonego ducha niezgody.

Łatwo pojąć, że pomiędzy tymi dwoma nieprzyjaciółmi, niebardzo było nam wygodnie. W jaki sposób zaczépią nas Prusacy? jakiż piorun wystrzeli z chmury, w któréj kryją dotąd swoje zamiary? Nie widzieliśmy ażeby zdecydowali się wziąć miasto jedynie oblężeniem, czekając spokojnie dopóki bunt lub głód nie wydadzą nas w ich ręce. Powinniśmy się byli tego domyślać, bo Moltke posługiwał się zawsze, jak wszyscy wielcy wodzowie, jednym sobie właściwym systemem, to jest okrążał wroga, zmuszając go do kapitulacyi szczelném opasaniem. Bardzo prawdopodobnie użyje więc tegoż środka i przeciw Paryżowi, otaczając go, ściskając całą siłą Niemiec i pozostawiając resztę czasowi. Ale zbrakło nam logiki do podobnéj refleksyi, któréj słuszność wychodzi na jaw zwykle po niewczasie...

Przez cały październik wierzyliśmy w szturm, a przynajmniéj w bombardowanie. Co do bom-

bardowania, to już ani wątpić. Codzień powtarzano: A toćże wiécie, że nastąpi jutro, najpóźniéj pojutrze. Zapowiadano nam takowe na 9 października, potém na 14, jako rocznicę bitwy pod Jena, na 27, rocznicę wejścia Napoleona do Berlina, to znowu na uroczystość urodzin Wilhelma, Augusty, Fryderyka..... Porozlepiane po ulicach proklamacye zalecały zaopatrywać się w beczki pełne wody, wyrywać bruk z podwórzy, kłaść się na ziemię w razie spadania granatów, gasić zajmujący się ogień mokremi chustami, i każdy śpieszył do piwnicy, oglądał sklepienie, czy wytrzyma nacisk walącéj się budowli? Muzea pakowały swoje skarby w podziemiach; biblioteki zaprowadzały blindaże na dachach i zatykały okna; Instytut wystosował do cywilizowanéj Europy grzmiącą protestacyą przeciwko barbarzyńcom zamyślającym oddać tyle arcydzieł na pastwę płomieni. *Times* w jednym z numerów swoich, który dostał się do miasta (takie numera zawsze nas dochodziły), dowodził, że koniec końcem bombardowanie Paryża nie jest znowu tak nadzwyczajną monstrualnością; że zresztą własna jego w tém wina; dlaczego uparł się koniecznie stawiać opór? powstrzymywać zacnych Prusaków? robić im przykrość? Prusacy, ma się rozumiéć, martwią się bardzo, ale do tych nieco surowych środków zmu-

sił ich nasz upór, a więc na nas spadnie odpowiedzialność przed historyą... Ah! *Times* może pochlebiać sobie, że zatruł nam gorzko niejednę chwilę, i jeżeli kiedy!..., ale cierpliwości, cierpliwości! Przyjdzie czas, że się porachujemy. Nie dochodził nas ani jeden dziennik niemiecki, któryby *ex professo* nie traktował o skutkach tyle wyczekiwanego bombardowania, i któryby nie obiecywał go jako ostatniéj pociechy i rozrywki zacnym, godnym synom Niemiec. Oficerowie pruscy, w rozmowach z forpocztami, wyrażali się o niém do naszych spółrodaków z boleścią, jako o nieuniknioném nieszczęściu.

Nie wpadł nam w ręce żaden jeniec, żaden trup nieprzyjacielski, przy którym nie znaleźlibyśmy listów ze wzmianką o bombardowaniu. Młoda, sentymentalna, modrooka Gretchen, nie zaniedbywała nigdy do czułych duserów, gdzie mięszały się i uściski duszy i wełniane pończochy i konfitury i Opatrzność i Beethoven i pamiętny kwiatek zerwany w gaju, dodawać z widoczném zadowoleniem: Powiadają, że bombardowanie rozpocznie się od jutra.

Przychodziły nam na myśl słynne potwory Kruppa, które każdego wprawiały w podziw na Wystawie Powszechnéj. Zapewniano, że biją na 8, 10 a nawet 12 tysięcy metrów. Illustracya

obliczyła odległość oddzielającą od nich różne miejscowości Paryża, zkąd się okazało jak na dłoni, że pociski 150-funtowe mogły dosięgać do placu Théatre-Français. Utworzone wzajemne towarzystwo ubezpieczeń przeciwko przewidywanym szkodom i stratom, zebrało w przeciągu paru dni kilkanaście milionów kapitału.

Tymczasem mijały dnie i tygodnie, a groźne straszydło bombardowania znikło jak dymek, jak czcza mara mgły wieczornéj. Nie usłyszeliśmy ani raz grzmotu armat Kruppa (*). Należy wnosić, że jeżeli wyprawiono je ze Strasburga, to utknęły w drodze gdzieś w głębi parowu, bo nie tak to łatwo kierować machinami ważącemi od 25 do 30 tysięcy kilogramów. Nie dosyć odlać armaty, trzebaż je sprowadzić na miejsce, ustawić baterye. Groźba ta, nie mająca się spełnić, napełniała nas wielką obawą. Drobny fakt wykaże lepiéj od wszelkich rozumowań, miarę dręczącego niepokoju. Odwiédzałem codziennie jednę z moich krewnych, mocno chorą na wściekle panującą w Paryżu ospę. Widmo bombardowa-

(*) Rozdział ten napisałem w piérwszym tygodniu stycznia. W trzy dni potém bombardowanie zadało mi kłam straszliwy. Mimo to pozostawiam ustęp bez zmiany; czytelnik pojmie łatwiéj całą potęgę naszych złudzeń.

nia pomięszało jéj w głowie i za każdym razem odzywała się do mnie:

— Co ja zrobię, gdzie się skryję przed pociskami?

Przynajmniéj na czwartéj części domów paryzkich powiewały flagi ambulansów, ambasad lub konsulatów. Mniemano i łudzono się, że artylerya nieprzyjacielska dojrzy w odległości trzech mil chustę kolorową, przyczépioną do tyczki i uszanuje budowlę znakiem tym osłoniętą! Strzępy wiszą jeszcze, w chwili gdy to piszę, u niektórych okien i balkonów, a dzienniki niemieckie, które czytamy od czasu do czasu, grożą ciągle Kruppem. Dziś już się temu nie wierzy.

Wiadomo, że nic nie niepokoi więcéj nad ciągłe oczekiwanie. W ciągłém wzburzeniu nerwowém zadawano sobie pytania:

— Co zrobi nieprzyjaciel? i dodawano: Dlaczegoż my sami nic nie robiémy?

Ludzie postawieni wypadkiem u steru władzy, byli to ludzie zacni, z sercem, i zasłużeni, ale nie miano zaufania w ich zdolności. Żądano po nich, aby wyszedłszy z granic zwykłych, dziwili codziennie świat jakim świetnym czynem, szczególnym pomysłem. Wspominano ciągle o wojnach secessyi, o owych śmiałych zamachach, jakiemi

odznaczali się improwizowani jenerałowie młodéj Ameryki. Jenerała Trochu uważano tylko za dobrego żołniérza, stąpającego ostrożnie udeptanemi ścieżkami. Zdawało się, że postanowił nie wdawać się w większe bitwy, poprzestając na pomniejszych utarczkach, w których mógłby wyćwiczyć stopniowo świéże i niewprawne wojska, jakotéż skorzystać z udzielonego przez nieprzyjaciela wypoczynku, dla ukompletowania z dnia na dzień sieci fortyfikacyj. Możnaż było działać lepiéj i skuteczniéj? Rozwiązanie téj kwestyi pozostawiam kompetentniejszym odemnie. Co do mnie, poprzestaję na spisywaniu wrażeń wywołanych taką taktyką w owym peryodzie walki. Jedni ganili ją surowo, a i ci nawet, którzy pochwalali ją głośno, prawili o zwlekaniu, i porównywali jenerała do Fabiusza Kunktatora, czuli jakby niezadowolenie wewnętrzne, że rzeczy nie posuwają się śpieszniéj. Na podobieństwo chorego, oskarżaliśmy doktora, gdy choroba nie mija dość wcześnie od lekarstw.

Jenerał Trochu, rodem z Bretanii, posiada sporą dozę uporu. Pochodzi on z rasy tych, co to własném czołem gotowi wbijać gwoździe w ścianę. Nie wiem, czy epigramy dzienników i wzburzona opinia publiczna podziałały na niego, ale pocichu, powoli zajmował się pracą ocenioną pó-

źniéj jak najlepiéj. Kończył fortyfikowanie Paryża na froncie całéj niezmiernéj linii obronnéj, wzmacniając punkta słabsze, i przez to podał miastu możność zmierzenia się z wrogiem wszędzie, gdzieby się tylko pokazał. Prawda, że jednocześnie Prusacy dokonywali zupełnego osaczenia tak, że pewien oficer niemiecki w rozmowie z jednym z naszych lekarzy wojskowych, wyraził się:

— Będzie wam równie trudno wyjść z Paryża, jak nam wejść tamże.

Ta praca podziemna, praca długa i cierpliwa, nie olśniewa wyobraźni, to téż nie widząc skutków, nie poczuwano się za nią do wdzięczności ani dla jenerała Trochu, który ją nakazał, ani dla inżenieryi, która ją wykonywała. Nie mogąc tego ścierpiéć, podano do wiadomości publicznéj urzędowe sprawozdanie o pracach, wykonanych naokoło stolicy w tym właśnie czasie, na zmarnowanie którego tak powstawano. Przekonywano tam nie bez słusznego poczucia dumy, że nazajutrz po strasznych klęskach armii reńskiéj, olbrzymi obwód stolicy nietylko był całkiem bezbronnym, ale i bez kazamat, bez składów prochowych, przecznic i t. p.; że żaden z fortów nie znajdował się na stopie obronnéj, wszystkie zaś roboty zewnętrzne czas zniszczył.

Nie wchodzę w szczegóły wykonanych robót,

bo to należy do historyi. Ona obliczy w swoim czasie olbrzymią ilość worów ziemnych, dział ustawionych na pozycyach, powznoszonych szańców, metrów zdobytego na nieprzyjacielu gruntu; ja poświadczam tylko rezultat ostateczny i uznaję że wzbudza podziw. Jenerał Trochu mógł szczerze przyklasnąć swojemu dziełu, było bowiem dowiedzioném, że odtąd Paryż, o wzięcie którego znienacka zawsze się obawiano, nie lękał się już szturmu i mógł spać spokojnie poza nagromadzonemi uzbrojeniami. Barykady, któremi w piérwszych chwilach uważano za stosowne poprzecinać parki i ulice, stawały się całkiem prawie niepotrzebnemi; nieprzyjaciel, jeśli miał wejść kiedykolwiek, to nie inaczéj, tylko drogą kapitulacyi. I w saméj rzeczy, kommissya barykad istnieć przestała, a przy prezesie jéj, panu Rochefort, pozostał jedynie honorowy tytuł. Co za ironia losu! Toćże sam rząd francuzki ustanowił komissyą barykad, mianując naczelnikiem jéj Rochefort'a! Jakże trafnie mówi Talleyrand, że we Francyi wszystko jest możebne.

Trzymać się obronnie, miało swoją dobrą stronę, — wystąpić zaczepnie, byłoby lepiéj. W wojnach mamy pewnik, że obrona fortecy oblężonéj winna być zaczepną. Dwa wyrazy sprzeczne:

obrona i attak, skoncentrowały wszelkie zdania Paryżan o oblężeniu.

Dlaczego, mówiono, jenerał Trochu nie występuje zaczepnie? Niecierpliwsi wichrzyciele belwilscy nie mówili o niczém inném, tylko o wycieczkach całą massą. Należało ruszyć wszystkim 4 do 500,000 na obrany punkt i złamać wszystko przed sobą, jakby to niby można ustawić w szeregi, rozwinąć i manewrować tak ogromną armią mieszczuchów, umiejących zaledwie robić bronią! Rozsądniejsi nie wymagali tyle, życzyliby jednak sobie mniejszéj ostróżności, nieograniczania się jedynie na rekonesansach. Krytykowali więc: jedni grzecznie, drudzy surowo.

Jenerał Trochu nie zważał na to — miał swój plan.

Pewnego razu przyszła mu nawet niefortunna myśl (takie usterki zdarzają się i sprowadzają zasłużoną karę na wodzów, wdających się w pisomanią) wydania proklamacyi, mniéj więcéj w tych słowach:

— Dajcie mi pokój; mam swój plan i nie odstąpię od niego na jotę. Nie omyliłem się jeszcze w żadnym z sądów moich o obecnéj wojnie, jak o tém można będzie przekonać się po odczytaniu testamentu mego złożonego u rejenta pana Du-

cloux. Dlaczegóż więc i tym razem nie miałbym mieć zaufania we własném zdaniu! Czekajcie.

Ta naiwność, zanadto że tak powiem bretońska, rozśmieszyła Paryżan. Plan pana Trochu, ten plan niewidzialny, otworzył obszerne pole do żarcików. Sypnęły się karykatury, śpiéwki.... Cały Paryż powtarzał śmieszne, improwizowane zwrotki:

Je sais le plan de Trochu
Plan, plan, plan, plan, plan!
Mon Dieu! quel beau plan!
Je sais le plan de Trochu:
Grâce à lui rien n'est perdu!

Quand sur du beau papier blanc,
Il eut écrit son affaire,
Il alla porter son plan
Chez maitre Ducloux, notaire.

C'est là qu'est l'plan de Trochu
Plan, plan, plan, plan, plan!
Mon Dieu! quel beau plan!
C'est là qu'est l'plan de Trochu!
Grâce à lui rien n'est perdu!

I tak daléj w przelicznych zwrotkach, tysiączne niedorzeczności, i zawsze dwuwiérsz:

C'est dans le plan de Trochu
Plan, plan, etc. etc. etc.

Uśmieliśmy się szczerze z owego dość nędznego wprawdzie żarciku, i obawiam się, ażeby jenerał nie wziął go zbyt żywo do serca.

Mimo to pozostał wiernym planowi, który znał tylko sam jeden, a który zależał, przynajmniéj podczas miesiąca października, na wprowadzaniu młodych wojsk w ogień małemi luźnemi oddziałami, jedynie tylko w celu zahartowania; na zastępowaniu wielkich wycieczek częstemi, ale skromnemi rekonesansami, nie mówiąc już o nieustannym ogniu fortów ostrzeliwających we dnie i w nocy przykopy pruskie. Nie moja rzecz wdawać się w naganę takiego systemu, ale proszę czytelnika wystawić sobie położenie nader wrażliwéj i gwałtownie wzburzonéj ludności, kiedy co rano dzienniki karmiły ją podobnemi np. doniesieniami: *Wczoraj Mont-Valerien wyrzucił z tuzin granatów na wznoszoną przez nieprzyjaciela bateryą; zdemontował działa i zmusił żołnierzy do ucieczki....* albo: *Wolni strzelcy Sekwany wykonali w nocy pomyślną wycieczkę nad brzegi Marny; spotkali oddział nieprzyjacielski i zamienili z nim nader żywe strzały. W utarczce téj przynoszącéi prawdziwy zaszczyt naszym wolonterom, nie raniono nikogo.* Zbyt nędzna zaiste strawa dla naszéj niecierpliwości! a ponieważ w Paryżu potrafią śmiać się ze wszystkiego, przeto dzienniki, parodyując wypadki codzienne, donosiły: „*Wczoraj dostrzeżono lekki obłoczek dymu na wzgórzach Saint-Cloud. Przypuszczają, że to jeden z naszych granatów pękł*

*przypadkowo pod łapą przebiegającego psa. Psu urwało ogon, za co też ozdobiony od króla Wilhelma medalem wojskowym.*

Również nie zadawalniały nas wielkie rekonesanse, polecane przez pana Trochu jenerałom Ducrot i Vinoy z oddziałami 10 — 12 tysięcznemi. Raporta urzędowe głosiły ciągle o cudownym zapale naszego wojska, o ważnych stratach poniesionych przez nieprzyjaciela, o zwycięztwie, do którego było już bardzo blizko, ale się nie udało. Koniec końcem, z wypraw tych wracaliśmy zawsze bez najmniejszych dowodów materyalnych mniemanego powodzenia. Co zaś najwięcéj przyczyniało się do wzniecania niechęci ogółu, w tych razach, to że pogłoski wczorajsze kazały zawsze domyślać się świetnego nazajutrz zwycięztwa, przez co rozczarowanie tém boleśniéj dotykało. Pewnego dnia mówiono nam: Ah! gdybyśmy byli mieli tylko dwie baterye więcéj!.... a publiczność nie pojmująca wykrętu, odpowiadała na skargi: A więc dlaczegóż nie mieliście owych dwóch bateryj? Innym razem byliby odcięli 10,000 Prusaków, gdyby wyruszyli o dwie godziny wcześniéj... A więc! odpowiadano, nie należało wyruszać tak późno.... A przecież, mówili wojskowi, była tam dróżyna, która byłaby nas doprowadziła wprost na tyły nieprzyjaciela; ah! gdybyśmy byli wie-

dzieli o niéj!.... Dlaczegóż nie mieliście mappy? wyrokował mieszczanin. Co za szkoda, że było nas tam tylko 10,000, bylibyśmy ich pobili na głowę....! Więc trzeba było wziąć 20,000, a cel byłby osiągnięty. Dzienniki, z postępem czasu również nerwowe jak i ludność paryzka (nawet najumiarkowańsze i najrozsądniejsze) zaczęły się niecierpliwić na seryo; żądały, aby nie przedsiębrano żadnéj wyprawy bez oznaczonego z góry celu, bez punktu przeznaczonego do zdobycia i zajęcia, jako dowód powodzenia. Na takie *dictum*, wystawmy sobie krzyki obozów przeciwnych!

Nie założyłem sobie opowiadać o szczegółach wypadków wojennych i chcę jedynie skreślić zarysy ogólne. Inni rozgłoszą o wartości naszych wojsk, o kombinacyach strategicznych, o nazwiskach bohatérów poległych w walkach za ojczyznę; dość na tém, że wykazałem odbicie się wypadków na umysłach Paryżan. Wrażenie to było jednakowe po potyczkach pod Thiais 2 października, pod Malmaison 8-go, pod Châtillon, Bagneux i Clamart 13-go; przygotowało ono wybuch gorzkiego zawodu, jaki miał nastąpić 1-go listopada po potyczce pod Bourget.

Ale ponieważ jestto jedna z charakterystycznych chwili oblężenia, zatrzymamy się na niéj nie-

co dłużéj. Poddajmy rozbiorowi przyczyny, które sprawiły tę zmianę pojęć.

Wojska nasze nie bardzo były szczęśliwe wewnątrz kraju. Czegóż mogliśmy się spodziewać po nich? Nasi bracia z prowincyi, dla których głównie piszę tę książkę, mogą wyobrazić sobie, z jakim żywym niepokojem staraliśmy się przebić wzrokiem gęstą mgłę, która otaczała wszystko, co się do nich odnosiło; jakeśmy drżeli na najmniejszą pogłoskę o ich działaniach. Jakże jednak rzadkiemi były i nieznacznemi te pogłoski, przedzierające się od czasu do czasu, liniami nieprzyjacielskiemi! Czyby kto uwierzył, że do 7-go października nie czytaliśmy ani jednéj gazety prowincyonalnéj. Dopiéro tego dnia *Gaulois* dostał szczęśliwym trafem jeden numer *Journal de Rouen*. Ah! długo będę pamiętał radość, jaką nam on sprawił. Nasz towarzysz *Beuzeville*, który z wielkim talentem redaguje to pismo, ani się domyśla, jaką nam wtedy sprawił radość.

Trzeba było widzieć w biurze redakcyjném te wszystkie wzruszone twarze, te wszystkie oczy wpatrzone z ciekawością w czytającego. Coś nowego! Dowiemy się więc nakoniec czegoś nowego! Atmosfera milczenia, w któréj dusiliśmy się blizko trzy tygodnie, rozproszy się nareszcie. Ciężar nam spadł z piersi. Nie, nigdy nie dam do-

kładnego wyobrażenia o cierpieniu jakie sprawia odosobnione od reszty świata życie w stolicy cywilizacyi. Oh! z jakąż niecierpliwością, z jakim tłumionym gniewem, znosiliśmy tę katuszę niewiadomości! Najbardziéj niepokojące wieści krążyły między nami, czerpiąc swoje źródło w powszechnéj obawie. Z równą bowiem łatwością wierzymy temu, czego się boimy, jak i temu, czego pragniemy.

Prusacy zajęli Rouen..... Oblegają Havre, pobili armią idącą na pomoc..... Rząd w Tours zdradza nas..... A wszystkie te pogłoski zdenerwowana publiczność skwapliwie chwytała, komentowała, powiększała. Lecz nakoniec dowiemy się prawdy! Mamy ją już! Oto ona. Bądź błogosławionym, ty drobny kawałku zadrukowanego papiéru, który nam ją przynosisz przez szeregi oblężniczéj armii! Nigdy list nie ożywił nas tak i nie uradował, jak te urzędowe depesze, w których opowiedzianą była historya Francyi z ostatnich kilku dni. Radość czy smutek, mniejsza o to, byleby już nie milczenie.

Niezbyt radosne, niestety, nowiny przynosił nam ów dziennik, niezbyt radosnemi były i te, które następnie przedarły się do nas niedostrzegalnemi szczelinami. Nie mówię już o wzięciu Strasburga i Toul, o których dowiedzieliśmy się

wcześniéj, dzięki uprzejméj życzliwości Prusaków. Upadek tych dwóch fortec głęboko nas zasmucił, nie odebrał nam jednak odwagi, był bowiem przewidziany i wiedzieliśmy dobrze, że jeżeli nikt nie przyjdzie im na odsiecz, będą zmuszone kapitulować. Lecz więcéj niż los tych dwóch miast obchodziło nas to, co się działo na prowincyi, co tam robiono. Ah! jakżeśmy się przekonali wówczas o fałszu tego zdania, że Paryż to Francya! Nie, Paryż nie jest Francyą; Paryż bez niéj jest niczém, i dlatego téż zapytywaliśmy się z niepokojem codzień silniejszym: czy Francya powstaje? Jeden z dzienników przedstawił tę myśl powszechnie zajmującą umysły, pod humorystyczną postacią blagi paryzkiéj: Jakiś bourgeois budzi się rano, bierze zégarek ze stolika, a spojrzawszy nań mówi do siebie:

— Siódma! doskonale! prowincya powstaje *(se lève)!*

Nie powstawała! o ile mogliśmy sądzić ze skąpych wiadomści o zachowaniu się prowincyi, wahała się ona, i była podzieloną; w Tours rząd starców bez energii, na wszystkie strony zabiegi bonapartystów, albo orleanistów. Mówiono nawet, że niektórzy członkowie rodziny orleańskiéj przyjechali do Francyi, by ofiarować swą szpadę na jéj usługi, a tém samém jeszcze bardziéj za-

gmatwać położenie; większe miasta rzucone na łup skrajnych stronnictw, okazujące chęć osiągnięcia zupełnego samorządu. Każda prowincya, zapominając o zbawieniu ogólném, stara się tylko o zapewnienie sobie osobistego bezpieczeństwa; i do tego wszystkiego w najniższych społeczeństwa sferach groźba żakeryi, która, jak sądziliśmy, gotową była lada chwila wybuchnąć. Niech nam prowincya wybaczy, jeżeli podówczas zwątpiliśmy o niéj! Nie wiedzieliśmy, a być może i ona sama nie wiedziała, że ta rozległa i bezładna fermentacya zapłonie wkrótce płomieniem patryotyzmu, który wszystkie obejmie serca, że te wszystkie żywioły męzkiéj energii, skoncentrują się i połączą dla utworzenia wielkich armij, i że cała Francya, wspólnym ożywiona duchem, pod wpływem nieśmiertelnego zapału z 1792 roku, podąży na pomoc Paryżowi, pobiegnie, by zdobywać własną swoją stolicę.

Wówczas to postanowiono wysłać Gambettę do Tours, ażeby tenże, młodą swoją popularnością, poparł delegacyą rządu. Gambetta był nam pożytecznym w Paryżu, posiadał bowiem rzeczywisty wpływ na ludzi radykalnego stronnictwa, służył przeto za łącznik między nimi a burżoazyą. Lecz widoczną było rzeczą, iż człowiek ten większą rolę ma do odegrania na prowincyi; wyjechał

tedy szóstego października, uniknął szczęśliwie Prusaków, i wkrótce dowiedzieliśmy się, że objął kierunek spraw i nadał całemu ludowi nowy popęd. Za nim wyjechał wkrótce pan de Kératry, obarczony jakiémś szczególném zleceniem, o którém nic nie wiedzieliśmy; potem Ranc, którego nazwisko nie było wprawdzie zbyt na prowincyi znane, ale który miał tę zasługę, że łączył w sobie przymioty człowieka honoru, człowieka czynu i dobrego republikanina.

Co oni robili w departamentach? Może który dziennikarz prowincyonalny spisuje dla nas ich dzieje jednocześnie kiedy my piszemy to opowiadanie dla niego, ja mogę tylko mówić o pogłoskach, które nas dochodziły od czasu do czasu. Niekiedy była to jakaś depesza Gambetty. Ale Gambetta, będąc południowego pochodzenia, chętnie przekłada efekt oratorski nad szczegółową dokładność, i zamiast powiedzieć nam jak silne były, jak liczne i gdzie stały korpusy armij, utworzonych przez departamenta, oznajmiał nam tylko pompatycznie, że obrona Paryża wzbudzała podziw całego świata. Szydzono u nas z téj przesady i w głębi duszy myślano, że pierwszy minister, dlatego właśnie tak nam pod nos kadzi, że nic lepszego niéma do powiedzenia. Inną znowu razą dochodziły nas dzienniki, jużto francuzkie

prowincyonalne, już to amerykańskie i angielskie, a zwykle za pośrednictwem ambassady amerykańskiéj. Niebardzo były pomyślne. Opowiadały nam one o pięknych czynach wojennych, jak np. o walce miasta *Saint-Quentin* z olbrzymią siłą Prusaków, gdzie miastu dowodził *Anatal de la Forge*, a późniéj o poświęceniu heroiczném Chateaudun, które postanowiło zagrzebać się raczéj pod murami własnemi, niż się poddać. Z tych wiadomości, tu i owdzie spotykanych, mogliśmy byli domyślać się, że na dość rozległéj przestrzeni toczyła się wojna rekonesansowa i podjazdowa, tęgo podtrzymywana przez oddziały partyzanckie, że w całéj téj części Francyi wrzało wzburzenie patryotyczne, płodne w świetne czyny, ale czy się tworzyła armia regularna, któraby zebrała wszystkie te rozrzucone siły i całą massą rzuciła się na odsiecz naszéj nieszczęśliwéj stolicy? Co do tego punktu, najważniejszego ze wszystkich, nie mogliśmy otrzymać żadnéj stanowczéj wiadomości.

Zostawała nam jedna nadzieja: Bazaine trzymał się ciągle w Metz. Jeden z najznakomitszych jenerałów amerykańskich powiedział: że właśnie w Metz znajdował się klucz sytuacyi. Metz powinno cofnąć Prusaków z pod Paryża, najlepszy bowiem sposób wstrzymania psa, jest nadepnąć

mu na ogon. Ten malowniczy obraz bardzo się podobał. Powszechnie wyobrażano sobie Bazaine'a, jak rozerwawszy żelazną obręcz, która go gniotła, wpada na linije oblężnicze z armią, którą liczono najmniéj na 80,000 wojska najlepszego we Francyi! A chociażby téż, mówili najumiarkowańsi, nie udało mu się dotrzéć aż do Paryża, chociażby musiał zatrzymać się w Wogezach, przejmowałby wszelkie konwoje żywności dla nieprzyjaciela i zmusiłby go głodem do cofnienia się nazad; wówczas my, my, Paryżanie, rzucilibyśmy się w pogoń za nim.... I znowu powtarzaliśmy sobie sławny frazes: ani jeden żywcem nie wyjdzie z Francyi!

Illuzye te nie były pozbawione wszelkiéj podstawy. Jednego dnia, znaleziono gdzieś pod krzakiem spadły balonik, którego kosz pełnym był listów; pisali je żołnierze zamknięci w Metz i powierzyli wiatrom. Wszystkie te listy oddychały najpełniejszą nadzieją, wiarą w przyszłość. Mówiły one, że ani chleba, ani mięsa nie brak w oblężoném mieście, że stan moralny garnizonu był wyborny i że Bazaine, kiedykolwiek zechce, może zrobić stanowczy wyłom. Angielskie gazety podawały częste opisy wycieczek, jak je nazywano *wściekłych*, z których każda tysiące ludzi sprzątała Prusakom. Zużyje ich, myśleliśmy, rozdrobni.

Kto wié? może on już idzie w téj chwili! I nadstawialiśmy ucha.

Wyobraźcie sobie tedy wzruszenie Paryża, gdy jednego poranku (28 października), zobaczyliśmy w dzienniku pana Feliksa Pyat p. t. *Combat*, artykuł zatytułowany *Zdrada marszałka Bazaine'a*, a pod spodem otoczony czarną obwódką opis mniemanéj kapitulacyi armii Metz'u, odnawiającéj hańbę sedańską. Nastąpiła zrazu chwila powszechnego osłupienia; osłupienie zamieniło się wkrótce w oburzenie i gniéw.

Zkąd dziennikarz otrzymał tę szczególną nowinę? Wszyscy pobiegli do ministeryum. Członkowie rządu odpowiedzieli, że nie mają żadnych wiadomości o Bazaine'ie. Lud udał się tłumnie do radakcyi dziennika, grożąc, że wszystko zrówna z ziemią. W nieobecności pana Pyat, wezwano plenipotenta jego, aby wymienił osobę, która twierdziła o fakcie. On wskazał p. Flourens, który znowu z kolei odwołał się do Rochefort'a. Rzecz nabierała ważności, bo Rochefort był członkiem rządu. Ale Rochefort zapewniał, że nic takiego nie powiedział, a Flourens oświadczył, że wié jeszcze o jednéj osobie, któréj nazwiska nie może wyjawić.

Uważano więc wiadomość za podejrzaną, a jednak niemy niepokój miotał ciągle wzburzonemi

umysłami. Dzienniki nie pisały już o niczém; tylko mówiono sobie po cichu do ucha:

— Czy wiész? jest fakt, na nieszczęście prawdziwy, Bazaine poddał się.

— Cóż znowu! zkąd masz tę wiadomość?

Nie tłumaczono daléj; potrząsano głową. Niedowierzający (takich było dużo) upierali się przy swojém. Trzydziestego piérwszego nakoniec trzeba było uwierzyć. Wiadomość została urzędownie ogłoszona, ostatnia nasza nadzieja rozpierzchła się, i to właśnie w czasie, kiedy dowiedzieliśmy się o porażce pod Bourget. Porażka ta, właściwie mówiąc, nie była wielką i ponosiliśmy już okropniejsze. Ale wiadomość o tém przyszła w złéj chwili i pod najnieprzyjemniejszą formą, jaką sobie można wyobrazić. Wieczorem dwudziestego ósmego, pułk wolnych strzelców wsunął się do Bourget, małéj wioski niedaleko Saint-Denis, i napadł na oddział tam stojący a po całonocnéj walce, która nie była zbyt ważną, zajął wioskę. Pozycya była, co prawda, nieszczególna, i nie warto jéj było bronić ani zdobywać. Prusacy przyszli tam nad ranem z liczniejszemi siłami, ale natarli słabo, zostali odepchnięci. Zostaliśmy panami położenia. Tylko nasza miłość własna zyskała na tém, bo Bourget było zupełnie nieużytecznem, i lepiéj byłoby opuścić je natychmiast. Ale tym-

czasem szeroko zaczęto głosić o tém zwycięztwie ludności paryzkiéj, oznajmiono jéj, w urzędowém ogłoszeniu, że armia rozszerzyła ciasną obręcz żelazną, która nas otaczała, i zmusiła Prusaków do odwrotu. Skoro tak mówiono, to trzeba było fortyfikować się pod Bourget i myśléć na seryo o wzmocnieniu téj pozycyi. Czy to przez niedbalstwo gubernatora, czy téż przez zapomnienie jenerała, nie posłano tam jednak ani posiłków, ani artyleryi. Nasi żołnierze, którzy już bili się cały dzień i całą noc, stali na ulewnym deszczu z nogami w błocie, omdléwając ze zmęczenia i na pół nieżywi z zimna. Zapewniają nawet, że wielka ich część, znalazłszy pełne piwnice, nie omieszkała z nich korzystać. Dosyć że ze świtem dnia, Prusacy nadciągnęli z wielkim oddziałem wybornéj artylleryi, a podczas kiedy nasi żołnierze, oślepieni piekielnemi kartaczami, strzelali na chybi trafi do nieprzyjaciela, część jego sił okrążyła nasz oddział. Trzeba było się cofać; ci, którzy jeszcze chcieli stawić opór, zostali wzięci do niewoli; tamto Ernest Baroche poległ po bohatérsku, i chwalebną śmiercią zmazał niesławę swego imienia.

Bourget przepadło dla nas. Szkoda nie była wielka, bo nie był to wcale punkt użyteczny, ale utrata pozycyi zrobiła ogromne wrażenie moral-

ne w Paryżu. Powstał jednogłośny krzyk oburzenia, boleści i rozpaczy. Zawsze to samo! nigdy dosyć artyleryi! Nasi żołnierze bez broni i żywności! Pocóż prowadzić niemożebną dla nas walkę? Trudno byłoby opisać zwątpienie, w jakie popadła ludność paryzka. Bourget zniszczone, Metz poddał się, to zawiele na raz!

Inna okoliczność skłaniała jeszcze umysły do zupełnéj apatyi. Thiers otrzymał od rządu na kilka dni przed oblężeniem, misyą, któréj treści dotąd nie znamy, do różnych gabinetów Europy. Pojechał wśród zimy do Londynu a ztamtąd do inszych większych stolic. Od czasu do czasu znajdowaliśmy małe artykuły po dziennikach, donoszące o jego podróży: „Pan Thiers obecnie bawi w Petersburgu, gdzie jest jak najlepiéj przyjmowany“.... „Pan Thiers zabawił tylko kilka dni w Wiedniu, znalazł świetne przyjęcie. Spodziewamy się, że przekona pana Beust, iż interes Austryi, ściśle związany z losami Francyi, etc etc.“ Miéjmy nadzieję! powtarzano, ale się niczego dobrego nie spodziewano, i zwątpiono o wszelkiéj interwencyi mocarstw, gdy nagle rozeszła się pogłoska po mieście, że Thiers przyjechał, przywożąc ważne wiadomości o zawieszeniu broni i że na prośbę cesarza rossyjskiego otrzymał od Bismarka pozwolenie wolnego przejazdu przez linie pru-

skie. Urzędowe ogłoszenie potwierdziło wkrótce te wieści.

Każdy rozumował sobie, dowiedziawszy się o tém, jak następuje:

Jeżeli Bismark pozwala znosić się Thiersowi z rządem obrony, to widać nie uważa zawieszenia broni za niemożebne; a zawieszenie broni to wstęp do pokoju! Francya wybierze Zgromadzenie narodowe, które będzie traktowało z Prusakami o pokój, i uwolni nas już raz od ciężaru téj strasznéj wojny. To niezawodna, że jeżeli mocarstwa europejskie na prośby Thiersa wmięszają się na korzyść Francyi, to interwencya nie może być platoniczną. Myślą wpłynąć na postanowienia Prusaków nietylko namową i prośbą. Wiedzą one, że strzały armatnie bardziéj są niezwyciężone niż wszelkie argumenta.

Na wieść o pokoju nastąpiło jakieś opuszczenie nawet najenergiczniejszych umysłów. Spotykano się na ulicy:

— I cóż myślisz o zawieszeniu broni?

— Myślę że już zawarte.

— To rzecz oczywista.

Ta wiara wywołała szczególny, zabawny symptomat. Oddawna już sklepy z wędliną zupełnie były próżne, w oknach ani śladu żadnéj wystawy. Szynki, słonina i inne tym podobne przedmioty

dawno już były skonsumowane. Aż tu nagle, na wiadomość o możliwém armistycyum, wychodzą na jaw szynki, kiełbasy, pasy słoniny, salcesony, serdele i t. d. zachowane po piwnicach w nadziei lepszego ich spieniężenia przy wzrastającym głodzie. Ludność stawała tłumnie przed oknami, przyglądając się dawno niewidzianym przysmakom. Pojawiła się z tego powodu karykatura: „*Le cochon c'est la paix.*“

Przednie straże zaprzestały dawać ognia i Mont-Valerien także już nie strzelał. Wnoszono ztąd, że dwie armie nieprzyjacielskie zawarły milczące przymierze, a od tego przymierza do zawieszenia broni i od zawieszenia broni do pokoju, było już bardzo blizko. Byłato powszechna radość. Powszechna, nie; można było znaleźć pewną liczbę obywateli, szczerze przywiązanych do kraju, którzy nie chcieli ani myśléć o układach, prawdopodobnie przynoszących hańbę, a z pewnością wątpliwych; inni, którzy zapatrywali się na rzeczy z mniejszém uprzedzeniem i znali dawniéj wybiegi pruskiéj polityki, byli przekonani, że wszystkie te zwłoki ukrywały w sobie jakąś nową Bismarka zasadzkę, że on nas tylko chciał łudzić próżną nadzieją. Lecz wszyscy ci wątpiący ludzie milczeli i zachowywali dla siebie samych smutne przewidywania. W téj porze oblężenia prawie

cała burżoazya paryzka z upragnieniem wyczekiwała pokoju, okazując to na zewnątrz bardzo wymownie.

Dla téj to przyczyny stronnictwo radykalne wybrało tę porę naszego oblężenia w celu urządzenia rewolucyi i zagarnięcia władzy w swoje ręce. Stronnictwo to wywołało manifestacyą, którą dziś nazywają *dniem 31 października*, lecz żeby czytelnik dobrze zrozumiał tę sprawę, musimy cofnąć się trochę w tył.

## II.

Wspomniałem już kilka razy o mieszkańcach Belleville i o przerażeniu, jakie oni wzbudzali w szeregach mieszczaństwa. Jestem pewny, jednakże, iż belwilczycy nie byli wcale tak straszni, jak ich malowano po dziennikach. Pomiędzy wyrobniczą ludnością, zamieszkującą wzgórza Belleville, Ménilmontant, Montmartre i Clignancourt, było bardzo wielu zacnych robotników, którzy zachowaniem się swojém w dalszym przebiegu oblężenia nieraz dali dowód głębokiego uczucia patryotyzmu. Lecz nie wszyscy byli do nich podobni. Z ich grona właśnie pochodziły rozgłośni *blouses blanches*, którzy za czasów cesarstwa przejęli trwogą cały Paryż.

Między nimi rekrutowała się owa mała banda blankistów, którzy 15 sierpnia, w sam dzień napoleońskiéj uroczystości, wpadli znienacka na oddział pompierów i ogłosili rzeczpospolitą, zabijając z pistoletu kilku najniewinniejszych przechodniów. Między nimi zresztą, w tym steku nędzy, zazdrości, lenistwa i gniewu, wrzał bezustannie ferment nienawiści, który był gotów w każdéj chwili do wybuchu. Nie zbywało na ludziach gotowych do wyzyskiwania tych namiętności i tych potrzeb. Jedni z nich byli może przekonani, że podburzając te męty społeczeństwa, pracowali dla szczęścia ludzkości; inni, powodowani żądzą wyniesienia się, zdolni byli nie cofnąć się przed niczém, byle tylko ogarnąć władzę i posiadać ją chociażby przez chwilę.

Stronnictwa rzadko kiedy mówią otwarcie o co im chodzi, a żądanie ich da się zwykle streścić w bardzo prosty sposób: „Wynoś się ztąd, zrób dla mnie miejsce.” Wypisują za to na swoim sztandarze jakąkolwiek reformę i pod pokrywką téj zmiany przez wszystkich szanowanéj, posuwają się naprzód. Przywódcy belwilczyków wzięli za godło *Kommunę*. W gruncie rzeczy niechodziło im bynajmniéj o zasadę municypalnéj reprezentacyi; najlepszy dowód w tém, że domagając się Kommuny dla Paryża, przeciwni byli wybo-

rom rad municypalnych na prowincyi. Lecz czuli oni dobrze, że rząd, który winien był swój początek i swoją siłę aklamacyi ludu, nie będzie mógł opierać się zbyt długo Kommunie, wynikającéj z wyborów prawidłowych, a pochlebiali sobie, że ową Kommunę albo sami złożą w całości, albo że przynajmniéj będą stanowili w niéj większość. Wiedzieli i o tém, że w każdém ciele zbiorowém zapaleńcy kierują wszystkiém i w każdéj kwestyi rozstrzygają. Dla tego téż z wściekłością domagali się Kommuny, a siłę ich stanowiło to, że mieli słuszność; mogli bowiem byli odezwać się do swoich przeciwników: „Podówczas gdyście wy sami należeli do opozycyi, każdy z was twierdził, iż niesprawiedliwością jest odmawiać Paryżowi swobodnie wybranéj rady municypalnéj, jakim że prawem tolerujecie teraz błąd, który niegdyś potępialiście tak często i tak surowo?“ Rząd obrony składał się na nieszczęście z ludzi bojaźliwych. Wahał się, zwlekał. Gdyby był odrazu odpowiedział tym panom: „Ocalmy piérwéj Francyą, potém zobaczymy. Paryż otrzyma radę municypalną wówczas, kiedy zostanie na nowo prostém municypium, a nie tak, jak dziś, zbrojnym obozem. Nie chcemy zwoływać wyborców i nie zwołamy ich. Milczcie, bo jeśli nie!...“ Gdyby był odezwał się tak energicznie, albo téż, ufając

rozsądkowi ludu paryzkiego zgodził się odrazu na wybory, nie bylibyśmy mieli tych smutnych scen, o których mam jeszcze powiedzieć słów parę. Ale nie ma rzadszego przymiotu w rządzących, nad posiadanie pewnego stałego systemu i wytrwałe trzymanie się takowego. Członkowie naszego rządu wahali się rozstrzygnąć téj żywotnéj kwestyi, aż do ostatniéj chwili i o mało co kwestya ta nie stała się przyczyną ich zguby.

Opowiadałem już ile wrzawy narobiło stronnictwo belwilskie, w epoce bytności Juliusza Favre'a w Ferières. Sławny manifest tego męża stanu, który wszystkie serca zjednoczył wspólną myślą zwycięzenia lub śmierci, zamknął mu był usta, jak się zdawało, na zawsze. Tymczasem kwestya wyborów Kommuny chwilowo tylko została przytłumioną. *Réveil* podjął ją wkrotce, i stała się ona znowu ogólném hasłem stronnictwa. Dnia 28 października odbyło się przy ulicy *Aumaire*, liczne zgromadzenie ludowe, na którém pan Ledru-Rollin, przypominając sobie piękne dni dawnéj swojéj wymowy, ożywił całe audytoryum rozbiorem znaczenia Kommuny. „Przychodzi mi na myśl, zawołał, że to właśnie wielka Kommuna ocaliła świętą ziemię ojczystą od najazdu cudzoziemców.... Lyon ustanowił ją na nowo; czyż pozostaniecie w tyle za Lyonem, wy, Paryżanie,

którzyście szli zawsze na czele rewolucyi? Czyż nie zrobicie tego, co zrobił Lyon? Zrobicie, zrobicie! Jesteście gotowi odwołać się do waszego prawa i nadać sobie Kommunę!...“ A przypomniawszy, że rząd obiecał pozwolić na wybory i odłożył je tylko „Musicie, dodał, obywatele, odpowiedzieć na to rozporządzenie dobrowolném wystąpieniem z wyborami. Odbędziecie je jaknajspokojniéj, dziś albowiem wszystka krew nasza do Francyi należy. Znajdzie się przecież choć jeden mer republikański, który widząc, że prawo za wami, pozwoli wam przystąpić do wyborów, inni pójdą za jego przykładem. Jeżeli uważacie, że Kommuna doda wam siły do wypędzenia zuchwałego cudzoziemca, nalegajcie, działajcie, głosujcie! Staniemy się godnymi naszych ojców; spełnimy nasz obowiązek, naśladując ten wielki lud i tę wielką Kommunę paryzką, która w 1792 roku ocaliła Francyą i przygotowała rzeczpospolitą.“

Jednogłośnym okrzykiem potwierdzono te gorące słowa. Nie idzie jednak zatem, aby Ledru-Rollin mógł być przywódcą stronnictwa. Był stary, zmęczony, zniechęcony, a może, mówiąc między nami, przeczuwał naprzód opłakany stan burzliwéj fakcyi, za którą przemawiał. Ale głos jego miał szczególną siłę, któréj nie utracił jeszcze. Niewiele trzeba było logiki, aby zbić jego dowo-

dzenia. Łatwo można było okazać, że jego Kommuna była tylko tyranią stolicy nad resztą Francyi; paryzką radą-dziesięciu, dyktującą prawa całemu krajowi; że wszyscy ci pseudo-unitaryusze i centralizatorowie, byli, właściwie mówiąc, federalistami; że objawiając zamiar skoncentrowania Francyi w jednym klubie albo raczéj w jednéj sali paryzkiego ratusza, budzili tém samém w departamentach chęć odwetu, które, być może, postanawiały sobie zostawić ów Paryż w jego niedostępném więzieniu i bronić się u siebie w domu; że wielcy rewolucyoniści, na których się powoływano, zjednoczyli Francyą, kiedy tymczasem oni, nierozsądni ojcobójcy, niweczyli ich dzieło i ćwiertowali własną ojczyznę.

Ale jakiż jest sposób nauczenia rozumu opętanych demagogów, z których wielu było prostymi niedołęgami i wołało: Kommuna! Kommuna! nie wiedząc nawet znaczenia tego wyrazu, i czy on nie był czasem panaceum w rodzaju tych, jakie sprzedają szarlatani na publicznych placach na wszelkie choroby. Iluż szarlatanów, niestety! w jedném stronnictwie! A iluż szaleńców! Feliks Pyat był jednym z najniebezpieczniejszych. Redagował *Combat* z szalonym zapałem i nadawał mu formę romantyczną, z któréj śmieli się wykształceni, a która zachwycała ludzi mało oświéconych

Blanqui wydawał *Patrie en danger*, które znikło w połowie grudnia z powodu braku czytających, ale które w swoim czasie było bardzo poczytném. Blanqui byłto bardzo zręczny sofista, umiał zgrabnie pochlebiać swoim stronnikom, i uderzać właśnie w najsłabszą stronę przeciwników. Jego dziennik był pisany z wielkim talentem, ale ze złą wiarą. Współpracownicy gazety *Rappel* Vacquerie, Paul Meurice i synowie Hugo; współpracownicy *Cloche*, Ulbach i jego przyjaciele, nie byli właściwie z téj partyi. Nie wyli razem z wilkami, doszczekiwali tylko z tyłu. Obok pisarzy, ludzie czynu. Flourens najbardziéj z nich był znanym, wzbudzał sympatyą przez swą nieustraszoną odwagę i zamiłowanie do przygód. Ci, którzy się do niego zbliżali, mówią że posiada w sobie to, co lud paryzki nazywa „un coup de marteau.“ Jeżeli to co przytaczają jest prawdą, posiada on próżność chorobliwą i nieuleczoną. Sam ustanowił się wodzem pięciu batalionów gwardyi narodowéj, a ponieważ nie chciano mu nadać tytułu pułkownika, który nie istniał wówczas, sam znowu nazwał się majorem, nie dbając o śmieszność przywiązaną do tego tytułu, który już tylko błąkał się za table d'hôte'em. Nie pamiętam jaki dziennik nazwał go majorem apokalipsy. Oprócz niego, błyszczały i inne imiona wodzów

batalionowych: Sapia, który został raz pojmany przez własnych ludzi, gdy im zalecał aby gromadnie szli na ratusz; Mégy, który miał tylko z tego względu prawo do zaufania swoich żołnierzy, że wystrzelił z pistoletu do jednego serżan-de wila za czasów cesarstwa; Vallès, pisarz potężnego talentu, przypadkiem zamięszany w ten zastęp, i wielu innych, których wymieniać ani miejsca, ani potrzeby.

Dziennikarze stronnictwa nakłaniali do manifestacyj; dowódcy batalionów organizowali je. Robiono te manifestacye bez żadnéj nieraz przyczyny, a raczéj wszystko służyło za przyczynę dla nich. Dnia 5 października, pan Flourens, na czele batalionów Ménilmontant i Belleville, stanął przed ratuszem przy dźwięku muzyki wojskowéj. Żądał szaspotów dla swoich ludzi. Rząd obrony ukazał się w komplecie i oznajmił, że nie posiada już szaspotów, ale że przysposabia wiele kartacznic. Ah! odpowiedział Flourens, nie macie szaspotów, a ja obiecałem je moim ludziom, podaję się zatém do dymissyi! Ha, i owszem, mówi na to rząd, przyjmujemy dymissyą! Przyjmujecie? wołał z dumą Flourens, więc to dla draźnienia się ze mną? cofam ją zatém!

Cała ta historyjka wygląda na bajeczkę, a raczéj na anegdotę opowiadaną przy kieliszku. Je-

dnakże jestto czysta prawda. Gubernator Trochu i Gambetta musieli codziennie przyjmować delegowanych od kogobądź i w jakiéjbądź sprawie, musieli zrywać sobie piersi dla wytłumaczenia różnych powodów, czego najczęściéj nie słuchano wcale; wszystkie popołudniowe godziny schodziły im na tém.

Radykalne dzienniki zdwajały tymczasem swoje napaści i rzucały się wściekle na wszystkie strony. „Ah! wołał jeden z pisarzy w *Patrie en danger* Blanquiego, rozkład i śmierć mamy we własném łonie. Czujemy że zwolna zesuwamy się w przepaść. Dzika wesołość arystokracyi urąga naszéj żałobie, a Prusak czyha w cieniu, niewzruszony... Gdzie się podziały nadzieje, gdzie jedność piérwszéj godziny? daleko uleciały, daleko, te jedyne chwile! Zdaje się, jakoby już wieki przemknęły nad tą rzecząpospolitą jednego dnia, którą znów jeden dzień może w niwecz obrócić. Wieki okrutnych cierpień, straszne wieki, podczas których serca popękały, włosy okryły się siwizną. A przecie my kochamy tę naszą rzeczpospolitą! I biada temu kto ją zgubi, kto ją nam z rąk wydrze. Komiczny rząd obrony narodowéj był tylko bladém Bonapartego naśladownictwem. Zabił on nadzieję, stłumił zapał. Zmarnotrawił te niezmierzone siły, które się zowią entuzyazmem i porywem lu-

du. Dzisiaj w Paryżu nie tyle panuje Trochu Pobożny i Kératry Szuan, ile czarna niewiara. Gambetta, Trochu, historyczne imiona, godne stanąć obok Fouché i Marmont'a...“

I tak daléj przez trzy szpalty! Codzień powtarzały się podobne napaści na członków rządu obrony, codzień przy końcu obelg taż sama zwrotka: „trzeba nam kommuny!“ Kommuna, jako taka, miała nam wszystko sprawić: i żywności dostarczyć, i ludzi stworzyć, i wypędzić Prusaków, i Francyą na Arkadyą zamienić.

W końcu chmura pękła. Dnia 8 października odbyła się wielka manifestacya przed ratuszem. Trzy czy cztéry tysiące narodowych gwardzistów nadciągnęło z Belleville. Nieśli oni duże chorągwie z ogromnemi napisami wyrazu przyjętego za ogólne hasło, i wszyscy razem krzyczeli: „Niech żyje Kommuna!“ Ale rząd przedsięwziął pewne środki ostrożności. Zewsząd rozlega się po całym Paryżu sygnał alarmowy. Kilka batalionów nadbiega pędem, wpada na plac, formuje kwadrat i zmusza tłum do cofnięcia się. Juliusz Favre, na czele kilku kolegów wychodzi z ratusza, podczas gdy Trochu ze sztabem i jen. Tamisier obchodzą szeregi. Na ich widok powstają kilkakrotnie powtarzane okrzyki: „Niech żyje rzeczpospolita! precz z Kommuną!“ Manifestacya się nie udała; organi-

zatorowie chcieli powtórzyć ją nazajutrz, ale zniechęcenie owładnęło po części massami, zresztą byłato niedziela i deszcz lał jak z cebra, a to wystarcza do ochłodzenia paryzkiego zapału. Jeszcze więc raz rząd utrzymał się jako pan położenia. Lecz każdy czuł, że tryumf-to tymczasowy. Między dwoma stronnictwami istniał ciągle ferment, lada chwila mogący sprawić wzburzenie.

— Cóż-to, myślały sobie w duchu dawne bataliony, czyż codziennie musimy bronić ratusza? I tak już każdy z nas przepędza dwie doby co tydzień na wałach, a tu przybywają jeszcze popołudniowe, prawie codzienne marsze po deszczu na publiczny plac! To nie żarty, wartoby już raz skończyć z tymi waryatami!

Kommunaliści również żywo uczuli swoją porażkę. Rząd, uspokojony zachowaniem się ludności, oznajmił drogą publicznéj proklamacyi, że nigdy nie ulegnie groźbie i nie pozwoli na municypalne w Paryżu wybory. Panowie agitatorowie połknęli najprzód pigułkę klęski w milczeniu, ale czekali tylko na stosowną chwilę nowego wystąpienia. Chwilę obecną uważali za bezpowrotnie straconą, po wielu i rozmaitych symptomatach. Rochefort, którego napastowali o to by się podał do dymissyi na skutek ostatnich wypadków, odpowiedział im że tego nie zrobi w liście patryo-

tycznym, zacnym i przynoszącym zaszczyt prawości tego człowieka. Blanqui, który uważał za rzecz stosowną złożyć godność szefa batalionu i poddać się pod głosowanie podkomendnych, nie znalazł aprobaty w szeregach gwardzistów, i rzeczy wzięły tak przykry dla niego obrot, że niewierny batalion znaczną większością głosów czarne włożył za nim do urny kuleczki!

Tymczasem *Patrie en danger*, *Combat* i inne gazety nie zaprzestawały swoich napaści, równie może gwałtownych, tylko trochę mniéj czytanych. Lecz w sam dzień manifestacyi, podczas najsilniejszego wzburzenia umysłów, w chwili gdy prawdopodobnie miała się już rozpocząć bójka, niespodzianie, nagle, odezwały się działa, i ten głos, głos ojczyzny saméj, przygłuszył uliczne rozruchy. Za piérwszym wystrzałem ucichły krzyki. Każdemu stanęła przed oczyma święta postać Francyi. Zdawało się, iż wzywa ona swoje dzieci do zgody. I, przysiągłbyś, wszyscy usłuchali tego głosu. Nawet w klubach, gdzie najsilniéj manifestowała się opinia publiczna, zapomniano prawie o kommunie, a przynajmniéj kwestya ta nie wywoływała już burzy.

Płomień dojrzéwał pod popiołem. Przywódzcy wyglądali potajemnie stosownéj chwili. Zajęcie Bourget, okupacya Orleanu, poddanie Metzu,

a nadewszystko missya Thiersa dostarczała im wybornéj tezy do deklamowania, któréj też wyzyskiwać nie zaniedbywali z werwą i zręcznością. Podwoili siłę napaści względem umysłów słabych, które, niezadowolone ze wszystkiego i z siebie samych, podniecane, zdenerwowane, nie wiedziały kogo winić za tyle naraz nieszczęść. Przedstawiali rząd jako grono ludzi nie pojmujących swego powołania; wszędzie zdrady: pod Bourget dobrowolne poświęcenie pewnéj liczby żołnierzy dla odebrania otuchy całéj armii; Bazaine w porozumieniu z rządem, który bez wątpienia znosił się potajemnie z jakimś kandydatem do tronu; Thiers, ajent orleanistów, pracujący nad dziełem pokoju na rachunek księcia d'Aumale. Nie potrzeba prawie zwracać uwagi jak nierozsądnemi były te zarzuty.

Co do Bazaine'a podejrzenie było całkiem nieuzasadnione i dziś nawet kiedy to piszę nic stanowczego pod tym względem nie da się powiedzieć. Thiers, któremu wiele błędów i wad można darować z uwagi na szczéry patryotyzm jaki go ożywia, dał dowód najpiękniejszéj gorliwości w téj całéj sprawie i oddał nam znakomitą przysługę przez nakłonienie cztérech wielkich mocarstw do zbiorowego wystąpienia na korzyść pokoju (?). Co zaś do Trochu, byłto człowiek uczciwy, który

głęboko się przejął żądzą wypędzenia Prusaków i byłoby nikczemnością posądzać go o konszachty z tchórzami lub zdrajcami. Ale czyż stronnictwa zastanawiają się!

— Wypędźmy wszystkich tych ludzi, powtarzali belwilczycy, i utwórzmy Kommunę.

Kommuną byli oni sami. Wiele osób mniemało, że w ich działaniach znać było rękę i piéniądze Bismarka, a nawet sam rząd zdawał się podejrzywać to samo, skoro oświadczył późniéj, gdy Bismark, spodziéwający się rewolucyi w Paryżu, zerwał układy co do zawieszenia broni, że zerwał je, dowiedziawszy się iż ta rewolucya nastąpiła właśnie. Co do mnie, waham się posądzać o zdradę. Tacy Delescluze, Pyat, Blanqui, Flourens, czuli się zupełnie w prawie zachowywania w obec rządu obrony téj taktyki, jaką członkowie tego rządu zachowywali w obec cesarstwa. Dawna lewica skorzystała z wybornéj sposobności dnia 4 września; oni sądzili, że 31 października przedstawia takąż okazyą dla nich, i dlatego nie zawahali się skorzystać z niéj.

Nie wiadomo jeszcze nic pewnego o szczegółach tego dnia i o roli jaką w nim odegrali rozmaici przywódzcy ruchu. Przez cały tydzień gazety były pełne sprostowań, zarzutów, zaprzeczeń, z pomiędzy których człowiek lubiący pra-

wdę nie może wyplątać żadnego zdania. Dopiéro gdy działacze występujący w tym wielkim dramacie opowiedzą go, każdy ze swojego punktu zapatrywania się, można będzie zdobyć się na opis więcéj zasługujący na wiarę. Postaram się podać ogólny tylko zarys wypadków.

Od samego rana 31 października bębny przyzywały ludzi broni do appelu, a około jedenastéj wiele batalionów udało się ku Ratuszowi. Wiedziałyż one co tam robić mają? Byłyż stanowczo zdecydowane? Niektóre, zapewne, w tym lub w owym kierunku. Większość, jak sądzę, wahała się. Czuła ona, że domowe rozterki straszném były nieszczęściem; w czyjeż atoli rzucić się objęcia dla uniknienia rozlewu krwi? Pod tym względem nie było zgody. Szli niektórzy, więc szli i wszyscy; krzyczeli niektórzy, a zatém i wszyscy krzyczeli. Nie jestto zbyt bohatérski obraz, ale trudno, opisuję rzeczy tak jak je widziałem.

Przez całe południe trwała manifestacya. Członkowie rządu bronili się jak mogli, jeden po drugim występował i zabiérał głos do ludu, który wydawał pomieszane okrzyki. Mer Paryża Stefan Arago, po nim Rochefort a nakoniec sam Trochu próbowali swojéj wymowy na tym tłumie co chwila wzrastającym. Lecz głos ich znikał w niewypowiedzianym tumulcie. Około drugiéj deputacya ja-

kaś objawiła życzenie, by ją wpuszczono do samego ratusza, na salę gdzie rząd odbywał posiedzenie. Deputacya składała się z 50 osób, a na jéj czele stali panowie Maurice Joly, Chassin i Lefrançais. Żądali oni wyjaśnień co do sprawy Bourget: rząd udziela wyjaśnienie, zwalając winę na jenerała Bellemara, który działał bez rozkazu.

— To nie prawda! to nie prawda! woła Maurycy Joly.

Pośród burzy wywołanéj przez to, oddają jakiś bilecik jenerałowi Trochu, który czytając go, blednie.

— Już po Francyi! szepnął.

Na kartce mieścił się projekt postanowienia, jakie rokoszanie chcą narzucić rządowi:

„Za trzy dni wyborcy przystąpią do głosowania na członków Kommuny paryzkiéj; Kommuna składać się będzie z 80 obywateli, w liczbie których znajdą się członkowie przyszłego gabinetu, odpowiedzialni przed Kommuną, tak jak Kommuna jest odpowiedzialną przed ludem francuzkim. Władza Kommuny ustanie z dniem opuszczenia terrytoryum francuzkiego przez wojska nieprzyjacielskie, wtedy bowiem zgromadzenie konstytucyjne będzie mogło swobodnie zostać wybraném.“

Członkowie rządu wychodzą na ustęp, żeby porozumiéć się co do tego projektu. Na placu

tymczasem gwar się wzmaga. Dają się nawet słyszéć wystrzały, niewiadomo zkąd pochodzące. Pod pokrywką zamięszania, mnóstwo narodowych gwardzistów wysadza bramę ratusza i rozbiega się po salach. Manifestacya ustaje a zaczyna się rewolucya. Panowie Delescluze i Pyat są teraz na placu. Przygotowują piérwszą listę, gdzie za swojemi nazwiskami piszą nazwiska p. p. Ledru-Rollin i Dorian. Otwierają okna i przez kraty wyrzucają drżącą dłonią listy nowych rządców miasta. Nie wszystkie listy zgadzają się z sobą; każdy bowiem pisze swoją własną; kilka jednakże nazwisk znajduje się wszędzie, a mianowicie téż nazwisko pana Dorian, którego lud, nie wiem zkąd i dlaczego, chciał koniecznie ogłosić dyktatorem; ledwie się obronił od tego.

Tymczasem buntownicy zagrażają już sali, do któréj schronili się dla narady członkowie rządu. Sypią się na nich obelgi, groźby. Favre stoi nieporuszony, Simon obojętnie kréśli coś piórem na papiérze, Trochu patrzy ze wzgardą na lufy karabinów ku niemu skierowane.

— Wyjdź, jenerale, ktoś rzekł do niego; zamordują cię.

— Jestem żołniérzem, odrzekł; powinienem zginąć na stanowisku.

Wszyscy zresztą wyglądają śmierci; jeden tyl-

ko Ernest Picard, minister skarbu, zdołał się wymknąć. Nie traci on głowy. Bieży do swojego ministeryum; wysyła rozkazy do batalionów na które rachował, uprzedza zarząd telegrafów, posyła sztafetę do jenerała Ducrot i w całym Paryżu odzywa się alarmowa pobudka.

Nadchodzi godzina ósma wieczorem; wierne bataliony przybiegają. Na krzyki *vive la Commune!* odpowiadają krzykiem: *vive Trochu!* Dostają się na plac ratuszowy i dziwna rzecz, iż w takim tumulcie, śród nocnéj ciemności, nikogo nie pozbawiono życia.

Podczas gdy dokonywano tego ruchu, mówią że jeden batalion mobilów Finistère, wszedłszy do ratusza tajemnym korytarzem podziemnym, uwolnił z pod aresztu jenarała Trochu, który ukrytemi w podłodze drzwiami znikł nagle z sali. Dwóch czy trzech innych członków rządu skorzystało także z zamięszania i wymknęło się. Favre, Simon a nawet Dorian byli już w rękach buntowników. Lecz sprawa tych ostatnich stała się odtąd przegraną. Otoczeni w ratuszu większą siłą zbrojną musieli się poddać. Około drugiéj gubernator Trochu przejeżdża przed frontem gwardyi narodowéj zebranéj na ulicy Rivoli; wita go gwardya z zapałem. Gdy wraca do domu, ludność okazuje mu równąż sympatyą. Przed ratuszem biwakują

już tylko trzy bataliony gwardyi ruchomej. Rewolucya stanowczo się nie udała.

Nazajutrz rano zjawił się na rogach ulic afisz podpisany: Dorian i Stefan Arago, w którym wzywano miasto do wyborów rady municypalnéj; niedługo potém inna proklamacya odwoływała piérwszą, dodając że rząd, zostawszy panem położenia, zdecydowany jest nie troszczyć się o Kommunę. Dlaczego wydano piérwszą odezwę? Fakt niewyjaśniony dotychczas. Niektóre dzienniki zapewniały, że kilku członków rządu przyrzekło słowem honoru iż popierać będą wybór rady municypalnéj, wzywały ich zatém, by się podali do dymissyi, skoro obietnica niedotrzymana. Rochefort tylko usłuchał. Nie wiem zresztą, czy się podał o uwolnienie gwoli tych dziennikarskich wystąpień. Znudził się i zmęczył tém dźwiganiem odpowiedzialności za postępki, których nie aprobował; być może, zresztą, czuł się zanadto dziennikarzem, by zachować temperament ministra. Wkrótce potém Arago uwolnił się od obowiązków mera; ale i ten z powodu utrudzenia, przyjął bowiem na siebie mniéj absorbujące czynności. Dorian pozostał na stanowisku, na którém był niezbędny.

W innych czasach reakcya wybuchnęłaby z wściekłością po tém zwycięztwie burżoazyi. Pa-

miętamy jak postąpiła po dniach 1848 roku. Teraz poprzestano na zaaresztowaniu niektórych wspólników rozruchu, a wkrótce uwolniono jednych po drugich, nawet najbardziéj skompromitowanych przywódzców. Dzienniki ze swéj strony zaczęły nanowo posądzać o zdradę i pozwalano im na to. Feliks Pyat wydrukował w swojém piśmie, że on, uczciwy człowiek i dobry obywatel, został wyboksowany w ratuszu przez *wichrzycieli* gwardyi narodowéj; powszechny śmiéch to wzbudziło; każdy był kontent, że całe zajście skończyło się bez przelania ani kropli krwi. Oddychano już swobodniéj, każdy czuł ulgę nadzwyczajną, widząc, że teraz zniknęło już niebezpieczeństwo wojny domowej, i tylko idzie o Prusaków.

Rząd nawet uznał za stosowne domagać się billu zaufania. Dziwne koleje losu! Wszyscy składający nowy rząd złorzeczyli sławnemu plebiscytowi, z jakim odwołał się cesarz do ludu francuzkiego, który musiał głosować *za* lub *przeciw* istniejącemu położeniu rzeczy przez *tak* lub *nie*. I nowy rząd także udał się do tego sposobu głosowania, chociaż go przedtém tak zawzięcie krytykował, a miasto Paryż utwierdziło jego władzę dnia 6 listopada przez 340,000 *oui* (cyfra okrągła) przeciwko 54,000 *non*.

Co jest dziwniejszém, i co maluje dokładnie

umysł ludności całego Paryża, to to, że ta sama ludność paryzka, która w tak głośny sposob zerwała z wichrzycielami, w trzy dni późniéj, gdy została wezwaną do wybiérania merów i ich adjunktów, głosowała właśnie za tymi, którzy podniecali i dowodzili buntem, jak np. taki Delescluze. Co do ratusza, ten odzyskał swoją zwykłą postać. Nazajutrz nie było już ani śladu zamięszania; wszystko usunięto ztamtąd. Pokój więc istniał wewnątrz miasta. Pokój nietrwały, wiedziano o tém dobrze, i nie wahano się wyrażać powątpiewanie o nim. Wszystko to, mówiono powszechnie, skończy się czerwcowemi dniami. Perspektywa niebardzo pocieszająca! Na uzupełnienie nieszczęścia dowiedziano się, że układy rozpoczęte przez Thiersa z Bismarkiem, dzięki poparciu cztérech wielkich mocarstw, nie przyszły do skutku, że wszystko było zerwaném.

Rozbiły się one o kwestyą zasilania żywnością Paryża. Thiers żądał, ażeby, jeżeli nastąpi zawieszenie broni, Paryż dostawał żywność z dnia na dzień, stosownie do liczby mieszkańców, w stosunku łatwo oznaczyć się mogącym. Propozycya była bardzo słuszną. Właściwością zawieszenia broni jest to, że zostawia ono rzeczy w takiém położeniu, w jakiém one były aż do zawarcia pokoju, lub rozpoczęcia na nowo kroków wojennych; wi-

doczną przeto było rzeczą, iż zmuszać Paryż do spożycia wszystkich swoich prowizyj w ciągu 25 lub 30 dni zawieszenia broni, znaczyło to pozbawiać to miasto na przyszłość możności oporu przez takiż sam przeciąg czasu. Bismark zdawał się to rozumieć. Z raportu, podanego później przez Thiers'a do zagranicznych kancellaryj, o całéj téj sprawie, możemy się łatwo przekonać, że ten punkt nawet został z początku przyjętym przez ministra pruskiego. Ale wkrótce rzeczy wzięły inny obrót. Bismark zamiast dyskutować nad szczegółami układu, przeczył nawet zasadzie zaopatrywania w żywność, choć bez tego zaopatrywania niéma armistycyum, bez armistycyum niéma Zgromadzenia narodowego, bez Zgromadzenia narodowego niéma pokoju. Wszystkie te rzeczy łączyły się z sobą ściśle. Cóż więc się działo? Dlaczegóż kanclerz zmienił zdanie, przynajmniéj w słowach?

Czy dlatego, że przypomniał sobie rewolucyą 31-go października, liczył na długie zamięszania, na wojnę domową mogącą wywiązać się w skutek tego nierozważnego kroku? Thiers nie mówi o tém wyraźnie, ale można się tego domyślać ze sposobu jego opowiadania, późniéj zresztą sam rząd potwierdził to urzędowém ogłoszeniem, przybitém na murach Paryża. Kto wié czyto nie wiadomość o poddaniu się Metz natchnęła ministra pruskiego

taką ufnością we własne siły, że nie widział odtąd potrzeby oszczędzać nas i odrzucał warunki, które inaczéj musiałby był przyjąć? Można także przypuścić, że Bismark, choć zgodził się na układy, nie miał żadnego zamiaru doprowadzić je do skutku, że chciał tylko zyskać względy cztérech mocarstw europejskich, i osłabić przez to ducha oporu, z każdym dniem wzmagającego się we Francyi, słowem zerwać sprężynę naszéj odwagi. Byłobyto wyrachowanie prawdziwie machiawelskie, ale zgodne z polityką tego przebiegłego i podstępnego męża stanu. Zresztą, cokolwiekbyśmy przypuścili, skutek zawsze pozostanie ten sam. Juliusz Favre oznajmił Paryżanom w odezwie pełnéj boleści i szlachetności, że, muszą rozstać się z nadzieją armistycyum, że już nie będzie się zwoływać zgromadzenia narodowego i że zostaje nam jeszcze jedyna droga, to jest walka na życie lub śmierć.

Była to straszna chwila dla ludności paryzkiéj. Dusze nasze utraciły dawny hart pod tchnieniem nadziei pokoju. Okropne słowo: *à quoi bon?* brzmiało na wszystkich prawie ustach. Po co czekać na prowincyą, skoro ona nie powstaje? Po co przedłużać walkę, któréj każdy dzień przynosi setki milionów straty? Te i tym podobne dowody zniechęcenia, zgromadzone w jeden artykuł, na-

pisany ręką mistrza, sprawiły w Paryżu głębokie wrażenie.

— „Paryż, mówił Edmund About, również jak Metz, Toul i Strasburg, nie jest w stanie ocalić się sam. Przypominacie sobie, że Metz było to miasto prawie niezdobyte, silniejsze nawet niż Paryż, bronione przez 100,000 najlepszych żołnierzy Francyi, dowodzonych przez Bazaine'a, najlepszego z jenerałów. Prusacy nie zdobywali Metz, nawet go nie oblegali, nie przedziurawili jego wałów ani jedną kulą armatnią; otoczyli tylko miasto i głodem zmusili je do poddania się; w ten sam sposób mają zamiar postąpić z Paryżem.

„I cóż jesteśmy w stanie uczynić przeciw takiéj fatalności? Możemy robić wycieczki. Ale Bazaine także je robił i robił znakomite, z energią i talentem wojskowym, jakiego brakuje jenerałom Paryża, a stał na czele wojska mężniejszego niż nasze. Kilka nawet razy pobił piérwsze szeregi armii Fryderyka-Karola, ale przewaga ilości nieprzyjaciół i wyższość artyleryi zmuszały go zawsze do odwrotu między forteczne mury. Przypuśćmy nawet, że drugi Bazaine zjawi się między nami; że nasze 230,000 żołnierzy i mobilów wraz ze 100,000 ochotników gwardyi narodowéj, rzuci się pewnego poranku na linie pruskie, zrobi w nich wyłom, nieprzyjaciel liczniejszy, lepiéj

wyćwiczony i uzbrojony, w jednéj chwili nas odepchnie, jeżeli nie zechcemy zginąć na miejscu.

„Ani jeden żołniérz nie jest do tego stopnia zaślepiony narodową próżnością, by mógł sądzić że Paryż ocali Francyą, jeżeli Francya nie przyjdzie mu w pomoc tłumną odsieczą. 200,000 dobrego wojska, zaszedłszy tył wrogowi, może uczynić zwycięztwo przypuszczalném, jeżeli nie łatwém; ale tego 200,000 wojska nie mamy, i żadna siła woli nie stworzy go w przeciągu miesiąca. A za miesiąc w Paryżu zabraknie wielu przedmiotów; będzie miał może kilka armat więcéj jak dziś, ale mu zabraknie chleba; nie mówię nawet o mięsie, bo bez tego się już obejdziemy; dobrze, ale Prusacy mogą czekać, i zostawić nam późniéj do wyboru, czy kapitulować, czy téż ze czcią poledz wszyscy razem. Dlatego to właśnie Bismark uważa Paryż jako miasto w zasadzie już zdobyte. Jestto dziś tylko inżenierska kwestya, jak mówił w swoim czasie o Metz i Strasburgu. Juliusz Favre jest tego samego zdania, i to smutne przekonanie powoduje nim, że chce jak najprędzéj przystąpić do układów o pokój."

I mówiąc daléj w tym samym tonie, zdolny pisarz wykazywał, że niéma innéj drogi do zawarcia pokoju, jak tylko zwołać Zgromadzenie narodowe, które jedynie mogło było zawrzéć z Prusa-

kami umowę, zapłacić im żądaną indemnizacyą i przyjąwszy podane przez nich warunki, jakkolwiek byłyby ciężkie, odprawić ich napowrót do domu. Artykuł wywołał różnorodne wrażenia. Wielką jego winą było że mówił głośno to, co wielka ilość ludzi zniechęconych myślała sobie po cichu.

Ktoby nam powiedział, że na dnie téj przepaści, w jakiéj byliśmy pogrążeni, zaświéci jeszcze naszym zdziwionym oczom piérwszy promień nadziei, która miała dodać nam nowéj odwagi, że po takiém zwątpieniu niespodziéwana wieść znowu podniesie nas do heroizmu, do radości, że z chwilowego osłabienia, ockniemy się tak prędko, gotowi do wszelkich ofiar, że znowu staniemy się sobą. Taka jest wszakże elastyczność umysłów paryzkich, że w trzy dni potém, ten sam Edmund About, szczęśliwy, że może samemu sobie zaprzeczyć, cofał rozpaczliwe swoje poglądy i występował znowu z radami prawdziwego, wielkiego patryotyzmu.

Jedno słowo zmieniło postać rzeczy. Prowincya powstała. Prowincya idzie na pomoc. A był już wielki czas po temu!

# ROZDZIAŁ SIÓDMY.

## Domowe życie Paryża w październiku i listopadzie.

Zatrzymajmy się na dacie, która była jedną z klimatérycznych chwil oblężenia. Opowiedzieliśmy historyą publiczną Paryża, podczas miesiąca października i podczas piérwszych dni listopada, tak obfitych w wypadki, a tak smutnych; nasz obraz nie byłby zupełny, gdybyśmy nie zebrali kilku ciekawszych szczegółów domowego życia naszego w téj dobie.

Nie zadziwię zapewne nikogo, mówiąc, że wielką kwestyą oblężenia, była kwestya śniadania, a po niéj kwestya obiadu. Cena chleba wcale nie podwyższyła się w ciągu tego peryodu, dzięki taryfom administracyi. Cena wina utrzymała się także, bo zapasy były obfite, a późniejsze pod-

wyższenie ceny tego artykułu było tak, szczególniéj w piérwszych miesiącach, nieznaczne, że prawie nie dało się czuć. Mięso wołowe i wieprzowe podniosło się tak szybko w cenie, że wkrótce niepodobna było go kupować. Niedługo potém ta sama okoliczność zaszła co do mięsa końskiego, które również poddano pod taksę. To mięso wystarczyło na dłużéj niż wołowe, bo każda walka pod murami Paryża, dostarczała wielkiéj ilości koniny na targi. Ponieważ siano stało się zbyt rzadkiém, a owies prawie niepodobnym do nabycia, większa część tych którzy mieli konie, zmuszeni byli żywić je chlebem; władza zwietrzyła to marnotrawstwo, pozabiérała wszystkie konie, które nie były potrzebne na posługi publiczne, i posyłała do rzeźników zarówno chudą szkapę dorożkarską, jako i dzielnego wiérzchowca, który kosztował tysiąc dukatów, a którego obecnie sprzedano na wagę za cztérysta lub pięćset franków.

Wszystkie inne przedmioty żywności raptownie poszły w górę. Sądzę, że ciekawy to będzie dokument, lista cen żywności, w różnych epokach oblężenia. Oto ceny, jakieśmy zanotowali w piérwszym tygodniu listopada, obowiązujące każdego kto nie poprzestawał na chlebie, winie i na przepisanych 30 grammach mięsa, dostarczanego przez administracyą każdemu obywatelowi miasta.

Przed oblężeniem, czerpię te cyfry z jednego dziennika daty 9 listopada: gęś zwyczajna kosztowała od 6 do 7 franków; cena bieżąca gęsi wynosi od 25 do 30 franków; tłuste kurczątko sprzedawano dawniéj na targu od 3 franków do 3 fr. centymów 50; ta cena dziś zamieniła się na 14 do 15 franków. Sami widzieliśmy, jak sprzedawano parę zwykłych kurcząt za 25 fr.; para gołębi za 12 fr., znajduje kupca. Co do indorów te są nadzwyczajnie rzadkie, tak że ich prawie niéma na targu. Sprzedawano jednego za 53 franków, kiedy w zwyczajnym czasie kosztowałby może 10 fr. a 12 najwięcéj. Króliki są dość pospolite, jednak również nie zbyt tanie. W moich oczach sprzedano parę królików za 36 franków. Przed oblężeniem warte były najwyżej 6 do 7 franków. Cena ich zwyczajna wynosi 28 franków. Solone mięso i wędliny nieopisanie drogie; u niektórych kupców zaledwie znajdują się próbki. To też szynki wędzonéj kilogram kosztuje 16 franków; lyoński salceson 32 franki. Podczas kiedy cena zwyczajna szynki była niegdyś 2 franki 50 centymów, a salcesonu kilogram 8 franków.

Ale za to mamy salcesony końskie i wołowe, których cena bardzo i tak wysoka wynosi od 4 do 6 franków za kilogram, zależnie od gatunku. Nawet klasyczne kiszki wołowe, tak pogardzane

od gospodyń, sprzedają się po 1 franku 80 centymów, kiedy tymczasem dawniéj sprzedawano je po 1 franku 20 centymów za kilogram. Innych zapasów wędliny zupełny brak na targach. Solone mięsa, mianowicie z Australii, znikły zupełnie z wystaw sklepowych. Przezorniejsi wykupili je. Sprzedawano to mięso po 8 franków za kilogram, podczas kiedy kompania amerykańska przed oblężeniem, chcąc zarobić cóś na téj nowéj gałęzi przemysłu, ledwie znajdowała kupców po 1 franku 20 centymów.

Ryby morskiéj niéma już wcale. Ryba rzeczna rzadko gdzie się pokaże. Piękny karp, który już najwyżéj wart był dawniéj 2 franki 50 centymów do 3 franków, obecnie sprzedaje się 20 franków. Nawet byli tacy, co płacili 30 franków. Skromną porcyą ryby smażonéj białéj lub kiełbia, za jaką płacono dawniéj 1 franka 20 centymów, dziś zaledwie można dostać za 4, 5 do 6 franków, stosownie do mniéj więcéj pomyślnego połowu ryb.

O rybie solonéj niéma co nawet mówić. Funt dorsza kosztuje 2 franki; cena śledzia dochodzi do 2 franków 50 centymów. Jarzyny także nadzwyczaj poszły w górę: miara kartofli, którą płacono 1 frank przed wojną, kosztuje teraz 6 franków i cena podnosi się codzień. Jajka są nieprzystęp-

ne dla większej części ludności, a kura niosąca dziś jaja, jest prawdziwą kurą *o złotych jajach.* Wczoraj sprzedawano tuzin jajek po 4 franki 60 centymów; za świéże jajko trzeba dać 75 centymów do 1 franka za sztukę.

Przekupnie nałożyli na świéże jarzyny także niesłychane ceny: i tak główkę kapusty sprzedają za 1 frank 50 centymów. Kalafior jeden 2 fr., mała wiązka marchwi 2 franki 25 centymów i inne jarzyny mniéj więcéj w téj saméj proporcyi. Co do jarzyn suszonych, jakoto: fasola, soczewica, groch i bób, już ich niéma na sprzedaż. Zanim zniknęły, sprzedawano je cztéry razy wyżéj niż zwykle. Sprzedaż hurtowna sprawiła zbytnie podrożenie, tak że ich zabrakło zupełnie dla uboższéj publiczności. Kwarta fasoli, która kosztowała zwykle 60 centymów, była płaconą w moich oczach 5 franków. Co do przypraw, brak ich daje się czuć okropny, a cena bajeczna. Słonina jest już tylko mytem. Niéma jéj wcale w Paryżu. Świéże masło, które było rzadkością nadzwyczajną, sprzedawano z początku 28 franków za kilogram, a późniéj po 45 franków płaciły sławniejsze restauracye; solone masło także stosunkowo podrożało. Można go dostać na 14 franków, ale gatunek niebardzo dobry. Oliwa tylko trzy razy podrożała. Co do szmalcu wieprzowego lub gę-

siego, ten już jest prawie nieznany na targach, ale został zastąpiony przez niegodziwą mięszaninę tłuszczu wołowego i innych zwierząt, co sprzedają po 3 franki 50 centymów do 4 franków za kilogram.

Żadnego séra dawno już niéma. Owczy, szwajcarski, hollenderski, zostały wykupione po szalonych cenach, zaraz piérwszych dni oblężenia. Każdy kawałek sprzedawanoby dziś na wagę złota. Niéma już także suszonych owoców po magazynach; rodzynki, migdały, figi i orzechy, zupełnie znikły. Jest jeszcze trochę suszonych śliwek nadpsutych, które z tego powodu sprzedają się tylko po 80 centymów funt.

Ryż, kawa i ciasta pożywne, nie podrożały za to zbyt dotkliwie. Materyałów palnych, a szczególnie węgla daje się czuć brak zupełny; sprzedają od 22 do 25 franków worek węgla ważący 50 kilogramów, to jest od 44 do 50 centymów za kilogram.... Jedném słowem przedmioty konsumcyjne w pięćnasób podrożały w Paryżu w piérwszych czasach oblężenia.

Klassa, która najbardziéj ucierpiała na téj drożyznie żywności, byłato klassa drobnéj burżoazyi, mali kapitaliści, urzędnicy pobierający od 1,500 franków, do 1000 talarów rocznéj pensyi, niezamożni przemysłowcy, słowem ci, którzy nie

mają nigdy dużo gotówki w kassie i żyją z dnia na dzień w położeniu, które trzyma środek między ubóstwem a dobrobytem, niestety jednak bliższe jest piérwszego niż drugiego. Dla wielu na długi czas prace się zatrzymały. Byli zbyt dumnymi, aby prosić publicznie o zaspokojenie swoich potrzeb, a nieprzyzwyczajonymi znowu do przykréj walki z nędzą. Nie uskarżali się jednak wcale, znosili z rezygnacyą blizką heroizmu okropne niedostatki, które trzymali w tajemnicy, składając ciągłe dowody niezłomnéj siły ducha. Mogliście zmiarkować z całego mojego opowiadania, że nie lubię szumnych frazesów, nienawidzę opowiadań czczych i nadętych, i staram się nie przesadzać ani w ocenianiu wypadków, ani w sądzie o ludziach. Ale nic nie znam bardziéj wzruszającego, nic godniejszego uwielbienia, nad ową męzką prostotę, z jaką ci waleczni ludzie poddawali się nieszczęściom, które codziennie wzrastały a nikt nie przewidywał ich końca. Kobiéty okazywały się może jeszcze wytrwalszemi jak mężczyźni. One to ponosiły największe ciężary; one to wyczekiwały u rzeźnika, w korzennym sklepie, w składzie trunków, one to zdobywały z trudnością kawałek mięsa dla swych mężów, pielęgnowały dzieci, i usiłowały jeszcze promieniem wesołości rozjaśniać smutek domowego przygasłego

ogniska. Ah! nasze Francuzki! nasze Francuzki! jakie skarby poświęcenia, zapomnienia o sobie, siły moralnéj, można wydobyć z ich serca, jeżeli kto umiejętnie potrafi do niego się odwołać! Tylko w wyższych klasach znajdowały się niektóre popsute zbytkiem, zniewieściałością i benoatoneryą drugiéj imperyi; naród cały pozostał zdrowym; przekonano się o tém w dniach ofiary.

Wyższa burżoazya nie potrzebowała znosić podobnych cierpień fizycznych. Ma ona zwykle piéniądze, mówiłem zaś że większa jéj część powysyłała swoje żony i dzieci na prowincyą. Łatwo więc było samemu mężczyźnie, czyto kupować zapasy, chociaż były bardzo drogie, czy téż stołować się w restauracyi. Wiele restauracyj zamknięto, ale wiele jeszcze z tych zakładów było ciągle otwartych. Jakim cudem żywiono tam swoich gości? Trudno wyobrazić sobie ileto wymagało zachodu. Rozumié się, że jadłospis nie był zbyt urozmaicony i że wszystko nadzwyczaj było słone. Tamto właśnie najczęściéj jadano obiady. Ci, którzy zachowali jeszcze swoje *at home*, zapraszali przyjaciół, i zbierali się dla skosztowania najdziwaczniejszych potraw. Nie wspominam tu o mięsie osła i muła, które sprzedawano powszechnie, przy téj okazyi nadmienię tylko, że oślina bardzo jest smaczną, mulina daleko lepsza

od wołowiny, i że pieczeń z muła jest potrawą istotnie wyśmienitą. Ale nawet najrzadsze zwierzęta szły pod nóż. Kosztowaliśmy kolejno: niedźwiedzi, antylop, kangurów, strusi, yacków, i Bóg wié nie czego! Była jedna jatka, w któréj sprzedawano te nadzwyczajne zwierzęta, po cenach niemniéj nadzwyczajnych; jadłem mięso antylopy, którego funt kosztował 18 franków, a zaręczam że prosty królik upieczony byłby lepiéj zaspokoił mój apetyt. Odpowiednio jednak do tych arystokratycznych jatek, były także jatki z mięsem psa, kota i szczura. Za kota płacono 6 franków, za szczura 30 sous. Co najzabawniejsza, to że szczury, koty i psy głównie zamożna burżoazya jadła jak przysmaki, przez proste junactwo dyletantyzmu.

— Podaj szczura w sosie z madery, wołał amfitryon.

I wszyscy wtórzyli: szczura! dobrze! Próbowano, potém jedzono przez zęby, wykrzywiając się, żartując, nie bez pewnego wstrętu jednakże. A co było najlépszém, to widzieć, jak czasami przypadkiem dostał się nam do rąk kawałek gazety niemieckiéj; ci poczciwi dziennikarze opowiadali swoim współziomkom, że jesteśmy zmuszeni jeść szczury! Jedzą szczury! widać już nie mają czém żyć! Dziwna rzecz, iż nie wiedzieli, że

to była czysta psota dla wydrwienia okropności oblężenia, przez wrodzoną Francuzów chętkę żartowania nawet z samych siebie! Te nieprawdopodobne pokarmy były przedmiotem powszechnych żarcików. Jeden mieszczanin zjadł psa swego pieczonego na rożnie, a patrząc na kości leżące na talérzu:

— Co za szkoda! mówił ze smutkiem, ten biédny Fox byłby się niemi nacieszył!

Cham narysował jakąś mieszczankę rozgniéwaną na swego męża:

— Jakto? obiecałeś rękę naszej córki rzeźnikowi?

— Ba! moja droga, będziemy mieli za to baraninę.

Ta wesołość, trochę sztuczna, trzeba przyznać, pokrywała tylko w téj klassie ludności gorzkie i pełne godności ofiary. W liczbie wszystkich tych ludzi, którzy tak dowcipnie śmieli się w oczy własnéj biédzie, nie było ani jednego prawie, któryby nie utracił bądź znacznego majątku, bądź świetnéj nadziei, zostawiwszy sobie tylko trochę grosza na bieżące potrzeby. Dla finansistów nie było już giełdy, dla bogatych kupców handlu, dla zamożnych właścicieli dochodów z komornego, dla kapitalistów procentu a nawet sum wypożyczonych. Cały ten świat paryzki był zrujnowany. Pomagano sobie

wzajemnie jak kto mógł, miotając obelgi na Prusaków: *łotry, szelmy Prusaki!* Ale układać się z nimi niktby się nie odważył radzić nawet w owych chwilach zniechęcenia, o jakich mówiłem. Mogę śmiało powiedzieć, że cała burżoazya paryzka, tak uboższa, jak bogatsza, okazała w tych krytycznych czasach wytrwałość godną podziwu, dawała się ona spostrzedz nawet pod pokrywką blagi, którą się okryła, a którą przywdziéwają wszyscy w Paryżu, nawet najczulsi i najszlachetniejsi ludzie.

Wyrobnik brał także współudział w cierpieniach. Wielkie to nieszczęście paryzkiego wyrobnika, że nigdy nie troszczy się on o przyszłość, nie odkłada piéniędzy. Wydaje wszystko, a często więcéj, niż może, tak, że gdy nie ma pracy, zostaje prawie bez żadnego funduszu. Bezrobocie, jakie sprawiła wojna 1870 roku i oblężenie Paryża, było okropném, bo przypadło na wielką liczbę rękodzielników naraz. Większa ich część pozostała bez zajęcia, a nawet ci, dla których znalazłaby się była jakaś robota, nie śpieszyli z niéj korzystać. Jest to szczególny typ charakteru dziécięcia Paryża: pracuje gorliwie, kiedy mu potrzeba doskwiéra, ale jest z natury próżniakiem, i jak wyraża się sam o sobie w swoim języku: *rigoleur*. Nie uważa za odpowiednie pracować, kie-

dy jego towarzysz nic nie robi. Wielorakie zajęcia przy obronie, potrzebowały jednak wielu rąk i wszelkiego rodzaju rzemieślników. Trzeba było robić ubranie, szyć obuwie, lać armaty, mléć zboże, sypać wały, kopać rowy, wyrabiać kartacznice, karabiny i Bóg wié co jeszcze. Wojna wprawia w ruch wszelkie rodzaje rękodzieł. Było niepodobieństwem w pierwszych dniach oblężenia znaléźć do wszystkiéj téj pracy chętnych robotników. Robotnicy powołani piérwszy raz, od tak dawna, do noszenia broni, zostali niejako upojeni tą nową dla nich przyjemnością. Nic nie zdawało się im piękniejszém, nic godniejszém wolnego człowieka, jak wziąć *flingot* na ramię i odbywać straż na wałach fortecy. Z pogardą spoglądali na ludzi, którzy przełożyli warsztat nad wartę narodową. Gotowi nawet byli mienić ich tchórzami, jak gdyby potrzeba było nadludzkiéj odwagi dla spacerowania po wałach o sześć mil od Prusaków. Napróżno powtarzano im we wszystkich dziennikach, i na każdy ton:

— Jesteście ofiarami złudzenia. Ten jest prawdziwszym patryotą, który umiejąc robić buty, obuwa w nie naszych żołniérzy do wojny, niżeli ten, który odbywa wojskowe ćwiczenia. Każde silne i zdrowe indywiduum jest zresztą zdolne wystrzelić z karabina, ale do skrojenia i uszycia

butów, trzeba koniecznie takiego, który uczył się tego rzemiosła. Chwalebniéj jest zrobić szaspot, niżeli nim władać; bo jeśliby nikt nie robił szaspotów w cóż obróciliby się ci, którzy tak są dumni z noszenia ich, i tak się niemi chełpią. Jakkolwiek te i tym podobne rady były bardzo rozsądne, jednak był to po większéj części groch na ścianę. Podobało się lepiéj tym ludziom zgromadzać się razem, pod pozorem odbywania ćwiczeń lub narad, i tam przepędzać czas wesoło na rozmowie, zabawie, śmiéchach, pijatyce... na téj ostatniéj szczególnie. Pijaństwo, odrażające pijaństwo, było plagą znacznéj części gwardyi narodowéj. Ten występek zmniejszał się wprawdzie w miarę przedłużania się oblężenia; trwał jednakże, jakto czytaliśmy ze smutkiem na dwa lub trzy dni przed chwilą stanowczą w grudniu, w surowych rozkazach jenerała Clément Thomas, które podawały do opinii publicznéj postępowanie tego lub owego pułku, zapominającego o swoich obowiązkach, o wstrzemięźliwości.

Gwardziści narodowi dostawali żołd po 1 franku 50 centymów dziennie. Byłato ilość stósowna i sprawiedliwa. Zapewniają, że Picard, minister skarbu, sprzeciwiał się téj cyfrze, dowodząc, że to stanowi dla skarbu za duży wydatek, 800,000 franków na dzień. Choćby nawet dochо-

dziła do miliona, co to szkodzi! Czyż to nie dowiedziona rzecz, iż najpierwszym i najdroższym interesem rządu, było zachowanie porządku w mieście, i że jeżeli, tym lub innym sposobem, nie będzie można wyżywić ludzi, którzy nic już teraz nie zarabiali, to otworzy się drogę do grabieży i innych nadużyć. Milion mniéj lub więcéj wydany i cóż to znaczy, kiedy Francya liczyła swoje straty na miliardy! Ważną był rzeczą podział téj codziennéj kwoty. Demokraci krwi czystéj chcieli, aby, w imieniu wolności, cała gwardya narodowa odbiérała ją, wyjąwszy tych którzy sami oświadczą, że jéj niepotrzebują. Inni, przeciwnie, chcieli dawać żołd tylko tym, którzy prosić będą o niego i udowodnią że rzeczywiście go potrzebują. Rząd przystał do ostatniego obozu; zdaje mi się jednak, że zostawił niektóre oddziały gwardyi narodowéj własnemu przemysłowi. Dawne bataliony, które składały się z obywateli dość zamożnych, kontente były z takiego podziału. Nowe po większéj części wymagały, jak mi mówiono, aby pensya była wypłacaną jednakowo wszystkim, z wyjątkiem tych, którzyby wstydzili się jéj przyjąć; w takim razie mogą ją zwrócić kapitanowi. Te rozmaite sposoby postępowania wywołały dosyć brudnych spraw, tak że niektóre nadużycia w rachunkach ściągnęły nawet wmię-

szanie się policyi poprawczéj. Żołd oddawano na nieszczęście samym ludziom do ręki, zamiast wręczać go całéj rodzinie. Najczęściéj też odrazu go przepijali za zdrowie ojczyzny, zachowując tylko tyle, ile było niezbędném by nie umrzéć z głodu. Militarne próżniactwo i rozrzutność żołniérska podobały im się; czuli wstręt do pracy. Pamiętam, że pewnego dnia, potrzebując biletów wizytowych, poszedłem do rytownika, który mi powiedział:

— Podczas oblężenia, panie, nie mamy robotników, ponieważ w naszym zakładzie zarabiają tylko 3 franki 50 centymów a najwięcéj 4 franki; wolą dostać 1 franka 50 centymów i nic nie robić.

Bylito owi sławni robotnicy z 1848 r., tylko pod inną formą. Cham wyjaśnił to podobieństwo w jednym ze swoich szkiców, w których się mieści tyle zdrowego rozsądku. Wystawił gwardzistę narodowego, trochę pod dobrą datą, ściskającego z zapałem swój karabin.

— Mój przyjacielu, mój skarbie, mówił do niego, mój majątku, moja radości, moja pociecho, mój narodowy warsztacie!

Ta przerażająca kwestya w chwili kiedy to piszę, wisi jeszcze groźnie nad naszemi głowami, a przyszłość dopiéro wykaże, czy obawy nasze w tym względzie były prawdziwe czy urojone.

Przekonano się później, że dla ludzi żonatych pensya 1 franka i 50 centymów nie wystarczała i dodano 75 centymów dla żony, a w niektórych batalionach, mówiono mi nawet, 25 centymów na dziecko. Ponieważ jednocześnie powołano do wojska czynnego wszystkich mężczyzn od 30 do 45 lat, którzy byli nieżonaci, szczególny wypadł ztąd rezultat, rzucający dziwne światło na obyczaje paryzkie. Merostwa donosiły o niezliczonéj ilości małżeństw, zawartych *même rue, même numéro.* Wiadomo, że takowe ogłoszenia znamionują zwykle istnienie związków nieprawych, które nakoniec uprawniają się przed panem merem i księdzem proboszczem. Liczba tych *quasi*-małżeństw jest niezmierną w Paryżu, szczególnie w niektórych warstwach społeczeństwa, gdzie często dowiadujesz się, że pan N., który żyje już od 20 lat ze swoją żoną, ma z nią dzieci, który jest zresztą wzorowym ojcem i mężem, jest jéj małżonkiem tylko w obec Boga. Wymagania wojenne sprowadziły więc owych niby mężów z fałszywéj pozycyi w jakiéj się chętnie znajdowali; i tak te małżeństwa przezwane żartem, „małżeństwami za 15 sous" były tryumfem dla oficyalnéj moralności.

Ci, co najmniéj może ucierpieli w czasie oblężenia, bo życie ich jest ciągle wielkiém pasmem

cierpień, byli to prawdziwi ubodzy, zapisani, jako żyjący z miłosierdzia publicznego. Nigdy ono nie okazało się bowiem troskliwszém i przezorniejszém, jak w czasach powszechnéj nędzy. Ponieważ wiedziano, że ta klassa biédaków powiększała się ilością tych, którzy nie śmią zwykle wyciągać ręki, i których gwałtowna potrzeba tylko może przyprowadzić do pogwałcenia skrupułów wstydu, litość wysilała się na pomnożenie środków pomocnych. Bony chleba, mięsa, ryżu, drzewa, węgla, były wydzielane obficie w niektórych dzielnicach, a zbytnia gorliwość w tym względzie dawała powód do częstych nadużyć. Zawsze lepiéj jeszcze pozwolić coś ukraść, niż wystawiać ludzi na śmierć głodową. Pozakładano municypalne sklepy, ekonomiczne piece, w których wypiekano chléb i rozprzedawano za bardzo przystępną cenę takie pokarmy gotowane jak np.: rosół, fasolę, sztukęmięsa, które mogli spożywać na miejscu lub zanosić do domów dla tych, którzy przyjść nie mogli lub nie chcieli. Niektóre litościwe damy zajmowały się same rozdzielaniem tych potraw, a potém i nadal opiekowały się losem wielu z tych nieszczęśliwych.

— Nasza kieszeń musi zawsze być gotową, mówiła do mnie jedna z tych dam, bo gdy przyjdzie kobiéta nic mająca ani jednego sous z wy-

bladłém dzieckiem na ręku, jakże odmówić jéj talérza zupy!

Biédne dzieci, trudno mówić o nich bez łzy w oku! Matki, same często głodne, dostarczały tym nieszczęśliwym istotom mléka niepożywnego wcale. Mléko krowie było rzadkością, a zresztą cena jego była zbyt nieprzystępną dla wszystkich. Pomimo starań administracyi, która zebrała wszystkie mléczne krowy, prosząc publiczności, aby się zrzekła swéj klassycznéj kawy z kożuszkiem na rano, gospodynie, zmuszone wyczekiwać porządku jużto u rzeźników, jużto po innych sklepach, nie miały czasu udzielać odpowiednich starań tym małym istotom, jakich one koniecznie wymagają. Umiérały więc jak muchy. Wiém o jednéj biédnéj kobiécie, która, wróciwszy do domu po trzechgodzinném czekaniu przy jednym sklepie, znalazła swoje ośmnasto-miesięczne dziécię zmarznięte w kolébce; ogrzéwała je jak mogła, ale napróżno czekała, nie ożyło.

A jednakże kobiéty te dotknięte tylu bolesnemi ciosami nie skarżyły się, i one także urągały oblężeniu, jeżeli zaś przychodziły na nie chwile zwątpienia, był to upadek krótkotrwały, przelotny. Można powiedzieć, że nigdy duch solidarności, zrodzony ze wspólnéj niedoli, nie zabłysł w kolorach żywszych, jak w owéj wielkiéj katastrofie

ześrodkowującéj w sobie wszelkie myśli, mięszającéj wszelkie nieszczęścia. Nigdy nie było większéj biédy, a nigdy więcéj nie dzielono się z bliźnim. Nigdy nie zbliżono się bardziéj do tego ideału braterstwa, do którego biédna ludzkość dąży nieprzestannie. W 1792 r. mieliśmy może przykłady wielkości, ale nigdy nie byliśmy lepszymi: świadectwo to, jestem pewny, wyda bezstronna historya paryzkiéj ludności.

W tém miejscu wypada mi właśnie wspomnieć o tak zwanych wówczas w Paryżu *wychodźcach*. Byli to mieszkańcy okoliczni, którzy przed Prusakami cofnęli się do Paryża. Trzebaż było przyjąć ich i pomieścić. W tym celu użyto lokali niezajętych, gdzie też zakwaterowali się bez ceremonii z rubasznością wieśniaków. Że w liczbie ich znajdowali się ludzie zacni i nawet uprzejmi, to wiemy o tém dobrze, ale większa część nie znała się na wyszukanéj galanteryi paryzkiéj, a ponieważ własne ich skromne siedziby traktowano bezwzględnie, mniemali przeto, że mogą użyć prawa odwetu na miejscach nowo im wyznaczonych. Właściciele domów znajdą tam ich ślady nie bardzo wonne, kiedy zniesienie blokady dozwoli im wrócić do siebie. Niektórzy z wieśniaków postępowali tak, ożywieni owém uczuciem nędznéj zazdrości, szpecącéj zbyt często serce biédaka; jeden

z moich przyjaciół widział, jak któryś z nich opluł potężnie wspaniałe obicie salonu, a na uczynioną w tym względzie uwagę, odrzekł:

— Owszem, niech robotnik zarobi!

Innymi kierowała po prostu głupota; w środku Paryża zdawało im się, że są gdzieś w polu, na folwarku. *Figaro* opowiadał *à propos* tego, jednę z owych legend paryzkich, mających przywilej bawienia bulwarowéj publiki. Pewien właściciel kilku domów oddał piérwsze piętro w jednym z nich na pomieszczenie rodziny wieśniaków. We dwa tygodnie potém przychodzi doń odźwierny i rozpowiada, że od czasu zainstalowania się nowo-przybyłych, jakieś smrodliwe wyziewy czuć po schodach i całym domu; że chciał wejść do nich przekonać się coby to było, ale nie chcą go wpuścić.

— Dobrze! odpowiada właściciel, pójdę ja tam sam.

I w istocie nazajutrz zrana wchodzi do kamienicy. Zaraz w bramie słyszy na balkonie piérwszego piętra pianie koguta, któremu wtórują gdakaniem liczne kury.

Zdziwiony nieco, wchodzi po schodach. Przy drzwiach musiał parlamentować, sprzéczać się, gniéwać, bo wieśniak nie pojmował, ażeby ktokolwiek mógł mu przeszkadzać w jego *izbie*, i nie

przyznawał właścicielowi prawa mięszania się do jego życia prywatnego. Z wielkiém naleganiem wchodzi wreszcie do apartamentu. Z przedpokoju wieśniak nasz zrobił istne podwórko gospodarskie. Nogi lgną niby w błocie z odchodów ptasich i stajennych, przypruszonych z wiérzchu słomą, wyborny nawóz na przyszłą wiosnę. Pokój następny służył za śpiżarnię, gdzie nagromadzono różne warzywa, głównie kapustę, czosnek i cébulę. W sali sąsiedniéj — dawnym pokoju sypialnym! stał na środku obszerny bassejn z dna jakiejś staréj beczki, pełen wody, a w nim pluszczące się kaczki.

Pan gospodarz osłupiał. Chodził z pokoju do pokoju, a wieśniak krok w krok za nim z miną ucieszonego agronoma, wzbudzającego podziw w niekompetentnym widzu rozumném urządzeniem swego siedliska.

— A mój salon? mruknął właściciel zgnębiony.

— Tam właśnie jest *panicz*, rzecze wieśniak pyszniący się coraz więcéj.

Otworzono drzwi od salonu. Tu już *nec plus ultra*: w kącie na kupie śmieci i przeróżnych nieczystości królował potężny, tuczny wieprz.

— Ależ u diabła! dlaczegóż pakujesz mi swojego *panicza* do salonu, kiedy masz na dole dogo-

dne, obszerne podwórze, gdzie mógłbyś pomieścić i jego i wszystkie kury i kaczki?

— Ah! ja panu powiem. Niedługo nastąpią zasiewy, a gdzieżbym ja zasiał mój jęczmień?

Otóż i przypowieść o *pokojowym rolniku*, którą każdy jeszcze uzupełniał i przekręcał podług własnéj fantazyi. Pod tą przesadą kryła się jednak prawda. Prawdziwa przysługa, jaką wieśniacy owi oddali ludności paryzkiéj, zależała na tém, że pod światłym kierunkiem zacnego agronoma Joigneaux, zajęli się uprawą wolnych gruntów naokoło Paryża i zamienili nieużyteczne dotąd obszary na ogrody, mające dostarczyć ku końcowi oblężenia świéżych warzyw, kapusty, sałaty i t. p. W oczekiwaniu na zjawienie się produktów ich na targu, musieliśmy obywać się tém, co odważni pionierowie wyszukiwali na opuszczonych polach, prawie tuż pod ogniem straży nieprzyjacielskich. Powrót ich przedstawiał widok ciekawy, a zarazem smutny. Obok kilku zacnych fizyognomij biédnych kobiét, zgarbionych pod ciężarem worów, ileż rysów istnie zwierzęcych! znędzniałych! złowrogich! Cała ta tłuszcza grubiańska, wyzywająca lub wyrzekająca, znosiła łupy, ten kartofle ów groch, kapustę, fasolę lub inne warzywa. W jednym dniu, szczególniéj w niedzielę, było ich ze 4 do 5 tysięcy, w innym znowu zaledwie 500 do

600 zwykłych maruderów — szumowiny społeczeństwa. Przekupnie, więcéj może od owych biédaków bezwstydni, czychali na nich po drodze, nabywali tobołki za bezcen, bądź gwałtem, bądź namową, i zbywali następnie za cenę złota Paryżanom. Tak więc horda wyzyskiwaczy okradała samych złodziei, a to wszystko śród krzyków, przekleństw, szturchań — słowem chaos, ścisk nie do opisania; sceny *à la Callot.* Gwardya narodowa, trzymająca straż przy bramach, zamykała oczy na ten handel, pod pokrywką którego nie jedną ukŋuto zdradę, bo włóczęgów protegowali panowie Prusacy, przepuszczając bezkarnie przez swoje linie. Za jaką cenę? zgadnąć łatwo. Następnie banda rozpraszała się po Paryżu, zbywając jak mogła owoce łupu. Improwizowane targi roiły się śród najpiękniejszych placów Paryża, i codziennie na ulicy *des Martyrs* przechodziłem koło gęstych straganów kapusty, rzodkwi, marchwi, królików, które gosposie wydzierały sobie z krzykami przechodzącemi nieraz w kłótnię i bójkę na pięści. Oto *np.* rys. uwydatniający najlepiéj tę stronę czasów oblężenia.

Przez ośm dni na bulwarach Włochów przed Tortonim, widziano przekupkę rozkładającą swoje rzodkiewki i strączki bez wzbudzenia w kimkol-

wiek podziwu lub oburzenia. Widok wydawał się całkiem naturalnym!

Zwykła, codzienna publika dawniejsza znikła. Opowiadałem już jak na rozkaz policyi pozamykano teatra. Powstało pytanie, czy je otworzyć znowu; dziennikarze dawno już sondowali i przygotowywali w tym względzie opinią publiczną, wszakże bez stanowczych rezultatów. Jedni mówili, że widowiska te nie pasują jakoś do powszechnéj żałoby; drudzy znowu, że Paryżanin potrzebuje widowisk, że zabawa podnosi jego stronę moralną, że otwarcie na nowo kilku teatrów byłoby niejako urąganiem Prusakom, jakby popisywaniem się z dobrym humorem; że odpowiadałoby to zupełnie tradycyom francuzkim; że łatwo byłoby zrobić wybór sztuk harmonizujących z powagą położenia; że tym sposobem zapewni się chléb całéj zgrai biédaków: posługaczy, kostiumierów i t. p. pozostawionych na bruku, pominąwszy już samych artystów, również boleśnie dotkniętych.

Z czasem wygrali sprawę; nie dlatego jednak ażeby dowodzenia ich wzbudzały najwięcéj przekonania, ale że Paryż nudził się; że po rozpoczęciu blokady nikt nie mógł przewidzieć jéj końca i że ze zgrozą myślano o przepędzaniu dni smutnych, monotonnych. Wymyślono środek za-

radzenia mniemanéj niewłaściwości podobnych przedstawień, urządzając takowe na cel dobroczynny, na rannych, na siéroty po poległych i t. p. Każdy batalion urządzał poranek albo wieczór, przeznaczając dochód z takowego na kupno armaty lub kartaczownicy. Piérwszy początek dał p. Pasdeloup koncertem ludowym dnia 23 października. Ksiądz Duquesnay podjął się rozbroić najdelikatniejsze skrupuły w przemowie, która zyskała wielkie uznanie i oklaski. Orkiestra wystąpiła zaraz z symfonią Beethovena, a kiedy przyszło do andante, bolesna, ściskająca serce melodya wywarła na całe zgromadzenie wpływ nie do opisania. Łzy zabłysły we wszystkich oczach i nie wiem czy kiedykolwiek odczuto żywiéj arcydzieło mistrza. Wszystkie struny naszéj duszy drgały wzajemnie.

Dyrektor Opery urządzał, co niedziela, wieczory muzykalne, w których do najpiękniejszych ustępów muzyki symfonicznéj pododawał wyjątki ze słynnych oper, i na posiedzenia te uczęszczano nader licznie i pilnie. *Comédie Française* wznowiła także przedstawienia pod egidą p. Legouvé, rozpoczynającego owe poranki literacką pogadanką, pokarmem umysłowym podczas oblężenia Paryża. Przedstawienia te miały swoją odrębną cechę. Oświetlenie skąpe, publiczność z gwardzi-

stów narodowych i dam w sukniach pod szyję; scena bez dekoracyj, aktorzy wszyscy prawie w ubiorach zwyczajnych, i pomiędzy fragmentami sztuki repertuaru klassycznego, ody okolicznościowe, improwizowane przez młodych poetów: Bergerat'a, Delpit'a, Abraham'a, Dreyfus'a, nie mówiąc już o Banville'u, który w mowie bogów wygłaszał nam z dnia na dzień nasze cierpienia, uciechy i najrozmaitsze wrażenia. W wielkiéj loży, niegdyś cesarskiéj, ranni rekonwalescenci przypatrywali się przedstawieniu, a oczy wszystkich szukały ich z żywém spółczuciem. Były tam twarze wybladłe, wynędzniałe, ręce na szarfach, głowy poobwijane chustami, a niekiedy nawet czarny syn pustyni z oczyma świécącemi w cieniu jak u jego spółziomka — lwa. A jednak o kilka kroków ztąd (*foyers* teatrów po zamieniano na ambulanse) biédacy cierpieli strasznie i umierali na łożu boleści. Kontrast tych uciech światowych i boleści rozdzierających oddał wybornie Teofil Gauthier, opisując w *Monitorze* odwiédziny rannych w *Théâtre Français*, podczas reprezentacyi:

„Przechodząc przez korytarz wiodący ze sceny do sali, spotykamy dwie zakonnice, siostry miłosierdzia, z których jedna pytała drugiéj:

— Gdzież jest siostra Magdalena?

— W teatrze *Palais-Royal*, odrzekła zapytana najnaturalniéj w świecie.

„W téj właśnie chwili wychodził z loży aktorskiéj *Basile*, w swéj długiéj sukni czarnéj z białym kołnierzem i dziwacznym kapeluszu, używanym jeszcze dziś przez księży hiszpańskich. Przyczaił się do ściany, składając ukłon pełen szacunku. Grano *Wesele Figara*. Pojmujemy wypadkowość zestawienia, ale czyż nie oskarżonoby o nieprawdopodobieństwo autora, któryby pozwolił sobie podobnych kontrastów? Jakiegoż to szczególnego trzeba zbiegu okoliczności i następstwa wypadków, aby Basile Beaumarchais'go i prawdziwe zakonnice ocierali się o siebie w korytarzu *Comédie Française!* Mimowolnie przychodziła na myśl piosnka Bérangera: *Aktorka i siostra miłosierdzia;* tylko że obecnie rzeczywistość przewyższa inwencyą, bo spotkanie niéma miejsca na tamtym świecie. A jednak nic przyzwoitszego, godniejszego, nad owe stosunki komedyantek z zakonnicami. Artystki *Comédie Française* są to prawdziwe damy, i czują dla tych świętych dziewic szacunek im należny i tak zasłużony... Z powrotem nie mogliśmy trafić. Korytarze, przejścia, ustępy pozamurowywano dla oddzielenia ambulansu od teatru, musieliśmy więc pytać się o dro-

gę jednéj z sióstr, która też sprowadziła nas aż do ostatnich drzwi. Felietonista prowadzony po labiryncie *Théâtre-Français* przez zacną siostrę miłosierdzia, czyż to także nie oznaka szczególnych czasów?"

Inną dziwniejszą jeszcze oznaką było ukazanie się na scenie utworu *les Châtiments*, owéj książki zakazanéj, co to w ukryciu tylko krążyła z ręki do ręki, a schwytana u republikanina, sama stanowiła już ciężkie oskarżenie; owa nieubłagana satyra rządów cesarskich, nieszczędząca żadnéj osobistości, pełna wymówek i groźby, najzjadliwsza z napisanych kiedykolwiek i gdziekolwiek przeciwko jakiemubądź tyranowi. Kiedyś czytano ją jedynie przy zamkniętych drzwiach, w szczupłém kółku przyjaciół; dziś najpiękniejsze i najgwałtowniejsze ustępy recytowano głośno w teatrze *Porte-Saint-Martin* w obec 3,000 widzów; ztąd przeszły do urządzających się ze wszech stron koncertów i widowisk. Nadszedł nareszcie dzień, na który Wiktor Hugo czekał lat ośmnaście!

Na piérwszą wiadomość o zwaleniu cesarstwa, pośpieszył zaraz. Wszystkie miejsca były już zajętę, a prawdopodobnie choćby które i wakowało nie byłby go przyjął, uważając jedynie najpiérwsze godném siebie. Po piérwszym blasku tryum-

falnego powrotu, długo żył na uboczu, nie mięszając się do spraw państwa i odmawiając przewodniczenia w licznych manifestacyach, do czego usilnie go nakłaniano. Zdawało się, że nie żądał innéj satysfakcyi za długie wygnanie, nad rozkosz ujrzenia wznowionych utworów swoich na scenie i usłyszenia publicznie *Châtiments*. Dnia 3 listopada Berton w obec zdziwionych słuchaczy odczytał ów expiacyjny utwór. Panna Favart, Stella, harmonijnym, dźwięcznym głosem i Coquelin przyczynili się do świetnego oddania słynnych lamentacyj. Powodzenie ogromne; dziwiono się i radowano, słysząc publicznie w teatrze wymówki i zarzuty, istotnie proroczym ożywione duchem. Dopiéro późniéj, po głębszéj rozwadze, zrozumiano niewłaściwość wystawiania w ten sposób pod pręgierzem, przy oklaskach tłumu, nazwisk ludzi bezbronnych, bo nieobecnych, i stojących poza obrębem zniewagi, bo zwyciężonych. Przedstawienia następne mniéj już wzbudzały zapału i zwolna *Châtiments* znikły z afisza. Za to nowa ich edycya przez Wiktora Hugo wzrosła szybko do 20,000 egzemplarzy. Widowiska harmonizowały ściśle z postępem oblężenia; liczniejsze, kiedy zawitał promyk nadziei, stawały się coraz rzadszemi lub ustawały całkiem, gdy bolesne wypadki pokrywały serca czarną krepą żałoby.

W braku teatrów, kluby dostarczały Paryżanom codziennéj rozrywki. Te niewłaściwe zestawienie oburzy zapewne do żywego promotorów zebrań publicznych i zwykłych uczestników, biorących rzeczy na seryo. Proszę wybaczyć, ale wszystko, co tam widziałem, wydawało mi się więcéj zastosowaném, więcéj odpowiedniém do utrzymania prostéj zabawy, aniżeli do ocalenia *ojczyzny*. Poważny *Journal des Debats* zajął się specyalnie ogłaszaniem co rano sprawozdań i wydarzeń na tych zebraniach, a cały Paryż śmiał się, czytając raporta jaśniejące złośliwą werwą.

Najpiérwszym z klubów był klub *Patrie en danger*, gdzie królował Blanqui, na ulicy *Arras*, w pobliżu placu *Maubert*. W następstwie utworzyło się wiele innych, biorących nazwę bądź od miejscowości, jak klub *Belleville*, odbywający posiedzenia w sali *Favié*; klub *Cour des Miracles*; inne od nazwy sal, w których się mieściły np. klub *Elysée-Montmartre*; klub *Mille-et-un-Jeux* na ulicy Lyońskiéj; kluby *Porte-Saint-Martin* i *Folies-Bergères*; inne wreszcie od nazwy streszczającéj ich program polityczny, jak *Délivrance* zainstallowany w sali Valentino; *Résistance* w Alkazarze i wreszcie *Vengeance* na bulwarze *Rochechouart*. Dodawszy do tego nomenklaturę klubów *Prè-aux-Clercs*, *Casino-Cadet*, *Ecole-de-Medecine*, *des Percherons*

i *Réunion*, będziemy mieli prawie dokładną listę klubów, żyjących życiem mniej więcéj żywém, mniej więcéj ruchliwém podczas oblężenia, może ze dwa tygodnie, niewięcéj. Dalecy jesteśmy od r. 1848, kiedy Paryż liczył 189 klubów w całéj pełni rozwoju. Ale bo téż i niéma nad czém tak bardzo debatować. Kwestya gminy *(Commune)* zajmowała większą część klubów przez miesiąc, ale kiedy ostatecznie upadła i pogrzebiona skutkiem rozruchów 31 października, nie pozostawało już rozprawiać jak tylko o *obronie Paryża* i o kwestyi *żywności*, nędzna to strawa dla zebrań trwających po trzy godziny i zgromadzanych co wieczór! Objawy życia politycznego, zbyt rzadkie, nie przedstawiały tematu dla mówców. Często, bywało, prezydujący odzywał się rozpacznie: *Nikt więc nie zabiéra głosu?* i cała sala milczała. Bo téż mówcy mieli nieraz ciężkie orzechy do zgryzienia. Publiczność zwolna wyrobiła właściwy smak i nie znosiła już tak cierpliwie nudnych oracyj; nie dała się tak łatwo powodować grzmiącemi frazesami; wielu z tych, którzy dzięki silnemu organowi głosu i niewyczerpanéj gadatliwości, debiutowali zrazu z powodzeniem, następnie wygwizdano, zakrzyczano—nie chcieli więc już próbować. Widziałem w ten sposób, dla braku mówców, upadek poważnego klubu *Porte-Saint-Martin*, założonego przez

liberalną frakcyą mieszczańską. Prezesem jego był *Desmarets*; za nim szli: pastor Pressensé, Yung z *Debatów*, Coquerel, znakomity adwokat Leberquier i inni. Klub ten, otwarty w obec wielkiego natłoku, trwał trzy tygodnie, zgromadzając co wieczór tęż samą publikę w sali zawsze przepełnionéj. Pewnego dnia zgasł dla braku kwestyj i mówców. Sprzykrzyło się tym panom stać bezustannie na wyłomie; publiczność, zanadto wyrafinowana, przyjmowała już tylko rzeczy dobrze obmyślane i dokładnie wypowiedziane. Spuściznę po nieboszczyku przejął klub *Délivrance*, założony po niejakim czasie przez P. Vrignault, naczelnego redaktora *Liberté*. Przechował on tu też same tradycye zacnéj idei i dobrego smaku wyrażenia: piérwsze posiedzenia wypadły nader świetnie, ale niebawem powodzenie słabło; nie wiem czy i on wytrzyma do końca.

W liczbie tych wszystkich klubów, *Folies-Bergères* miały swoją oddzielną fizyognomią, jako klub *par excellence* fantazyjny. Założony w punkcie środkowym, tuż przy bulwarze Montmartre, zgromadzał znaczną liczbę słuchaczy wieczorem dla przepędzenia czasu, zakurzenia cygara, to téż niebawem zapanował tu duch blageryi zwykłéj bulwarowcom. Drwinkowano ze wszystkiego; pomiędzy publicznością i mówcami zawiązywały

się rozmowy dziwaczne. Napatrzyłem się tu na różne sceny, bądź poważne, bądź śmieszne, pod czas których prezydujący dzwonił zwykle co sił dla przywrócenia porządku.

Wszystkie kluby, jak łatwo zgadnąć, reprezentowały stronnictwo najzagorzalsze; były tu może odcienia pomiędzy *czerwonymi*, ale myśmy ich nie rozróżniali. Parodyowano z całą powagą wybuchy gwałtowne z r. 1793, adepci których, śród rzęsistych oklasków zelektryzowanego tłumu, występowali na trybunie z wnioskami najnierozsądniejszemi, najdziwaczniejszemi. Ani się waż odezwać ze zdaniem przeciwném, bo cię schwycą natychmiast, a podając z rąk do rąk, wyrzucą za drzwi. Wszyscy ci ludzie uważali się za Robespierre'ów lub Marat'ów w miniaturze.

Oto np. epizod z sali Favié. Występuje mówca w prostéj tunice gwardzisty narodowego, z potężną rozczochraną brodą, wzrokiem dzikim, wyjmuje z kieszeni papiér i rozwija. Zaczyna czytać, co? Wyrok śmierci (ma się rozumiéć *per contumaciam*) na zdrajcę Bazaine'a i jego wspólników. Canrobert'a, Leboeuf'a i Cauffinieres'a. Mówca wzywa wszystkich obywateli Belleville'u do potwierdzenia wyroku. Cała sala wstaje, konfirmując głośno wyrok śmierci. Mówi daléj, wzywając obywateli do wykonania przez nich samych wyroku.

Ta propozycya przejmuje jakoś dreszczem. Przystępując wreszcie do kwestyi socyalnéj i religijnéj oświadcza, że nadeszła chwila zastąpienia teologii i metafizyki geologią i socyologią.

Po téj próbie tytańskiéj mówca schodzi z trybuny, znikając w szeregach batalionów gwardyi narodowéj.

Scena ta, wyjęta trafem z tylu innych, może dać wyobrażenie o niedorzecznościach prawionych po klubach. Nie chciałbym zbyt surowo ich potępiać, bo nie uczęszczałem regularnie na zebrania; obecny jedynie na dwóch czy trzech sesyach, znam inne tylko z dowcipnych sprawozdań *Debatów*. Jeżeli jednak drzewo poznaje się po owocach, nie sądzę, aby kluby rewolucyjne wzbudziły i rozszerzyły najmniejszą myśl właściwą, aby wywarły na umysły wpływ korzystny i przyczyniły się w czémkolwiek do obrony. Narobiły więcéj hałasu, niż pożytku. Zresztą stronnictwo, którego były organami, przedstawiało nie tak znowu liczne zastępy, jak przypuszczało zestraszone mieszczaństwo, dowodem zaś tego, że *Patrie en danger*, dziennik Blanqui'ego, upadł dla braku przedpłacicieli.

W Paryżu, jako mieście *par excellence* ekscentryczném, utworzył się także klub kobiét, gdzie

mężczyzn dopuszczano tylko w charakterze widzów. Prezesem była tu prezeska, assesorami — assesorki. Nie wiem czy odbył więcéj posiedzeń nad jedno, mianowicie w październiku, które rozśmiészyło cały Paryż. Obywatel Juliusz Allix, sekretarz komitetu dam, proponuje dwa wnioski: piérwszy, ażeby kobiéty szły uzbrojone na wały, drugi, że powinny bronić honoru swego w obec nieprzyjaciela, jakim sposobem? Tu mówca wytrzymuje zręcznie pauzę, poczem dodaje grzmiącym głosem: *za pomocą kwasu pruskiego.* Kwas pruski! dodaje obywatel Allix z pełnym znaczenia uśmiechem, jakże to ciekawe, że kwas pruski posłuży do wybicia prusaków. Potém opisuje szczegółowo przyrząd, który uśmierci każdego Prusaka wchodzącego do Paryża. Wynalazca nazwał go palcem Bożym! ale Juliusz Allix sądzi, że lepiéj nazwać go *palcem pruskim.* Jestto rodzaj naparstka kauczukowego, który kobiéty kładą na palec. Przytwierdzona do naparstka rureczka zawiera kwas pruski. Zbliża się Prusak, podajesz rękę, ukłujesz i już po nim. Jeżeli nadejdzie ich kilku, kilkunastu, to podczas gdy inna kobiéta nie uszłaby z rąk ich żywcem, albo utraciłaby zmysły, to posiadająca palec pruski, kłuje, pozostając spokojną i czystą, wśród wieńca

trupów nieprzyjacielskich. Tak mówi obywatel Juliusz Allix, kobiéty leją łzy rozczulenia, a mężczyźni trzymają się za boki od śmiechu. Daléj wychodzi na stół kwestya ubioru i obywatel Juliusz Allix ma znowu zabrać głos nad korzyściami pasa hygienicznego, gdy w tém ktoś odzywa się, że on, jako mężczyzna nie powinienby być dopuszczonym do czynnéj w zgromadzeniu roli. Obywatel Juliusz Allix pyta kto to mówi i wzywa, żeby się pokazał. Jakiś gwardzista narodowy, 3-łokciowy drągal, jednym susem wskakuje na trybunę. Hałas, gwar nie do opisania: prezeska, assesorki, żuawki rzucają się nań hurmem, szczypią, drapią tak, że dobrze poturbowany ledwie wydziera im się z rąk... Nie kładźmy jednak na karb ludności paryzkiéj owych niedorzeczności, powstających prawie wszędzie skutkiem wielkich wstrząśnień politycznych i socyalnych.

Drugą ekscentrycznością zajmującą żywiéj opinią publiczną, była krucyata przedsięwzięta przez niektórych merów przeciwko wizerunkom Chrystusa, które kazali pousuwać z ambulansów, i przeciwko zakładom naukowym braci szkoły chrześciańskiéj, zamykając takowe samowolnie; najgorliwiéj działał w tym względzie p. Mottu, mer 11-go okręgu. Zaczęto żywo rozbiérać kwe-

styą po klubach i dziennikach. Władza, idąc za prądem opinii publicznéj, potępiającéj energicznie owe środki, co najmniéj niewczesne, naganiła p. Mottu i usunęła z urzędu. Agitacya ustała; wykład nauk rozpoczęto na nowo jak zwykle, tak u braci i sióstr, jak i po lyceach. Minister oświecenia publicznego, Juliusz Simon, wystąpił ze znakomitym cyrkularzem, dowodzącym że ponad czczą burzą polityczną powinna górować edukacya i nauka, i w skutek tego postanowił, że Instytut wyśle balonem jednego z członków swoich dla obserwowania całkowitego zaćmienia słońca, mającego być widzialném w Azyi. Uczony wzleciał, ale domyślamy się, że balon, który go uniósł, jest właśnie tym samym, o którym jedna z gazet angielskich pisała, że zginął gdzieś na Atlantyku.

## II.

W tym właśnie peryodzie czasu uregulowano ostatecznie organizacyą pocztową, ekspedyującą listy balonem i dostarczającą odpowiedzi — nader rzadkich niestety! pocztą gołębią. Rząd utworzył wielką fabrykę balonów w ten sposób, aby zawsze jeden z nich miéć na pogotowiu przy pomyślnym wietrze.

W początkach oblężenia balony puszczano w dzień, ale niebawem dostrzeżono, że Prusacy uprzedzeni o chwili wzlotu, posyłali w ślad za niemi albo race zapalne, albo kule z broni dalekonośnéj, postanowiono więc wyprawiać je nocą. Operacya nadymania i samo wznoszenie miały miejsce zawsze na stacyi kolei żelaznéj Północnej lub Orleańskiéj. Kto miał sposobność widzenia tego odejścia poczty, nie zapomni go przez całe życie. W środku obszernego podwórza, balon z żółtéj kitajki, napół już napełniony, miota się wściekle od podmuchów wiatru, latarnie lokomotyw oświetlają drogę fantastycznym blaskiem. Naokoło snują się w cieniu ludzie, których wziąłbyś za szatanów zajętych piekielném jakiémś dziełem. W kącie dyrektor poczt, Rampont, zafrasowany, wyciąga zégarek, bada kierunek wiatru i zdaje się pytać o radę aeronautę Godard'a, z którym rozmawia po cichu. Widocznie grozi niebezpieczeństwo, trzech ludzi ma puścić się balonem. Podróżny, którego nazwisko okryte tajemnicą, szczelnie otulony futrem, spaceruje niespokojny, blady, starając się na pozór zachować zimną krew i odwagę. Drugi, marynarz, najobojętniéj w świecie pali fajkę; widzisz, że wskoczy w łódkę, równie ochoczo jak na morzu, z obowiązku służby

i powołania. Trzeci, urzędnik pocztowy, nader czynny, bo w téj właśnie chwili nadjechał furgon z korrespondencyą, on więc znosi szacowne worki i układa je około łódki. Przynoszą pięć klatek z trzydziestu sześciu gołębiami, ulubionemi wysłańcami, czarnemi, białemi, złotawemi, noszącemi zwycięzkie nazwiska jako to: *Gladiateur*, *Vermouth*, *Fille de l'air* i t. p. Przynosi je sam właściciel i czuwa nad dogodném pomieszczeniem. W saméj chwili wyruszenia spostrzegają, że żaden z podróżnych nie pomyślał o wiktualiach. Biegają, kręcą się, wynajdują wreszcie trzy bułeczki, dwie tabliczki czekolady i butelkę wina. Opóźnienie wyszło na dobre, bo oto wbiega zadyszany ordynans: *Depesza od gubernatora!* Aeronauta bierze ją, przytwierdzają łódkę, nagły okrzyk: *puszczaj!* i balon sunie śmiało, uginając się pod pędem wiatru. Chwila wzruszenia nie do opisania; wszyscy ze stłumionym oddechem wlepiamy wzrok w tę czarną massę, drgającą w tych strasznych podskokach. Czyż pęknie? nie! Oto wznosi się i zaledwie balon poszybował ponad oszklonym dachem stacyi, już ukrył się w nocnéj pomroce. *Adieu! adieu!* słyszymy z góry głosy aeronautów i odpowiadamy życzeniem szczęśliwéj podróży, wznosząc w górę kapelusze. *Niech żyje Francya!*

Gołębie, które unoszą, powrócą do nas wkrótce, jeżeli tylko zimno, mgły, jastrząb lub kula pruska nie staną na przeszkodzie. Każdy z nich przyleci z lekką rurką przyczepioną trzema nitkami do piórka w ogonie, a w niéj zwinięty kawałek papiéru długi na 40, szeroki na 30 milimetrów, stanowiący mikroskopijną redukcyą druku za pomocą fotografii. Ta mała ćwiartka, czytelna zaledwie przez nader silnie zwiększającą lupę, wygląda na dziennik o cztérech kolumnach. Kolumna lewa zawiera tylko wzmiankę następującą:

PRZESYŁANIE DEPESZ POCZTĄ GOŁĘBIĄ.

*Steenackers do Mercadier, 103, ulica Grenelle.*

W innych trzech kolumnach wypisane depesze, jedna po drugiéj, bez odstępów ani interlinij, niektóre z nich urzędowe, inne prywatne. Ah! ileż one sprawiły nam pociechy, radości! Ileż to frankówek, ba! nawet luidorów przeszło do rąk usłużnych kuryerów, wręczających tak pożądane depesze! A owe gołębie, jakiemiż czułemi otaczano je staraniami! Kiedy, wypadkiem, który z nich, zmęczony, przemokły, usiadł na brzeżku dachu, jakimże pilnym wzrokiem śledziliśmy jego ruchy!

Wszystkie ręce wyciągały się ku niemu z bułką, grochem lub prosem na zachętę. Co za okrzyk radości gdy ulatał wprost do gołębnika. Poezya głosiła ich pochwały. Paweł de Saint-Victor wysławiał zalety ich piękną prozą w sposób następujący:

„Są to gołębie z olbrzymiéj arki, tonącéj w potokach krwi i ognia. Spiralne linie ich lotu rysują w powietrzu tęczę, zwiastunkę końca burzy. Duch ojczyzny drży pod ich skrzydełkami. Ileż to łez i pocałunków, ileż pociechy i nadziei spadło z ich piór zmoczonych śniegiem lub poszarpanych przez drapieżnego ptaka! Powracając do swego gniazdka, wnoszą w tysiące gniazd ludzkich nadzieję, odwagę i życie. Dziś, więcéj niż kiedykolwiek, i w całém znaczeniu tego wyrazu, zasługują na nazwę zwiastunów miłości. Jak bociany miast północnych, jak gołębie Wenecyi winnyby stanowić ptastwo święte. Paryż powinienby wybrać potomstwo ich z gołębnika, chować je i karmić pod dachem któréj ze świątyń. Rasa ich byłaby tradycyą poetyczną tego wielkiego oblężenia, jedynego w historyi. Stadka ich po naszych ulicach i ogrodach przypominałyby nam, że były kiedyś chwile, kiedy skrzydełko ptaszka unosiło wszystkie serca olbrzymiego grodu. Cześć religijna

osłaniałaby ulubione ptaki. Wenecya podczas długiego oblężenia, stokroć więcéj ogłodzona od Paryża, nie ścierpiała, ażeby ktokolwiek śmiał wyrządzić krzywdę gołębiom Ś-go Marka. Zabrakło zboża, wydzierano sobie kawałek chleba, im nie zbywało ani jeden dzień na pokarmie. Wenecya umierająca z głodu, sypała swoim gołębiom ostatnie ziarno z wypróżnionych śpichrzów.

*„Vents, dites leur notre misère!*
*„Oiseaux, portez leur notre amour!*

wołają wygnańcy z pieśni Wiktora Hugo.

Ten obraz poety stał się dziś żywą, cudowną rzeczywistością. Wiatry opowiadają Francyi nędzę i nadzieję Paryża; gołębie zanoszą drogim nieobecnym istotom jego miłość".

Eugeniusz Manuel, znany poeta, poświęcił ze swej strony tym skrzydlatym gońcom wiérsz powtarzany wielekroć na scenie Teatru Francuzkiego, a znany i z naszéj sceny Franciszek Coppée napisał poetyczny obrazek p. t. *List ochotnika bretońskiego*. (Oba te wiérsze autorka Kroniki Zagranicznéj w *Bibliotece Warszawskiéj* za maj r. b. umieściła w przekładzie. Podajemy je zatém czytelnikom podług jéj udatnego tłumaczenia).

## DO GOŁĘBI.

Wy, miłości słodkie posły,
Gdzież się czasy te podziały,
Na skrzydełkach gdyście niosły
Utęsknionym liścik mały?

Widzę dziéwczę, drżącą dłonią
Szuka pisma w białym puszku,
Jakże lica jéj się płonią,
Jaka trwoga w jéj serduszku!

Otóż liścik!... żarem słońca
Błyska nagle wzrok dziewicy,
I do piersi tuli gońca,
Gońca wieści tajemniczéj.

Do bram naszych dziś w swobodzie
Pcha się nawał wstrętnych gości;
W oblężonym wielkim grodzie
Któżby myślał o miłości?

Co dnia smutniéj i boleśniéj,
Wstyd ku ziemi gnie nam głowy,
Biesiadnicze znikły pieśni,
Słyszym tylko grzmot działowy.

Zbladła doli naszéj gwiazda,
Czas i waszą zmienił dolę;
Biedne ptaki! wam dziś z gniazda
Na krwią zlane leciéć pole!

Nie ku młodych serc uciesze
Nieść wam listek z rąk dziewicy;
Wam tajemne nieść depesze,
Wy, narodu posłannicy.

Bóg ukarał pychę naszę
O! bo naród grzązł w niéj długo;
Dzisiaj tylko biédne ptasze
Z chętną leci nam posługą.

Oto źrenic miliony
Patrzą chciwie w przestrzeń siną;
Chórem pyta gród stęskniony,
Przyleciała-żeś ptaszyno?

Mów! Czy Francya zbrojna cała?
Czy podjęła oręż mściwy?
Jak gołąbka z arki biała,
Czy nam niesiesz liść oliwy?

Mów, gołąbko czy po lesie,
Po winnicach wzdłuż zagonów,
Wiatr jesienny z echem niesie
Pieśni dzielnych legionów.

Czy ten hufiec chyżo wzrasta,
Co nam śpieszy ku pomocy?
Ślą go włości? Ślą go miasta?
Zkąd? z południa czy z północy?

Leci ptaszka lotem strzały!
Na gniazdeczko padła drżąca:

Oddaj... oddaj świstek mały
Na pociechę dusz tysiąca.

## LIST OCHOTNIKA BRETOŃSKIEGO.

Matko! ojcze mój stary, ty siostrzyczko złota,
Wieczorem, gdy się dzienna zakończy robota,
Zanim capstrzyk zadzwoni, radbym oto szczerze
Co myślę skréślić dla was piórem na papierze;
Ale smutno się jakoś wątek myśli klei,
Bo chociaż — Bóg mi świadkiem — nie tracę nadziei;
Choć wiem, że gdyby przyszło położyć mi głowę:
Spełnię wiernie powinność; lecz progi domowe,
Czyli to w dzionek biały, czy to w nockę ciemną,
I we śnie i na jawie, wciąż stoją przedemną.
Widzę izbę i półki przyparte o ścianę,
I miski farfurowe, dzbanki malowane;
Na stole garść orzechów, kawał szynki tłustéj,
Z misy na całą izbę, bucha woń kapusty;
Matka w bieluchnym czepcu do stołu się zbliża,
Ojciec ujął chléb w rękę—i nożem znak krzyża
Kréśli na nim pobożnie, zaczém kęs odkroi:
Kiwnął głową, o cząstce snadź pomyślał mojéj;
Dość już o tém, wróg wszystkich na miazgę nie zetrze,
Może i wrócę do was!
Pod fortem, w Bicetrze,
Stanęliśmy obozem wszyscy z naszéj wioski,
Pan hrabia z nami także: gdy kréślę te zgłoski
Na skórzanym tornistrze, dmie wicher z łoskotem,
Wciska się przez szczeliny i wstrząsa namiotem,

I papiér z rąk wyrywa i świeczkę mi gasi.
Bicêtre to fort nie lada! Bretonowie nasi,
Zaprawni do niewczasu dzielni marynarze,
Na murach dniem i nocą trzymają tu straże.
Dopadkiem chyba tylko, jak w morskiéj przystani,
Wsparci grzbietem o działo, zasną spracowani.
Przecież te dzielne zuchy na trud się nie żalą,
Kilku dawnych znajomych spotkałem z Saint-Malo,
Razem téż, jak Bretonów dziatwa nieodrodna,
Po małéj wina czarce spełniliśmy do dna.
Mój oddział do ostatniéj należał wyprawy;
W niéj Noel syn dzwonnika legł na polu sławy;
Jak to mówią w Paryżu: sam na to patrzałem
Gdy padł, w ramię śmiertelnym ugodzony strzałem,
Taczał się w krwi nieborak, krzyczał w niebogłosy;
Na ten widok aż dębem powstały mi włosy,
Tchu w piersi mi zabrakło, ale trudna rada,
Grzmią bębny... toć po trupach naprzód iść wypada.
Zbieram siły, kłąb dymu wyżera mi oczy,
Pcham się naprzód i strzelam na oślep w pomroczy;
Aż gdy światło do reszty nad głową nam zgasło,
Gdy trąby zadzwoniły do odwrotu hasło
Wieczorem; jakiś starszy w pozłocistém kepi,
Z rzędu starych wiarusów, co szermierzą lepiéj
Szpadą niźli językiem: „Dobrze, chłopcy moi!“
Rzecze do nas, a potém klnie na czém świat stoi,
Jakby jakiś poganin; a wiara odpowié:
„Niech żyją! niech nas tacy prowadzą wodzowie!“
Ten i ów rzuci słówko... ej, odpuść im Panie!
Na siwego plebana, co w długiéj sutanie

Podąża z nami w ogień, a skoro potrzeba
Obmyte z grzechów dusze zasyła do nieba;
My za całą odpowiedź téj krnąbrnéj gawiedzi,
Uczym jak człek umiéra po mszy i spowiedzi!

Byliśmy i w Paryżu: mieściskoż to duże!
Ludu w niém co niemiara.... dreszcz mnie zbiegł po skórze!
Złe jakieś przyszły wieści, naród osowiały
Po ulicach gazety czyta przez dzień cały.
Mieszczanie nas rekrutów goszczą jak kto może,
Jam z Piotrem stanął w pięknym marmurowym dworze.
Nie brakło nam wygody, napoju, ni jadła;
Cudnież tam, gdzie rzuć okiem: obrazy, zwierciadła.
Podłoga jak szkło ślizka, nie śmiem stąpić kroku,
Siadam na brzeżku krzesła... aż tu szczęściem, z boku
Gromadka drobnych dziatek wesoło przybieży,
Spojrzy na nas i hurmem pędzi na żołnierzy.
Jedno drze się do szpady, drugie do felcecha,
Pełno gwaru, tartasu: byłaż to uciecha!
Aż jakoś i mnie w końcu ośmieliły dziatki,
Żem raźniéj począł stąpać po podłodze gładkiéj,
I takem się z rodziną zapoznał powoli.
Jakbyśmy zjedli razem całą beczkę soli.

Ale muszę list kończyć, czas chyżo ucieka;
Już się capstrzyk wieczorny rozlega zdaleka.
Czy dojdzie list rąk waszych, Bóg to wiedzieć raczy;
Alem rad, żem się uczył w szkole, bo inaczéj
Nie byłbym dziś kapralem, i bez téj ochoty
Do książki i do pióra, ten galonik złoty

Nie świeciłby tak na mnie, jak dziś oto świeci;
Mój list jutro z Paryża balonem odleci.
A teraz, do widzenia! ja nie tracę wiary,
Że was powitam jeszcze, matko! ojcze stary!
Gdybym zaś nie miał wrócić, niech żal wasz ukoi
Myśl, żem dotrwał do końca przy chorągwi mojéj,
Żem legł w kraju obronie. Czekajcież w pokoju!
A ty, siostro, jak spotkasz Iwonkę u zdroju,
Powiédz, że o niéj myślę w każdéj życia chwili,
Że w Paryżu, gdzie drudzy serca potopili,
Ja zachowałem moje nietknięte i zdrowe;
Powitaj ją, ucałuj za mnie włoski płowe,
I szepnij jéj do uszka, żem ja niespokojny,
Czy mnie kto nie ubiegnie, zaczém wrócę z wojny.
A niech téż zbyt nie tęskni i od łez się wstrzyma,
Bo nie chcę z czerwonemi zastać ją oczyma.
Bądźcież wszyscy swobodni i zdrowi, Bóg z wami!
Kochające was dziecko, pisze to ze łzami!

## III.

Takie to były nasze zajęcia, boleści i pociechy w owych chwilach oblężenia. Zaledwie od trzech miesięcy zawrzała wojna, a już cesarstwo z jego bezwstydnemi praktykami odsunęło się od nas w dal niezmierną. I w istocie mieliśmy o niém czcze już tylko jakieś pojęcie, jakby o Nabuchodonozorze przemienionym w wołu lub o Faraonie

zatopionym wraz z całą armią w morzu Czerwoném. Wyszło nam całkiem z myśli i pamięci, a za dowód pogardliwego zapomnienia służy nader małe powodzenie *Fascykułów*. Zaraz po ogłoszeniu Rzeczypospolitéj, nowy rząd postanowił podawać do wiadomości publicznéj, w broszurkach zwanych Fascykułami, papiéry znalezione w Tuileryach dla wyświetlenia całéj szkarady i ran owych zbutwiałych rządów.

Piérwsze poszyty chciwie rozchwytywano, a w ciekawości ogółu przebijało jakby zadowolenie zemsty. Co za radość przeniknąć te brudne tajniki, podnieść grubą zasłonę pokrywającą dotąd szczelnie wszystkie te skandale. Tym sposobem listy np. ex-cesarza do słynnéj zalotnicy Małgorzaty Bellanger i odpowiedzi téjże, ubawiły, rozśmiészyły całą publiczność paryzką. Przebijał z nich domysł o mniemaném dziécięciu i jakieś nędzne szachrajstwa, w których piérwszy prezes Sądu kassacyjnego smutną, zdaje się, odgrywał rolę. Bezeceństwa te podsycały silnie złośliwość naszą. Czytano również chciwie listy wyjawiające to, czegośmy się tylko domyślali, a mianowicie, że wojnę mexykańską, rozpoczęto jedynie w celu podania księciu de Morny sposobności zarobienia kilku milionów, na skutek szacherek z awanturnikiem Jeckerem; inne pisma przekonywały dowo-

dnie, że Napoleona III ostrzegano ze wszech stron o olbrzymich uzbrojeniach i siłach wojennych Niemiec, że zatém lekkomyślne wypowiedzenie wojny nie da się nawet wytłumaczyć zaślepieniem. Zwolna, dalsze publikacye, niemniéj interesujące, słabsze już obudzały zajęcie, ale każdy dzień oddzielający od owych czasów infamii, stawał się dla nas wiekiem. A kiedy niegodni przemysłowcy, karykaturując skandale, porozkładali cyniczne utwory swoje po przejściach najwięcéj uczęszczanych i wrzeszczeli po rogach bulwarów: „*Pani Bonaparte, jéj występki i kochankowie*!“ kiedy ujrzano po wystawach księgarń szkaradne wizerunki dostojników drugiego cesarstwa, przemienionych jeden w wilka, drugi w osła, wieprza i t. d., ogólne oburzenie wzrosło, a dzienniki, występując w obronie moralności i wstydu publicznego, zażądały zabronienia tych wystaw, więcéj zaiste skandalicznych, od skandalów które miały karcić.

Umysły dotknięte tylu nieszczęściami, oczyszczone, nie mogły znosić niegodnego widoku. Stawaliśmy się lepszymi, i zobaczymy daléj jak serce Paryżan wznosi się, utrzymując ciągle na wysokości strasznych wypadków, jakie pozostaje nam jeszcze opisać.

---

# ROZDZIAŁ ÓSMY.

## Prowincya powstała. — Bitwy pod Paryżem. — Bombardowanie się zbliża.

### I.

Przypominacie sobie zapewne dawne podania, o strażnikach owych śledzących z wysokości wieży, czy czasem pomocnicze wojsko nie nadciąga na odsiecz oblężonemu miastu. Tłum ludzi zgromadza się u stóp kościoła i zapytuje od czasu do czasu czuwającego żołniérza, czy nie widzi czego zdaleka. Rozpaczają, płaczą, każdy już widzi bliską konieczność poddania się, gdy nagle człowiek ze szczytu wieży wydaje okrzyk:

— „Spostrzegam daleko na polu, jak się zbliża ogromna kurzawa. Z pośród niéj błyszczą lance i kaski.“

Cała zgromadzona ludność odpowiada na tę dobrą nowinę głośnym objawem radości. Wszyscy ściskają się, przysięgają sobie raczéj umrzéć niż uledz. Ufność i wiara powraca, a wraz z niemi niezłomne postanowienie walczenia do ostatka.

To podanie z czasów Atylli, jest i naszą historyą, a może jest również historyą wszystkich oblężonych miast. W dniu 15 listopada gołębią pocztą przybyła nam depesza, że armia orleańska pod dowództwem jenerała Aurelle de Paladines pobiła Prusaków i odebrała im Orlean.

Nie, trudno, niepodobna dać wyobrażenia o wzruszeniu, jakiego doznało całe miasto na tę niespodziéwaną wiadomość. A więc to prawda, że owa prowincya, którą uważaliśmy za tak niepodobną do nas, obojętną, a nawet może nieprzyjazną, w walecznym zapale zebrała wojsko, wojsko prawdziwe, wojsko zdolne do walki z Prusakami, do pobicia ich nawet, i że to wojsko znajdowało się zaledwie o dwadzieścia pięć mil od nas, od tyłów nieprzyjacielskich. Godzina oswobodzenia wybiła dla nas!

Ci, którzy nie znają szczególnéj elastyczności paryzkiego charakteru, i którzy nie obserwowali z jaką łatwością on przechodzi od najgłębszego zwątpienia do uniesień najżywszéj egzaltacyi, nie są w stanie pojąć cudownéj zmiany, jaka zaszła

w téj chwili we wszystkich umysłach. Wszystko poszło w zapomnienie, podejrzliwość, nędza, nieufność i rozpacz.

Gołąb przynoszący depeszę był dla nas gołąbkiem Noego, przynosił w dziobku godło nadziei. We wszystkich sercach zajaśniała tęcza zwycięztwa. Imię znakomitego Aurelle de Paladines, zupełnie dotąd nieznane, naraz stało się sławném. Wszystkie dzienniki głosiły jego sławę. Opowiadały o jego zamiłowaniu karności, o jego przymiotach organizatora, zręczności taktyki; nie zapomniano nawet o takim malowniczym szczególe, że miał kulę, któréj nie można mu było wydobyć z mózgu, a która niekiedy nadawała jego fizyognomii dziki wyraz! Byłto wielki wojownik, bohatér, zbawca, Messyasz obiecany.

Obliczaliśmy już naprzód ile potrzebowałby dni, ażeby dostać się do nas z wojskiem, a pochyleni nad mappą, ze szpilką w ręku i rozpaloną głową, wyznaczaliśmy mu drogę do Paryża. Przebiegaliśmy od jednego zwycięztwa do drugiego. Ufność była tak wielką, iż nazajutrz, nie znalazłszy w żadnym dzienniku wiadomości o nowém jakiém powodzeniu, pytaliśmy siebie wzajemnie:

— Cóż robi Aurelle de Paladines?

Zdawało się nam już że za wolno postępuje. W braku gołębi, kaczki spadły stadami na bulwa-

ry: Amiens odebrane... Chartres także... Etampes dostanie się nam wkrótce.

— Co! Etampes także?

— Powiadam ci że tak.

— A zkąd wiész o tém?

— Jeden wieśniak przechodził przez nasze linie i zatrzymał się w jednéj oberży Montrouge. Spotkał się tam z żołniérzami i opowiadał im o tém.

— I co się stało z tym wieśniakiem?

— Szukają go.

Naturalnie, że go nie znaleziono. Trudno uwierzyć, ilu było w czasie oblężenia fantastycznych wieśniaków, nieprawdopodobnych ajentów, bohatérów urojonych podań, którzy nieraz rozpowiadali najniepodobniejsze do prawdy wydarzenia. *Charivari* wystąpił z humoreską o *człowieku, który przeszedł przez linie. Officiel* ciągle ogłaszał, że nic więcéj nie wié, nad to co ogłosił, i że jak tylko dojdzie do niego jaka wiadomość, nieomieszka podzielić się nią z publicznością, ukrywając tylko to, coby mogło skompromitować sprawę obrony. Wyobraźnia nowiniarzy mimo to nie próżnowała. Jak dawniéj klęskami, tak teraz sypali naokoło zwycięztwami.

Byli i tacy, którzy nie wierzyli aby nadzieja zawieszenia broni stanowczo przepadła: jednego

dnia powtarzali, że Thiers bawi ciągle w głównéj kwaterze pruskiéj; innego dnia znowu, że lord Lyons w imieniu Anglii nanowo podjął układy.

Takie pogłoski, które tydzień temu byłyby wywołały we Francyi głębokie wrażenie, dziś przechodziły prawie niepostrzeżone. Wiatr się odwrócił. Zawieszenie broni! po co zawieszenie broni? Kto kiedy myślał o zawieszeniu broni? Chyba na żart! Wojna o życie lub śmierć, to co innego? Takie-to usposobienie Paryżanina! Taka gotowość do codziennych odmian zdania!

Wszyscy więc zgadzali się znowu, jak po zjeździe w Ferrières, na nowe wytrwanie w walce, nastąpiła druga chwila odwagi i dobrego humoru! Tak wszyscy byli szczęśliwi na myśl, że prowincya powstaje!

Ta prowincya, trzeba wyznać, była bardziéj odpowiedzialną za wojnę którąśmy toczyli. Ona głosowała za nią dwa razy: piérwszy raz, dając większość głosów cesarskiemu plebiscytowi i tym sposobem, wbrew Paryżowi i jego mieszkańcom, udzielając rządom Bonapartego, które wystąpiły z meksykańską wyprawą, nową prawomocność, a drugi raz za pośrednictwem swoich deputowanych, którzy przytłumili głos reprezentantów Paryża, domagających się przynajmniéj dwudziestu cztérech godzin namysłu, zanim się rzuci Francya

w nowe, straszniejsze od wszystkich jakie dotąd przechodziła, przygody.

Słusznie więc żądaliśmy od prowincyi pomocy; powinna ona była pozbyć się swéj dawnéj nieufności względem stolicy, nie zasklepiać się sama w swoim kąciku i nie zostawiać nas samym sobie z tą zachętą egoisty: — Broń się jeżeli możesz!...

Nie, prowincya nie pojmie nawet nigdy, jak wdzięczni jéj byliśmy, że zrozumiała swój obowiązek. Byłoto nietylko uczucie patryotycznéj wdzięczności, jaką czuliśmy dla niej w tym czasie, była to radość z przekonania się, iż i ona także dopełnia godnie zobowiązań, jakie sobie sama stworzyła. Być ocalonymi to wiele, ale być ocalonymi przez nią, o któréj wątpiliśmy, przez nią, którą musieliśmy posądzać o niewdzięczność!

Francya była odtąd znowu całą, zjednoczoną. Paryż i prowincya podawały sobie ręce przez linie pruskie na znak zgody i zachęcały się wzajemnie do oporu, do wytrwania.

I jednogłośny powstał okrzyk całéj ludności:

— Oni idą do nas; chodźmy i my do nich. Trzeba koniecznie zrobić wycieczkę. Naprzód! jest nas 400,000, a takiéj ilości nic nie zatrzyma!

Tak mówił tłum, lecz Trochu ciągle się wahał.

Zacny wódz, równie rozumny jak waleczny;

nie poprzestawał na słowach. Wiedział on dobrze, iż 400,000 ludzi to nie 400,000 żołniérzy, i że najwytrwalszy patryotyzm nie jest w stanie wytworzyć dobrych wojsk.

Ci na których najwięcéj można było liczyć, to jest marynarze, nie byli zbyt liczni, i zresztą trzeba ich było zachować w fortach gdzie zastępowali artylleryą. Gwardya ruchoma składała się z różnych żywiołów. Wszyscy którzy się do niéj byli zapisali, chcieliby byli jaknajprędzéj wycofać się, ale wszyscy nie byli odpowiednio wyćwiczeni we władaniu bronią. Bądźto zniewieściałość ogólnéj dyrekcyi, bądźto brak zamiłowania karności u oficerów, którzy nie umieli swego rzemiosła, albo nie zadawali sobie pracy w nauczeniu się go, dość, że 100,000 tych młodych ludzi, niezawodnie walecznych nie zamieniło się w porządne wojsko, gdzie-to każdy żołniérz czuje łokciem swego sąsiada, gdzie każdy batalion ufa i temu co go poprzedza i temu co po nim następuje, gdzie wszyscy, ożywieni jedną wiarą i jednym zapałem, ślepo słuchają wodza, który ich prowadzi na wojnę. Szanowali oni swoich jenerałów, ale ci jenerałowie nie mieli w sobie téj sprytności, jaka podoba się tłumom i porywa je. Zamiast odzywać się do nich podniecającemi słowami, często niewłaściwych używali wyrażeń. Buletyny, w których zapisywa-

no codziennie zdarzenia nocne, były redagowane smutnym stylem. Trochu i szef jego sztabu pan Schmitz nazywani byli powszechnie przez wojsko: jenerał *de Profundis* i pułkownik *Contre-Ordre*.

Te dwa przydomki wymownie znamionują o usposobieniu mobilów. Nie widzieli oni w dowódcach téj wesołéj żywości, która zapala do poświęceń, ani też tego porządku, dokładności i męztwa, które budzą zaufanie. Wodzowie ich bylito uczciwi ludzie, chętni do spełniania swoich obowiązków, ale którzy widzieli jasno całe niebezpieczeństwo położenia, i nie wierzyli, by można było je zażegnać; oficerowie zaś, albo niewykształceni, albo zniechęceni. Mówię tu, naturalnie, tylko o ogóle, bo jak wszędzie tak i tu wyjątki były i być musiały.

Gwardya narodowa w tym czasie była tylko nagromadzeniem ludzi dobréj woli, których nieporządek czynił bezużytecznymi. Gdyby zaraz od piérwszego dnia oblężenia zdolny organizator wybrał z téj massy ludzi od 25 do 35 lat żonatych lub nie, jak stosowny do tego rozkaz upoważniał go na całą Francyą; gdyby był ich umundurował, uzbroił i wyćwiczył, to w krótkim czasie mógł z nich miéć wyborne wojsko. Innych można było użyć do usług mniéj męczących, przy wałach i for-

tach, które byliby spełniali z gorliwością jakiéj i teraz dawali dowody. Ale czyż było to pracą, będąc młodym, wykształconym, gotowym do czynów, przechadzać się dwa lub trzy razy w tydzień z bronią na ramieniu po bastyonie, którego nikt nie atakował.

Dzienniki powtarzały codziennie panu Trochu z najżywszém naleganiem: zrób co chcesz z gwardyi narodowéj, ale zawsze zrób cóś. Zostawiając tak dłużéj razem pomięszanych młodych i starych, żołniérzy-emerytów i otyłych burżoazów, pod przewodnictwem wodzów, jakich sami sobie na prędce wybrali, będziesz miał tylko zawsze pod ręką tłum uzbrojony, ale nie wojsko; stado, ale nie armią.

Dlaczego jenerał Trochu tak długo odwłóczył tę kwestyą? Czy, nie wierząc w możliwość przedłużenia oblężenia, nie spodziewał się mieć dość czasu do uorganizowania gwardyi narodowéj? Czy jako dawny wojskowy nie miał wielkiego zaufania w posługach, jakie mogła oddać, choćby nawet po zreformowaniu jéj? Może téż byłoto skutkiem natury jego umysłu, powolnego w obraniu pewnéj decyzyi; nie mógł on nigdy prowadzić kilku interesów naraz i dopiéro skończywszy piérwszą rzecz myślał o zaczęciu drugiéj?

Żadne z tych przypuszczeń nie jest nieprawdo-

podobném, a może nawet wszystkie równie prawdziwe.

Większa część kroków jakie były przedsięwzięte w czasie blokady przez władzę, dopełniane były zwykle pod naciskiem opinii publicznéj. Zamiast, jak to zwykle bywa w miastach oblężonych, komendant miał ożywiać i zachęcać ludność cywilną, tutaj przeciwnie lud z wzrastającą ciągle energią podniecał jenerała-wodza do czynu.

Rozkaz utworzenia regularnego wojska z gwardyi narodowéj ukazał się wreszcie 9-go listopada, w 50 dni przeszło po nadciągnięciu Prusaków pod Paryż. Był tak źle zredagowany, że nikt nie mógł nic z niego zrozumieć. Trzeba było wyjaśniać wszystko przez okólniki, a oficerowie musieli znowu objaśniać okólniki, które były również niezrozumiałe jak sam rozkaz. Nędzny pod względem myśli, jakotéż i stylu.

Reskrypt ten nie kazał tworzyć nowych batalionów, reformował on tylko te, jakie dotąd istniały. Każdy batolion składał się właśnie z ośmiu do dziesięciu kompanii, nowy dekret nakazywał każdemu organizować cztéry kompanie tak zwane *wojenne*, do których mieli wejść:

1) Ochotnicy wszelkiego wieku.

2) Nieżonaci i wdowcy bezdzietni od 20 do 35 lat.

3) Nieżonaci lub wdowcy bezdzietni od 35 do 45 lat.

4) Żonaci lub ojcowie rodzin od 20 do 35 lat.

5) Żonaci lub ojcowie rodzin od 35 do 45 lat.

Byłyto zamięszane i niezrozumiałe kategorye, zwłaszcza w obec prostego prawa, które mówiło:

„Każdy Francuz od lat 25 do 35 jest żołniérzem.

Reklamacye sypały się jak grad! Przytaczam tylko jednę, bo ta dotykała może jednéj z najtrudniejszych do wykonania w tym czasie kwestyj.

Przypominacie sobie, że w gwardyi narodowéj były bataliony, które rozróżniano od siebie nazwą dawnych i nowych. Dawne bataliony składały się prawie wszystkie z ludzi żonatych, a nowe z kawalerów. Piérwsi wyczerpywali przeto bardzo prędko cztéry pierwsze kategorye, kiedy tymczasem drudzy nie sięgali nawet do trzeciéj; tak, że człowiek żonaty 45-cio letni, musiał chodzić w dawnym batalionie, podczas kiedy młody 35-cioletni odważny młodzieniec, jeżeli należał do nowego oddziału, grał sobie w wista w jednym z posterunków miejskich.

— Ha! mówił okólnik, takich przeniosą z jednego batolionu do drugiego!

Ztąd się pokazuje niewłaściwość systemu! Nie mówiąc nawet, że trzeba było odbierać ludziom z gwardyi narodowéj stałéj najlepsze karabiny i dawać je oddziałom wojennym, z których większa część nie posiadała dobréj broni, zamiany takie nie odbywały się dobrowolnie. Piérwsza lepsza kompania patryotów, o tyle gorąca w słowach o ile niedołężna w czynach, odpowiadała dumnie jak Leonidas, kiedy mu proponowano ustąpienie broni:

— Chodź ją wziąć!

— Ależ wy nic nie robicie z nią i nie będziecie mogli nic robić.

— Kto wié?

Następowały więc swary. Kończyło się zwykle na układach zgody, już to prozbą już groźbą, dzięki usposobieniu burżoazyi paryzkiéj.

Wybrano więc nareszcie, umundurowano, nie śmiém powiedzieć wyćwiczono pewną liczbę kompanij wojennych. Byli to po większéj części ludzie odważni, nieprzyzwyczajeni do trudów wojskowych, ale wytrwali w postanowieniach i gotowi bić się *pro aris et focis*. Bez zarozumiałości wiedzieli, że nie mogą świadczyć wielkich przysług, i że w czasie wojny, przy swéj nieświadomości władania bronią, mogą tylko być siłą rezerwową; myśleli tylko, że przy kopaniu rowów i przy

forpocztach zastąpią liniowców i mobilów, dawszy im swobodę działania w innych ważniejszych sprawach.

Może za nadto oględnie oszczędzano ich gorliwość. Obsypywano ich grzecznościami, wymieniano na porządku dziennym. Pochwały, posuwane do przesady, podniecały ich ducha.

Piérwszą wycieczkę, w któréj wziął udział jeden z nowoutworzonych batalionów, przyjęto wielkim rozgłosem. Siedemdziesiąty drugi oddział wraz z czwartym eklererów Sekwany poszedł zająć miasteczko Bondy, pod dowództwem kapitana fregaty Massion.

„Zapał 72 batalionu, mówiło urzędowe sprawozdanie, był wielki, przeszli oni barykady miasteczka Bondy, odparli nieprzyjaciela, postępując za nim krok w krok na drodze do Metz i wzdłuż kanału l'Ourcq. Mieli tylko cztérech rannych...“

Gwardyą narodową w ogóle zachęcano tylko słowami. Gdyby jéj byli dostarczyli odpowiednią ilość pożywienia i zajęcia, gdyby im byli dali uczuć potrzebę ich usług, działając na nich perswazyą, możnaby było zamienić ich na doskonałych żołniérzy i osiągnąć znakomitą z nich korzyść.

Oprócz wojska regularnego, liniowego i ruchomego, gwardyi narodowéj uruchomionéj lub

miejscowéj, historyk oblężenia Paryża nie powinien zapomnieć także o wolnych oddziałach. Utworzenie ich odnosi się jeszcze do początków wojny. Bylito, jak samo nazwisko ich wskazuje, ochotnicy, ubierali się podług upodobania, uzbrajali swoim kosztem i bili się podług własnéj fantazyi.

Zaraz po piérwszych naszych niepowodzeniach, powstał jednozgodny głos w publiczności, że było nierozsądkiem trzymać się massami przeciwko wojsku tak jednolitemu i karnemu, jak było wojsko pruskie. Można było z wielką korzyścią prowadzić wojnę partyzancką, przecinać nieprzyjacielskie konwoje, napadać na ich oddziały, niepokoić ich ciągle z tyłu i z boku; jedném słowem niszczyć ich po trosze. Ten sposób prowadzenia wojny, podobał się bardzo naszemu awanturniczemu usposobieniu. To téż wielka ilość dawnych żołniérzy i młodych ludzi pospiesznie zapisała się do tych wolnych oddziałów, gdzie było mniéj karności, a zato większa rozmaitość i więcéj niespodzianek.

Na bulwarach naszych ukazał się jakby karnawał najfantastyczniejszych kostiumów. Niektórzy z tych ludzi przybrali się poważnie, inni zaś poprzestrajali się jak bandyci z *Opery komicznéj*. Pióra na kapeluszach, różnokolorowe pasy, buty ze sztylpami, najdziwaczniejsze obszycia

i galony, żołędzie, torsady, błyszczały na wszystkich tych dzielnych chłopcach, *que c'etait comme un bouquet de fleurs.* Nikt jednak nie uważał tego za śmieszność, wszyscy oni byli zadowoleni z siebie.

Byłto czas kiedy się jeszcze bawiono. Bardzo waleczni i zdeterminowani wszyscy, a przynajmniéj prawie wszyscy. Trzeba jednak zrobić wyjątek z tych, którzy woleli uciekać do rzędów ochotniczych, gdzie znano ich tylko z nazwiska i gdzie spełniali obowiązki jak chcieli i kiedy się im podobało.

Niektóre z tych wolnych oddziałów, wsławiły się jeszcze nawet przed oblężeniem; tak np. wolni strzelcy miasta Paryża, lepiéj znani pod nazwiskiem wolnych strzelców Lafont-Mocquart, którzy w liczbie 960 udali się pod Sedan, a wróciło ich tylko 167; wolni strzelcy Arronshon, którzy wymykają się z Paryża przed oblężeniem i zyskują sławę przy wzięciu Chateaudun bohatérską obroną.

Zdawało się, że po oblężeniu Paryża wolni strzelcy są już niepotrzebni. A nawet przy naradach obrony, postanowiono połączyć tych, którzy jeszcze istnieli z wojskiem regularném i nie pozwolić na tworzenie się nowych oddziałów. Ale

tu jak i wszędzie nie umiano o niczém decydować stanowczo. Nie ośmielono się dotykać tych batalionów, których zadaniem było podobać się publiczności, schlebiać jéj wyobraźni, wprawiać w ruch wiele dobrych chęci, które pozostałyby może bezczynnemi w wojsku regularném, podniecać przykładem żołniérzy mobilów. Usiłowano zato jak najwięcéj zajmować ich w zakresie działań projektowanych.

Obwiniano te oddziały o nieporządek, dlatego że nie miały poszanowania dla tradycyjnego żołniérskiego guzika. Zdaniem mojém, skoro tylko przyjęto ich usługi, trzeba było zrobić to szczerze i używać ich do napadów, tam gdzie potrzebniejszym był pośpiech i śmiałość niż karność.

Trochu nie taił złego humoru, w jaki wprawiali go ci pomocnicy, których współudział był tak bezładny.

W ostatnich dniach listopada znalazł się odważny wojak, sławny kapitan *Beaurepaire*, który we wszystkich klubach Paryża ogłaszał niejako krucyatę. Żądał 12,000 ochotniczych wolnych strzelców, na czele których zobowiązywał się przedrzéć przez nieprzyjacielskie linie i zajść tył Prusakom, stoczywszy z nimi zaciętą partyzancką wojnę. Mówił przekonywająco i wymownie, i zdaje się zgromadził nawet pewną cząstkę stronni-

ków. Brakowało mu upoważnienia od rządu. Trochu z początku dał mu to upoważnienie, potém jednak cofnął je, dając za powód kłopoty i niepokoje, jakie zawsze pociągają za sobą wolne oddziały przy obronie miasta oblężonego.

Zapewne, że w Paryżu były one mniéj pożyteczne jak w Wogezach lub Ardennach. Wielka jednak ilość tych oddziałów była uznaną przez władzę; były nawet między niemi bardzo poważne; jak np. w artyleryi *Baterye Szkoły Politechnicznéj* pod dowództwem Manheim'a i *Posługacze kartaczownic* mający za wodza p. Pothier, szefa szwadronu artyleryi; w inżenieryi *Legion Ochotników* (dowódzca Flachet) i *Batalion pomocniczych minerów* (dowódzca Jacquot); w piechocie i kawaleryi niektóre tylko z pomiędzy mnóstwa mogę wyliczyć: *Przyjaciół Francyi*, cechujących się skromnym a uderzającym w oczy strojem koloru *marron; Eklererów Franchetti'ego*, których dowódzca, młodzieniec powszechnie lubiony, zginął od pruskiego granatu; *Tyralierów paryzkich*, zostających pod przewodnictwem p. Dumas; *Eklererów paryzkich*, *Eklererów gwardyi narodowéj*, *Karabinierów paryzkich*, *Kawalerów Rzeczypospolitéj* i wiele innych, gdyż byłaby to równie długa litania, jak ta którą Homer wylicza.

Trudno byłoby oznaczyć dokładną cyfrę tych

różnych legionów; nawet minister wojny znał ją tylko przypuszczalnie. Całość składała się z 15 do 18,000 ludzi. Każdy z tych oddziałów, po skończeniu oblężenia, będzie miał wiele do opowiadania, bo niéma żadnego, któryby się nie wsławił walecznemi czynami. Ale ścisły i zimny umysł Trochu oraz duch biurokratycznéj rutyny jego sztabu, przeszkadzały zużytkowaniu téj siły, tam gdzie mogłaby być najpożyteczniejszą.

## III.

Widzimy teraz czém były te 400,000 ludzi, których wymawiano ciągle rządowi paryzkiemu, żądając od niego by się przedarł bądź co bądź przez Prusaków. Rząd wiedział dobrze, że te 400,000 ludzi nie zastąpią 80,000 prawdziwych żołnierzy a na nieszczęście wiedział o tém za dobrze, i nie mógł znaléźć w sobie dosyć środków, dosyć energii i gorącéj wiary, by zamienić na żołnierzy te 400,000 ludzi.

Przedmiotem największego naszego niepokoju było uzbrojenie. Opinia publiczna była doskonale przeświadczona o wyższości pod tym względem artyleryi pruskiéj, jakiéj ta ostatnia dała dowody pod Reichshoffen i Sedanem. Podług ogólnego mniemania, Solferino zawdzięczaliśmy arma-

tom gwintowanym, Sadowę Prusacy winni byli iglicówkom, teraz więc przypisywano wszystkie nasze porażki działom nowego systemu.

— Dlaczego niemamy armat tego systemu? Trzeba nam takich armat od tyłu nabijanych! Oni mają armaty niosące na 5000 metrów, my zróbmy sobie takie, które niosą na 6000 metrów... Dzienniki a między niemi *Temps* i *Opinion nationale* rozpoczęły tę kampanią z nadzwyczajną żywością. Co rano debatowały o potrzebie zaprowadzenia u nas nowéj artylleryi, a ich nalegania, co do natężenia mogły się mierzyć tylko z bezwładnością okazywaną przez komitet artylleryjski.

Nie przyjmuję najmniejszego udziału w téj walce, nie znając się wcale na rzeczy. Opowiadam tylko jako prosty bourgeois paryzki to, co mówiono między publicznością.

Stały naprzeciw siebie dwa małe kościoły, straszną pałające ku sobie zazdrością: jeden w Konserwatoryum Sztuk i Rzemiosł, gdzie cywilny przemysł pod przewodnictwem p. Tresca, mówił tylko o nowych machinach wojennych; drugi u św. Tomasza z Akwinu, gdzie komitet artylleryi z jenerałem Guiod na czele, utrzymywał, że niepodobna znaléźć wyższych armat nad francuzkie; ze wszystko mieliśmy urządzone najlepiéj w świecie, i że w każdym razie fabrykacyi armat nie

można zaimprowizować; gdyż trzeba widzieć inne, zastanawiać się, porównywać, czekać...

— Czekać! ale my nie mamy czasu czekać, wołał p. Tresca oburzony, a wszystkie dzienniki i publiczność chórem powtarzała:

— Potrzeba nam armat nowego systemu!

Trochu w tak ważnéj kwestyi powinienby natychmiast podnieść głos *za* lub *przeciw*. Wahał się, wykręcał! Miéć przeciwko sobie komitet złożony ze znakomitości Szkoły Politechnicznéj, było okropném, myślał więc z obawą o téj ciężkiéj odpowiedzialności. Zbyt był militarnym, by mimowoli nie miał uchylić czoła przed wyższością hierarchiczną. A z drugiéj strony, co począć bez armat?

I tu, jak wszędzie, publiczność zmusiła wodzów do działania. Uczyniono ogólną składkę na armaty dla rządu. Każdy batalion gwardyi narodowéj, każde biuro, ofiarowało jednę armatę od siebie. Ustanowiono po wszystkich prawie teatrach przedstawienia, z których dochód przeznaczano na armaty. Armaty otrzymywały nazwiska, przypominające okoliczność ich pochodzenia, ofiarowywano je przy towarzyszeniu muzyki i mów urzędowych. Przeprowadzano je przez Paryż, a ludność witała je się z zapałem. Było to zwycięztwo opinii publicznéj.

Te armaty były dziełem prywatnego przemysłu. Kilka piérwszych roztrzaskało się lub rozłupało.

Zdaje się, że Tresca, tak opiérał się pomocy i radom młodych oficerów artylleryi, jak jenerał Guiod sprzeciwiał się odwołaniu do przemysłu prywatnego. Chciał wszystko robić sam, są bowiem tysiączne szczegóły, w których najlepsze chęci nie zastąpią nabytego doświadczenia. Zgoda nastąpiła między powaśnionymi i armaty siedmiofuntowe, armaty doskonałe, wyższe nad artylleryą polową, jaką mogli nam przeciwstawić Prusacy, wychodziły setkami z zakładu Cail'a, przerobionego na gisernię, i z warsztatów Flaud. Armata siedmiofuntowa nazywa się dziś armatą Reffye od imienia swego wynalazcy, który kazał zrobić w Paryżu kilka piérwszych sztuk pod przewodnictwem Pothier'a. Jednocześnie z armatami zaczęto odlewać z wielką szybkością kartacznice, inny wynalazek tegoż samego pułkownika Reffye. Byłto ciekawy widok dla każdego Paryżanina, zakład Cail'a w téj porze. Prawie każdy z nas był obecny przy różnych działaniach jakich wymaga wyrób armaty; któż nie widział jak wychodziły z kotłów, w których długo wrzały pod postacią lawy, kto im się nie przypatrywał ze zdziwieniem, jak się obracały, podobne do olbrzymich pie-

czeni na rożnie, czyjéjż ciekawości te cuda nie zaspokajały? Kartacznice równyż budziły podziw. Była-to prawdziwa uroczystość zostać zaproszonym na próby tych przyrządów. Nic dziwniejszego nad ponury brzęk kartacznicy, który sprawia wrażenie szybko rozdziéranéj materyi jedwabnéj.

Do téj improwizowanéj artylleryi trzeba dodać jeszcze i inną, która żywo zajmowała Paryżan i wkrótce stała się modną; byłato artyllerya, znajdująca się na flotylli Sekwany. Flotylla owa przybyła z Tulonu koleją żelazną i wyznaczono jéj miejsce przy wyspie *Łabędzia*, gdzie wszyscy chodziliśmy ją oglądać. Składała się z pływających bateryj; każda miała dwa działa cztérnastofuntowe, strzelające na 5,500 metrów. Załoga składała się z 40 ludzi, zostających pod dowództwem porucznika marynarki. Cała flotylla była pod kierunkiem komendanta Thomasset, energicznego marynarza, którego nazwisko stało się wkrótce między nami popularném.

Obok tych bateryj czynną téż była kanonierka porucznika Farcy. Cały Paryż się nią zajmował. Była ona niezmiernie lekką, ztąd mogła pływać nawet w takich ustępach rzeki, gdzie inne działa się nie mieściły. Nieraz téż daleko się z nią Farcy zapuszczał, napadając znienacka na nieprzyjaciela. Powszechną-to sprawiło żałobę w Pa-

ryżu, gdy się dowiedziano, że ową kanonierkę przeniesiono w końcu do jednego z fortów i tam użyto do bombardowania przeciwległéj bateryi pruskiéj.

Obraz nie byłby dokładny, gdybym nie wspomniał o *Józefinie*, *Maryi-Joannie* i innych działach dalekonośnych, które otrzymały swoje imiona od różnych świętych kalendarza. *Józefina* była długo sławną. Byłato ogromna armata, umieszczona na bastyonie *Saint-Ouen*, któréj doniosłość przechodziła jak mówiono 9,000 metrów. Gdy usłyszano głośny strzał armatni, wołano zaraz:

— Oh! oh! to Józefina pluje, albo téż: Józefina wzdycha!

Banville, poeta z czasów oblężenia, opiéwał *Józefinę* w pięknych wiérszach, które deklamowano publicznie w teatrze. Dlaczego *Józefina* bardziéj sławna niż *Marya-Joanna* lub *Kunegunda*? Tajemnica! Moda się zwraca gdzie chce. Marynarze uśmiéchali się po ojcowsku, widząc ten zapał.

Ci ludzie byli ulubieńcami Paryżan przez cały czas oblężenia. Nie mówię tu o usługach, jakie wyświadczyli przy obronie; były one wielkie. Oni to przyprowadzili do porządku, *przyozdobili*, jak sami powiadają, forty ogołocone ze wszystkiego, kiedy je zajmowali; oni to dali przykład ścisłéj karności, niezwyciężonéj odwagi, energii

męzkiéj a ochoczéj. Ale co szczególniéj dziwiło Paryżan, to ta wyszukana grzeczność i wykształcenie głębokie oficerów marynarki, zacząwszy od admirała, do najniższego porucznika, dystynkcya ich manier i piękność wysłowienia się. Jakaż sprzeczność z wojskowymi dawnéj armii! Sami, widząc to, dziwiliśmy się wszyscy!

Pamiętam jakie wrażenie zrobiło to wyborowe wojsko, gdy przechodziło przez Paryż poraz piérwszy. Oczy nasze byli przesycone widokiem opłakanego stanu dziesiątkowanych liniowców i mobilów w bluzach. Gdyśmy zobaczyli tych śmiałych zuchów z miną tak odważną, wyglądających tak malowniczo w swoich cératowych kapeluszach z wywiniętym brzegiem, kołniérz od koszuli wyłożony na ramiona, powstał jednogłośny okrzyk: Oto są ludzie, prawdziwi ludzie! Fizyognomie ich tak wesołe, tak wzbudzające zaufanie! Ah! gdyby całe nasze wojsko było im podobne!

Dalekiém wszakże było ono od tego wzoru; wiemy o tém dosyć z opowiedzianych szczegółów o każdym z żywiołów składających je. Mniejsza o to! miano zaufanie! Trzeba raz skończyć; byłyto słowa, powtarzane z ust do ust, a wszystkie serca uderzyły mocniéj, wezbrane radością i nadzieją, gdy 29 listopada, przeczytano rankiem na murach Paryża proklamacyą jenerała Ducrot,

oznajmiającą nam, że przyszedł nareszcie czas rozerwania żelaznéj obręczy, która nas gniotła... Początki będą trudne, mówił jenerał, i trzeba przyłożyć wielkich usiłowań, ale to nie jest nad nasze siły. Więcéj niż 400 armat, z których dwie trzecie części przynajmniéj większego wagomiaru, będą towarzyszyły wojsku, składającemu się ze 150,000 ludzi, dobrze uzbrojonych, umundurowanych, obficie zaopatrzonych w amunicyą.

„Co do mnie, dodawał Ducrot, kończąc odezwę, wrócę tylko do Paryża zwycięzki lub nieżywy; być może, że ujrzycie mnie zabitego, ale nie cofnę się. Jeśli zginę, nie zatrzymujcie się w boju, pomścijcie mnie!“

Na taką szlachetną i patryotyczną mowę, całe miasto zadrgało świętém uczuciem. Z całego serca życzyliśmy szczęścia tym walecznym ludziom, którzy wesoło i z workiem na plecach szli ochoczo okupywać swém życiem zwycięztwo i wolność! Ci co byli świadkami tego gorączkowego dnia, nie zapomną go nigdy! Cała ludność znalazła się na ulicach, jedni na bulwarach, inni znowu przy rogatkach, którędy mogli wracać ranni a wraz z nimi wiadomości o potyczkach; tłum wielki cisnął się do ratusza przy ulicy *Drouot*, która była dzielnicą wiadomości. Nie wchodzi w zakres mego opowiadania, jak to już nadmieniłem

wyżéj, przytaczać działania wojenne; najprzód nie znam się zupełnie na tym przedmiocie, a przytém prawdy byłoby zbyt trudno dojść przy opowiadaniach świadków naocznych, z których prawie każdy widział cóś innego.

Działanie zaczęło się dnia 29 rano; wojska jenerała Vinoy attakowały na południe Paryża dwie pozycye *Gare-aux-Boeufs* i *Hay*; odebrały je rezolutnie. Wydano rozkaz oddziałowi zajmującemu Hay aby się cofnął; Prusacy rzucili się wówczas na miasteczko, i zostali natychmiast schwyceni ze wszystkich stron przez cgień bateryj *Hautes-Bruyères*. Stracili wiele ludzi i zmuszeni byli opuścić pozycyą zabraną. Były to wyborne rezultaty wycieczki, które przejęły radością Paryżan, dowiadujących się o wszystkiém co godzina, częściowo.

Tę chwilę wybrał jeden dziennik wieczorny na oznajmienie, że przedsięwzięcie, świetnie zaczęte rano, skończyło się wieczorem w sposób najnieszczęśliwszy. Powstał krzyk boleści i rozpaczy! Zkąd posiada tak ważną wiadomość? A jeżeli jest dokładną, poco ją ukrywać? Była w niéj jednak tylko część prawdy.

Jenerał Ducrot, któremu powierzona była najważniejsza rola, nie mógł jéj spełnić. Miał przejść Marnę po moście zwodzonym, a ponieważ rzeka

nagle wezbrała, nie mógł przeto stanąć na czas. Byłoto nieszczęśliwe opóźnienie; atak Vinoy w planie głównym miał służyć tylko jako dywersya; a powodzenie pod Hay nie znaczyło już nic, gdy wojsko Ducrot'a na czas nie nadciągnęło.

Przeszło ono Marnę w środę dnia 30, a pędząc przed sobą armią pruską, zabrało jéj zajmowane pozycye, i dopiéro wieczorem, dzięki posiłkom prowadzonym przez jenerała d'Exéa, stanęło ostatecznie na płaszczyznie Villier. Prusacy oddalili się, zostawiając nam dwa działa, rannych i trupów.

Piérwszy to raz od tego nieszczęśliwego oblężenia zwyciężyliśmy; mówię tu o zwycięztwie ważniejszém, rzeczywistém. Wielka radość panowała w Paryżu. Wynoszono pod obłoki jenerała Ducrot, który się bił jak lew, dał dowody zimnéj krwi i objawił przymioty prawdziwego jenerała. Przepraszano publicznie Trochu, przekonawszy się że nie zasłużył na gorzkie zarzuty. To on, pisali żałujący dziennikarze, stworzył tę armią z niczego i uczynił możebném dzisiejsze zwycięztwo. Zwycięztwo! ten wyraz brzmi tak harmonijnie w uszach Francuza, a myśmy się od niego już odzwyczaili!

Podczas kiedy to główne działanie kończyło się tak szczęśliwie, inne wycieczki urządzano na wschód i na zachód z różném powodzeniem. I tak

na prawo oddział Susbielle, który zabrał z początku wzgórze Montmédy, nie mógł oprzéć się większym siłom, i posunął się na lewo; stoczono téż bitwę pod Drancy, bez wielkich rezultatów.

Ale mniejsza o to, byliśmy panami w punkcie środkowym wycieczki! Spoczywaliśmy na zdobytych pozycyach nieprzyjacielskich.

Jakaż to zwycięzka noc! Pamiętam przepędziłem ją w *Moulin-de-la-Galette*, małém obserwatoryum na pagórku Montmartre, zkąd p. Bazin, sławny wynalazca przyrządów elektrycznych podmorskich, oświetlał za pomocą ogromnéj maszyny całą przestrzeń płaszczyzny Gennevilliers od wzgórza Mont-Valerien, aż do fortu Briche. Ustanowiono tam od początku oblężenia straż z gwardyi narodowéj, gdzie i ja się tylko co zapisałem. Ileż przyjemnych godzin tam spędziłem, obserwując z wzniesionego punktu obszerną panoramę, rozciągającą się przed mojemi oczyma: Paryż u naszych stóp, a tam daleko, niedojrzany okiem długi szereg wzgórz zajętych przez Prusaków, z których poważny Valerien zdawał się naśmiéwać! Wieczorem byłto czarujący widok, cały Paryż przychodził się przypatrywać, jak Bazin rzucał tu na pole ogromny promień elektrycznego światła.

O piérwszéj po północy przybiegła sztafeta, że Prusacy mają zamiar przejść przez most Be-

zons i napaść jeszcze w nocy na płaszczyznę Gennevilliers; przyniosła ona rozkaz by oświetlić okolicę światłem elektrycznem. Z jakąż dziecinną radością obróciliśmy promień na wskazany punkt!

— *Vlan! dans l'oeil!* wołaliśmy przedrzeźniając żart będący naówczas w modzie w Paryżu.

Przepraszam czytelnika, że przytaczam te osobiste wspomnienia; ale książka ta wzięła początek właśnie podczas mojéj długiéj służby na tém miejscu, tam spotkałem wydawcę, który mnie zachęcił do napisania jéj, a jeżeli opowiadanie z wrażeń oblężenia jest dokładne, to dlatego tylko, że poddałem je sądowi Paryżan, którzy byli moimi towarzyszami na kwaterze w *Moulin-de-la-Galette*.

Cały dzień piérwszego października spędziliśmy na sprzątaniu rannych i fortyfikowaniu się na zajętych pozycyach. Wszyscy spodziéwali się zaczepnego odwrotu Prusaków i z radością myśleli, że straszna data drugiego października, zostanie zmazaną chwalebném wspomnieniem. W istocie Prusacy wrócili drugiego z ogromnemi siłami i groźną artylleryą. Gwałtownie napadli i z początku pobili nasze wojska, które jednak wkrótce otrząsnąwszy się z piérwszego wrażenia, podniesieni na duchu przez jenerała Ducrot, po siedmiogodzinnéj walce odparły stanowczo nieprzyjaciela i zdobyły pozycyą.

Byłoto zwycięztwo ważniejsze nawet niżeśmy się spodziewali z początku. Bo późniéj czytając w niemieckich dziennikach opis téj bitwy, dowiedzieliśmy się, że Prusacy stracili tu więcéj ludzi, niż w bitwie Gravelotte pod Metz, która była dla nich tak straszną. Obliczali swoje straty na 15,000 ludzi. Kartacznice, całemi rzędami kładły ich na ziemię. Nasza nowa artyllerya dała dowody swéj wyższości, i wiele nam obiecywała na przyszłość. Jeżeli nie uilluminowano Paryża, to dlatego tylko, że szkoda było zużywać gazu na podobne cele; teraz już byliśmy mądrzejszymi, przeszedłszy taką szkołę. Ale radość była wielką i głęboką:

— Ah! jestto więc początek końca!

Zrobiono piérwsze kroki po drodze na wschód, i bądźto przez posunięcie się naprzód w tę stronę, bądź przez udanie się ku Orleanowi i ku Choisy, mogliśmy nareszcie ocalić się, oswobodzić. To téż wielkie powstało zdumienie, kiedy przeczytano na murach Paryża czwartego października proklamacyą jenerała Ducrot, w któréj tłumaczył swoim żołniérzom, że jeśli kazał im przeprawić się powtórnie przez Marnę, to dlatego, żeby ich nie zniewalać do zabójczéj a niepożytecznéj walki; ale że odpoczynek będzie krótki, i niech będą gotowi na nowe doświadczenia. Napróżno starał się pokryć tę rejteradę pochlebnemi pochwałami odwagi żoł-

niérzy, zawsze to był odwrót. Tym sposobem poopuszczano z własnéj woli zdobyte pozycye; pocóż było je zdobywać kosztem tak obfitéj krwi!

Zwyciężyliśmy naprzód, ale to zwycięztwo ostatecznie przyniosło nam w zysku porażkę? Czyż Trochu poznał, że było niepodobieństwem przedrzéć się przez linie nieprzyjacielskie? Czy dowiedział się potajemnie, że Aurelle de Paladines, na którego pomoc tyle liczył, nie nadchodzi, i czyż obawiał się że poza liniami pruskiemi smutną znajdziemy próżnię? Te i tym podobne pytania zadawała sobie publiczność, a nie znajdowała na nie żadnéj odpowiedzi.

Nieprzewidziany odwrót nie wywarł jednak na opinią tak strasznego wpływu, jakiego można się było spodziéwać. Pochlebiało nam, że się dobrze trzymamy w obec starych nieprzyjacielskich wojsk, żeśmy przeszli i wrócili przez ogromną rzekę pod ich oczami, a oni nie śmieli nawet niepokoić naszych ruchów. Myśleliśmy sobie, że to już tylko mała zwłoka. Wiatr dął zawsze pełen nadziei. Wieści najprzyjaźniejsze i najdziwaczniejsze krążyły po mieście. Opowiadano, że flota pruska została zamkniętą w porcie Jahde: dwie francuzkie fregaty poświęciły się, zostały wysadzone w powietrze przez założone torpille, ułatwiły całéj eskadrze drogę do przystani i złapano ptaszka

w gniazdku. Napróżno ludzie doświadczeni w tym względzie dowodzili nieprawdopodobieństwa tego opowiadania, łudziło ono wyobraźnię tłumu, który się chciwie napawał temi mamidłami.

Należy dodać, że listy i nowiny przychodziły nam tłumnie. Jeden tajemny poseł, przezwany *l'homme d'Amiens*, który już dwa razy przedarł się przez linie pruskie, przyniósł znowu tysiące listów; depesze publiczne i prywatne dochodziły do nas balonami, a dzienniki niemieckie lub angielskie, bądź zdobyte na jeńcach, bądź dochodzące do nas tajemnemi drogami, łączyły nas ciągle z prowincyą. Wszystkie te wiadomości były bardzo zachęcające; przedstawiały nam departamenty uzbrojone i całą Francyą powstającą, z jednego końca do drugiego pełną zapału. Pomijaliśmy to, że niektóre miasta otworzyły swe bramy, pomijaliśmy wiadomości o przegranych potyczkach, mniejsza o to, widać że się biją i że się bili. „Pójdziemy wszędzie, wszędzie!“ mówił jeden z wodzów sztabu króla Wilhelma; powstawano też wszędzie, wszędzie! Wszędzie zabijano Prusaków, gromady Prusaków! Ah! gdyby raz można było pozabijać ich wszystkich!

Pomiędzy temi wszystkiemi nowinami, była tylko jedna, która najwięcéj zrobiła nam przyjemności. Nikt nie zgadłby nigdy jaka: oto dowie-

dzieliśmy się, że Rossya postanowiła zerwać traktat z 1856 roku. To doniesienie najbardziéj dotyczyło Anglii; bo, właściwie mówiąc, nas, w naszym stanie, kwestya wschodnia nie obchodziła bynajmniéj. Ale co do Anglików groziło to ich panowaniu w Indyach i ich wpływowi w całym świecie. Oddychaliśmy nadzieją zemsty.

Trudno sobie wystawić, do jakiego stopnia byliśmy oburzeni na naszych dawnych sprzymierzeńców z pod Almy i Sewastopola. Nie chodziło tu o to, że nas opuścili w tak krytyczném położeniu, nic nie zmuszało ich ostatecznie do niesienia nam pomocy. Ale oczernianie nas w ich dziennikach, ich zimna i ironiczna nieżyczliwość, jątrzyła nas niewypowiedzianie. Zaczęliśmy nienawidzieć ich z całego serca i jestem przekonany, że to wrażenie nie prędko zatrze się w umysłach. Nie wiem co nam gotuje przyszłość, ale jeżeli kiedykolwiek los umieści nas w takiém położeniu, że będziemy mogli wyrządzić Anglikom jaką psotę, to nasi zwiérzchnicy będą musieli posiadać wielki wpływ na naród, jeśli zechcą przeszkodzić byśmy nie poszli ślepo za popędem naszéj namiętności.

Jedynym człowiekiem, który wziął był sobie za punkt honoru, skłonić nas do zapomnienia o złych postępkach swoich współrodaków i rehabilitować u nas imię anglika: był sir Richard

Wallace, spadkobierca margrabiego of Hertford. Oprócz tego, że chciał pozostać w Paryżu do końca i dzielić z nami kłopoty długiego oblężenia, rozdał prawie cały swój majątek na dobroczynne zakłady i wsparcia wszelkiego rodzaju. A robił to jak prawdziwy gentleman, z godnością i przejęciem się, co nas głęboko wzruszało. Lud francuzki, z własnego natchnienia zmienił nazwisko ulicy *de Berlin*, i nadał jéj nazwisko ulicy *Wallace*, by dowieść przez to wdzięczności, jaką dla niego żywił.

Trzeba było przynajmniéj trzech sprawiedliwych, aby ocalić Izraela.

Richard Wallace nie mógł sam zrównoważyć przykrego uczucia, jakie wzniecił cały lud. Ucieszono się więc bardzo, dowiedziawszy się, iż dachówka spadła na głowę naszych poczciwych sąsiadów. Już widziano, jak wojna wybucha; zacierano sobie ręce z radości.

Więc to będzie ruch ogólny! Cała Europa w ogniu! Daléjże! Zostawiono nas samym sobie, naśmiéwano się z nas. Zobaczymy teraz!

W takiém to usposobieniu naszém odebrał list jenerał Trochu od forpoczt pruskich:

*Versailles 5 października 1870 r.*

„Właściwą może będzie rzeczą uwiadomić Waszą Ekscelencyą, że armia Loary została pobitą

wczoraj pod Orleanem, i że to miasto zajęte jest przez wojska niemieckie. Jeżeli jednakże Wasza Ekscelencya będzie uważała za potrzebne przekonać się o tém przez jednego ze swoich oficerów, nie omieszkam udzielić mu listu bezpieczeństwa, by mógł udać się tam i wrócić nazad".

„Racz przyjąć, jenerale, wyraz głębokiego szacunku, z którym mam honor zostać twoim najniższym sługą"

Szef sztabu

„*Hrabia von Moltke*".

Na ten list Trochu, raz w życiu dowcipnie, odpowiedział:

*Paryż, 6 października 1870 r.*

„Wasza Ekscelencya uważałeś za rzecz stosowną donieść mi, że armia Loary została pobitą pod Orleanem i że to miasto jest znowu zajęte przez wojska niemieckie. Mam zaszczyt podziękować za tę wiadomość, któréj jednak nie myślę sprawdzać podanym mi przez Waszą Ekscelencyą sposobem".

„Racz przyjąć wyrazy głębokiego szacunku, z jakim pozostaje"

„Sługa"

„Gubernator Paryża"

„*Jenerał Trochu*".

Nie pojmuję jakie wrażenie zrobiłaby w innych czasach na Paryżanach podobna wiadomość; ale któż nie wié, że kiedy niecierpliwie spodziewamy się czegóś, nic nie jest w stanie zakłócić naszéj nadziei. Obracamy wszystko na swoją korzyść, i mamy szczególną własność, że widzimy w każdéj rzeczy tylko dobrą stronę.

— Więc cóż! mówili jedni do drugich, spacerując po bulwarach, czegóż to dowodzi? Zauważcie wyrazy, jakich użył Moltke; powiedział *défaite* a nie *détruite*. Oh! gdyby była zupełnie zniszczona, lub przynajmniéj rozproszona, niezawodnie uwiadomiłby nas o tém. Ale nie, on powiedział *défaite*. Być może, iż ponieśliśmy jaką klęskę; przypuśćmy nawet dość znaczną. Armia Loary niemniéj jednak istnieje, może tuż, blizko nas. Podaje nam rękę. Zostaje pod dowództwem wielkiego jenerała....!

Aurelle de Paladines jeszcze był wówczas wielkim jenerałem, jakimi są u nas wszyscy, których wielbi publiczność, aż do dnia w którym zostaną pobici.

Inna okoliczność przyczyniła się także do naszéj pociechy. We dwa dni po liście Moltke'go, przyleciały do nas dwa gołębie, przynosząc jak zwykle depesze. Były to te same gołębie, które pojechały balonem *Daguerre*, spadłym w Ferriè-

res, w nieprzyjacielskie ręce. Depesze nie były przyczépione w sposób używany przez administracyą francuzką. Otwiéramy je i czytamy:

DO GUBERNATORA PARYŻA.

„Rouen zajęte przez Prusaków, którzy idą na Cherbourg. Ludność wiejska wita ich okrzykami. Orlean odebrany przez tych łotrów: Bourges i Tours zagrożone. Armia Loary zupełnie zniesiona. Dłuższy opór nie przedstawia żadnéj szansy.

(Podpisano) *A. Lavertujon*".

Co było jeszcze zabawniejszém, to że Lavertujon, który niby przesyłał ten list z Rouen, mieszkał w Paryżu, gdzie pełnił obowiązki sekretarza rządu. Inna depesza była jeszcze śmieszniejsza. Była to znowu jedna z owych germańskich fars, radujących każdego z tych opasłych piwoszów. Zabrali nasze gołębie i niezawodnie myśleli, że my będziemy dosyć nierozsądni, aby wpaść w zastawione sidła. W całym Paryżu powstał głośny śmiéch na te wybryki pruskiego rozumu.

— Widzicie więc, mówiono, że jestto uorganizowany system kłamstwa. Po liście Moltke, fałszywe telegramy kilku oficerów jego sztabu. Nie trzeba wierzyć ani słowa temu, co ci ludzie nam donoszą. Wszystko idzie dobrze...

Było niestety wiele prawdy w urzędowéj wieści szefa sztabu pruskiego. Przekonaliśmy się o tém wkrótce z depesz otrzymanych z Tours, datowanych 5 i 11 grudnia. Orlean został zabrany a wojsko Aurelle de Palladines, który je bronił, rozbite na dwie połowy.

— Przecięte na pół, odpowiadali żywo niepoprawni Paryżanie; to znaczy że mamy dwa wojska. Dobry interes!

„W ten sposób, napisał dowcipnie Louis Ratisbonne do *Débats*, jak gdy jednego Francuza przetniecie na cztéry części, będziecie mieli cztérech żołniérzy“.

Co jeszcze dziwniejsza, najpomyślniejsze pogłoski o działaniach wojennych w okolicach Paryża z tyłami pruskiemi rozbiegały się po mieście, wbrew głębokiemu milczeniu sztabu, a może nawet w skutek tego milczenia; wieści te przyjmowano z zapałem.

— Czy wiécie nowinę? W Boulogne 10,000 Prusaków,—ani jeden mniéj,—zbliżyło się cichaczem, zostali napadnięci przez naszych i zupełnie pobici!

— Zupełnie?

— Wiem o tém od oficera, który tam był!

Ah! oficer, który tam był! Czegóż on nie robił w czasie oblężenia! Jednego dnia słyszano

wyraźnie śród spokojnéj nocy, przyłożywszy ucho do ziemi, głuchy odgłos kanonady pośród linij pruskich. Niezawodnie było to pomocnicze wojsko. Albo przybywało ono z południa ku Hay, lub téż groziło Wersalowi. Dni nadziei i radości, gdzież jesteście?

Zaufanie tak silne panowało w sercach Paryżan, że nie mogło nawet zachwiać się niepowodzeniem nowego attaku, jaki przedsięwziął gubernator Paryża.

Na Bourget tą razą skierowano siły... I powiedzieć tu, że nie wiedziano dotychczas czy Bourget warto było, by się bić o nie! Już je raz zabrano, a kiedy nas ztamtąd wypędzono, wojskowi mówili nam z pogardą:

— Bourget! ależ my go nie potrzebujemy! Jestto pozycya, z któréj nic nie można zrobić! nie chcemy, żeby Prusacy tam byli, ale sami tam lokować się, po co?"

Jednakże Prusacy umieścili się tam, co większa, silnie nawet ufortyfikowali, jak o tém z własną szkodą przekonaliśmy się. Ten attak w dniu 21, był poprzedzony, jak to zwykle dzieje się przed potyczką, potężnemi dywersyami. Na prawo jenerał Vinoy zajął Neuilly-sur-Marne, Ville-Everard, gdzie znalazł śmierć jenerał Blaise i Maison-Blanche. Z drugiéj strony od Mont-Valérien

jenerał Noil robił wielką demonstracyą jednocześnie na Montretout, Buzenval i Longboyau, podczas kiedy kapitan inżenieryi Faure zajął wyspę Chiard. Ale to wszystko były tylko działania dodatkowe. Przedmiotem naszych usiłowań było tą razą Bourget. Niesłusznie wysłano na mury i barykady żołniérzy, z otwartemi piersiami, przeciw niewidzialnemu nieprzyjacielowi. Marynarze nasi przystąpili do szturmu, tak jak gdyby wskakiwali na okręt z siekiérą w ręku. Nic nie mogło oprzéć się nieustraszoności piérwszego napadu; wdrapawszy się na mur, zdobyli północną część miasteczka i utrzymywali się długo pod gradem pocisków, niszcząc domy jedne po drugich. Ale trzeba było ustąpić lepszéj artylleryi i cofnąć się. Był to znowu Bayard, chcący walczyć z pałaszem w ręku przeciwko nieprzyjacielowi zaopatrzonemu w rusznice, które strzelały o sto pięćdziesiąt kroków. Rycerski ale nierozsądny heroizm!

Chybiono celu! Trochu wyznał to szczerze i z godnością w swoim urzędowym raporcie. Ale i ta porażka nie zachwiała odwagi, jakby się tego można było spodziéwać i obawiać. Umysły nasze silne były, choć nigdy nie zgadniecie czém: oto, że z dzienników niemieckich dowiedzieliśmy się o rannych i zabitych pod Bourget. Całe arkusze

były zapisane skargami na tę nieskończoną wojnę. Wszystkie świadczyły o jakimś niepokoju pomięszanym z gniéwem; opowiadając swoim czytelnikom to niespodziéwane powstanie całéj Francyi, obrzucały Gambettę obelgami, czyniąc go przez to jeszcze droższym dla nas; wszystko to sprawiało nam niewypowiedzianą radość. Przyniosły nam także owe dzienniki mowę króla Wilhelma, który odzywając się do swoich żołniérzy, podziwiał nadzwyczajne usiłowania Francyi, Paryża i zdawał się przez uboczne illuzye zachęcać ich do znoszenia walecznie klęsk, które są możebne.

Teraz oni drżą z kolei, myśleliśmy, ci zuchwali zwycięzcy; my jesteśmy bardzo chorzy, ale czyż i oni znajdują się w dobrym stanie? Nie idzie tu o to, abyśmy ich teraz bili, tylko abyśmy ich bić nie przestawali. To jest wojna wyczerpująca; idzie tu o to, aby ich jaknajwięcéj zabijać. Ich jest 900,000; nas 4 lub 5 milionów; potrochu ich wymordujemy. Każde zwycięztwo osłabia ich.

Łudziliśmy się do końca czczemi marzeniami. Wydobywaliśmy z niewyczerpanéj naszéj piersi nadzieję, jaką natura złożyła w sercu każdego Francuza, by mógł opiérać się umartwieniom, porażkom, złym wiadomościom, żywiołom nawet na nas rozgniéwanym. W dniu attaku na Bourget gęsta mgła, która powstała nagle, przeszko-

działa naszym działaniom i zatrzymała nasze strzały. A wkrótce potém nastało straszne zimno, przykre i szkodliwe, od którego pieką dłonie, nogi i twarz, a które przenika żołniérza do szpiku. Nie pamiętamy ostrzejszéj zimy od dwudziestu lat. Co noc termometr spadał na 12 stopni Celsyusza wewnątrz miasta; cóż to musiało być na otwartém polu? Sekwana pokryła się grubym lodem; ziemia stwardniała, a wszelka praca okopywania stała się niepodobną. Rydel obsuwał się po ziemi jak po skale.

Przynoszono setkami do ambulansów żołniérzy przemarzniętych na swoich stanowiskach. Nieszczęśliwi nie byli wszyscy zaopatrzeni w ubranie dość ciepłe, aby wytrzymać taką temperaturę. Podczas kiedy Prusacy smarowali się tłustością, obwijali się w ciepłe skóry baranie, zagłębiali się w doły urządzone sztucznie, spali zabezpieczeni od zimna; nasi, napół okryci, drżeli od północnego wiatru. Litość brała patrzéć na nich. Okrywali sobie głowy chustkami; obwijali się kołdrami, opasywali sobie nogi bielizną, jakąkolwiek mogli napotkać, i chodzili tak brudni, wstrętni, niepodobni do żołniérzy spełniających swoją służbę. Zarząd, właśnie tego dnia, zmniejszył im zwykłą porcyą winą. Do trudów i choroby przyłączyło się nieukontentowanie. Armia ta nigdy nie odznaczała

się karnością; oficerów, chociaż wybranych przez siebie, niewiele szanowała, nie widząc w nich dostatecznéj energii. Tyle cierpień wyczerpało do szczętu ich cierpliwość już i tak zachwianą. Ci z pomiędzy nas, którzy bądź to jako uruchomieni gwardziści, bądź jako odkomenderowani do ambulansów, mieli sposobność rozmawiania z liniowcami i mobilami, opowiadali o ich zniechęceniu z przerażeniem i boleścią serca.

Wielu z pomiędzy nich chorowało, mianowicie na ospę i na ból oczu. Ale najgorszą chorobą, któréj bez wyjątku wszyscy podlegali, były nudy. Wszyscy gwardziści ruchomi, niespodzianie oderwani od swych zajęć, w przekonaniu, że porzucają swój dom najwyżéj na dwa tygodnie, zaczęli tęsknić do swoich pól, zajęć i rodzin. Cierpieli oni na tę tajemniczą chorobę, która się nazywa tęsknotą za swoimi, nostalgią. Gniéwali się tedy na Paryżan, których bronić przyszli. Nie mieli żadnéj wiadomości z domu, myśleli przeto, że nieprzyjaciel w téj chwili właśnie, niweczy wszystko w ich wioskach, a ich tam niéma, by stanąć w obronie podeszłych wiekiem rodziców lub narzeczonéj, oni oddawali swą krew miastu, które ich nic nie obchodziło. Naprożno było im tłumaczyć, że w tém mieście spoczywało zbawienie Francyi. Oderwane pojęcie ojczyzny, ograniczonéj murami jedne-

go miasta, nie mogło obudzić w nich tego uczucia, jakie pociągał za sobą żal za straconym krajem, nie mogło złagodzić cierpień które znosili dla nas pod naszemi murami.

— Kiedyż się to wszystko skończy? Wołali ogrzéwając przy ogniskach przeziębnięte ręce.

Ich oficerowie, zamiast dodawać im odwagi, jeszcze większe szerzyli zniechęcenie. Byli to po większéj części ludzie odważni, gotowi spełnić swój obowiązek w chwili potrzeby, lecz nie wierzyli w ostateczne powodzenie. Nie mieli w sobie tego silnego płomienia wiary, którego ciepło się tak udziela. Serce ich pełne goryczy, wylewało na zewnątrz same zarzuty, skargi, słowa zniechęcenia, co wszelką podkopuje karność. Dodajmy do tego, że główny sztab, czy to przez niedbalstwo, czy też przez niedoświadczenie, nie umiał w równéj mierze rozdzielić pomiędzy rozmaite oddziały niebezpieczeństw i trudów oblężniczych. Jeden pułk był zupełnie wolnym od zajęć, ani jednéj transzei nie wykopał, drugi wysyłano zawsze naprzód. Piérwszy szemrał na swoją bezczynność, drugi narzekał, że był za nadto narażany.

W miastach oblężonych zwykle tak się dzieje, że dowódcy garnizonu i żołniérze, muszą podtrzymywać i zachęcać do wytrwania ludność cywilną.

U nas było inaczéj. Jenerałowie trzymali się wbrew swojéj woli, żołniérze byliby prawdopodobnie radzi z jak najprędszego ukończenia wojny. I tylko mieszczaństwo, ożywione niezwyciężoną wiarą i nieśmiertelną nadzieją, zmuszało wszystkich do walki swoją energiczną postawą. Nie trzeba przytém myśléć, że zachowywało się tak dlatego tylko, iż osobiście, fizycznie, nie brało udziału w boju. Prócz tego, że już w potyczce pod Bourget brało udział, i zachowało się tamże z wielką dzielnością, zobaczymy jak w styczniu, przy ataku na Montretout, obywatele miasta, niezachwiali się w ogniu, i okazali na polu bitwy odwagę wytrawnych żołniérzy. Mieszczaństwo było zdecydowane bronić Paryża i nie poddać go, dlatego, że tu szło o jego honor, a przytém, czyż trzeba dodawać, dlatego, że kochało ten Paryż; kochało go miłością głęboką, czułą, nieskończoną, i wściekłość je porywała na myśl, że barbarzyńcy mogą to miasto zdeptać i znieważyć. *Revue des deux mondes* wymownie opisywało piórem pana Vitet te gniewy i te żale paryzkiéj ludności, a dwutygodniowe jego artykuły, oddychające najgorętszym i najrozsądniejszym patryotyzmem, powtarzane przez wszystkie pisma, głębokie sprawiały wrażenie.

W taki to sposób dobiegliśmy do ostatnich dni

grudnia. Jakże smutnemi były te dni zwykle poświęcane radości! To prawda, że pocieszaliśmy się trochę myślą, że i Niemcy, zatrzymani pod Paryżem, nie będą obchodzili w kółku rodzinném uroczystości Bożego Narodzenia i że tradycyonalne drzewko *Christmas* otoczą tylko smutne i zapłakane twarze. Lecz i dla nas samych, jakże odmiennemi były te chwile, te dni i noce uroczystéj wrzawy, obchodzone przez cały Paryż wesoło, na cześć świętéj rocznicy! Większa ilość kościołów była zamkniętą; po ulicach, słabo oświetlonych naftą, gdzieniegdzie przesuwał się zwolna spóźniony przechodzień. Niektóre restauracye stały otworem w czasie nocy, bądźto w centralnéj dzielnicy paryzkich przyjemności, pomiędzy bulwarami *des Italiens* i *Montmartre*, bądź też w najludniejszych stronach miasta: Montmartre Menilmontant i Belleville. Tutaj zebrani goście pili tanie wino, tam zebrali się przez dyletantyzm, dla spożycia ekscentrycznéj wieczerzy. Kotlety z szakala podawano tam obok pieczeni z kangura i z trąby słonia, a wszystko to zroszone klasycznym szampanem. Nikt jednak nie był dość wesołym, by sobie żartować z téj uczty. Z pewną melancholiczną goryczą przypominano sobie żwawą fizyognomią Paryża w tych dniach, poprzedzających nowy rok! Co to było za ożywienie, co za ruch na naszych bulwarach

i ulicach! ile to tysięcy kół, przesuwało się wówczas po bruku! jaka rozmaitość świateł i barw za szybami wystaw sklepowych, przybranych świątecznie! Spotykało się tylko pędzących gdzieś szybko, z kieszeniami wypchanemi, z których wyglądały pudła cukierków, lalki i różne inne zabawki starych i młodych dzieci. A do tego wszystkiego, ów długi nieskończony szereg małych namiotów, który nadawał naszym bulwarom tak wdzięczną cechę ludowéj radości! Jakże dalekimi byliśmy od tego wszystkiego! Nad ponurém miastem wisiało szare, pokryte chmurami niebo; sklepy pogrążone w cieniu, a na progach tu i owdzie zniechęceni kupcy; parę omnibusów odbywających przepisaną drogę, prawie bez pasażerów; kilka fiakrów, stojących po rogach ulic, na których nie było prawie nikogo. Dopiéro 31 grudnia kilka uprzywilejowanych dzielnic otrząsnęło się niby trochę z téj ospałości. Trzy czy cztéry sławne cukiernie były oblegane przez tłumy kupujących; sprzedawały one, jak zwykle, zamrożone kasztany. Kasztany z przeszłego roku, niestety! Tą razą bowiem nie przybyli do nas na zimę poczciwi Owerniacy, którzy po rogach naszych ulic zaopatrują nas w te przysmaki. A poranek piérwszego stycznia! Nie, nigdy nie zapomnę tych piérwszych chwil 1871 roku, kiedy służąca przy-

niosła mi na tacy śniadanie i kiedy w owym dniu uroczystym, gdzie cała rodzina zebrana razem składa sobie wesoło tysiące życzeń i rozdziela setki pocałunków, zobaczyłem się samotnym w moim kąciku, samotnym w obec kawałka koniny na talérzu; poczułem boleść w sercu i rozpłakałem się! Ah! ileż osób w téj chwili w Paryżu płakało! Pomyślcie tylko, że wszyscy, albo prawie wszyscy wysłaliśmy w dalekie strony nasze matki, żony, dzieci, i że od trzech miesięcy nie wiedzieliśmy co się z niemi dzieje! W zwykłym czasie nie trudno było zapomnieć o téj samotności; różne zajęcia, rozmowy ze znajomymi, straż na wałach, nowiny brukowe, a obok tego i owa filozofia obojętności, która stanowi podwalinę naszego narodowego charakteru, wszystko to przyczyniało się do oddalania z naszéj pamięci drogich obrazów; zewnętrzna wrzawa pozwalała nam zapomnieć o nich. Uroczystość dnia piérwszego w roku, przywiodła nam je wszystkie na pamięć, a jak one patrzyły na nas te postaci, jak wyciągały do nas ramiona, wołając: przypomnij sobie o nas! Kiedyż się skończy ta wojna przeklęta! Nie, nie mogę myśleć o tém wszystkiém bez uczucia wściekłości. Nikczemni Wandale! barbarzyńcy! wszystkoście nam zabrali! zrujnowaliście nas, ogłodzili, może w téj chwili zaczniecie nas bom-

bardować, mamy więc prawo serdecznie was nienawidzieć. A jednak! tak, wszystkie te niedole i łupieztwa wasze, i morderstwa, i niegodne zdrady, i ciężkie szyderstwo, wszystko może bylibyśmy wam przebaczyli kiedyś. Taką bo poczciwą jest ta rasa francuzka, taką uległą, że kto wie, czy nie byłaby kiedyś zapomniała krzywd doznanych. Ale co nigdy nie wyjdzie z naszéj pamięci, to ów Nowy Rok, spędzony bez rodziny, bez wieści o niéj; ten dzień nieszczęsny, dzień, w którym każdemu z nas brakowało pocałunku żony i uśmiechu jasnowłosego dziécięcia!

Nie wysączyliśmy jeszcze do dna kielicha naszych cierpień. Oblężenie miało przejść w nową, straszniejszą fazę. Uwiadomił nas o tém jeden z owych wojennych raportów, których suchy styl przyprowadzał każdego do rozpaczy.

*27 grudnia, z rana.*

„Nieprzyjaciel otworzył dziś rano ogień z bateryj oblężniczych przeciwko wschodnim portom od Noisy do Nogent i przeciwko północnéj części wzgórza Avron. Te baterye składają się z dział dalekonośnych.

„W téj chwili godzina jedenasta, ogień bardzo silny w kierunku punktów wymienionych, a ponieważ ta kanonada może być przedwstępem do ogólnego bombardowania naszych fortów, przeto

wydano dyspozycyą, mającą na celu wstrzymywanie ataków i ochronę oddziałów broniących.

„Dzisiejszéj nocy słyszano téż w Mont-Valérien dwie silne detonacye, które pozwalają domyślać się, że nieprzyjaciel wysadził w powietrze most na drodze żelaznéj do Rouen. W ciągu dnia ten fakt zostanie sprawdzonym. Dziś zrana Prusacy wysadzili w powietrze kilka budynków w Choisy-le-Roi.

„Wszystkie te fakta zdają się dowodzić, że nieprzyjaciel, zmęczony przeszło studniowym oporem, gotuje się do użycia przeciwko nam środków ataku, które oddawna już był zgromadził.“

A więc bombardowanie! trzeba było spodziéwać się tego!

Nie unikniemy żadnego z nieszczęść oblężenia.

Wszyscy bez trwogi przyjęliśmy tę groźną ewentualność i podniósłszy nasze serca, przepasaliśmy sobie biodra, by znieść z godnością i tę nową próbę.

# ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY.

## Moralny stan Paryża w grudniu. — Przednie straże. — Ambulansy.

### I.

Zatrzymajmy się tutaj przez chwilkę. Jesteśmy już blizko ostatniego peryodu oblężenia. Od dnia, w którym się rozpocznie ogień przeciw pagórkowi Avron, potok wypadków będzie nas unosił z sobą tak szybko, że nie zostanie nam czasu na robienie tych malowniczych i moralnych spostrzeżeń, które stanowią główny przedmiot tego dziełka.

Ciężkim, bardzo ciężkim był dla nas ów grudzień. Wzmagał się brak wszystkiego, zapasy się wyczerpywały. Nie trwożono się wprawdzie jeszcze o chléb, chociaż i pod tym względem objawił się już raz paniczny przestrach w Montmar-

tre i w sąsiędnich dzielnicach. Ludność, nie znalazłszy chleba u piekarzy, rozbiegła się po mieście i w jednéj chwili wykupiła wszystek chléb, tak, że o trzeciéj po południu nie było już co głodnemu do ust włożyć.

Rząd, trochę przerażony tym wypadkiem, który nie powinien się był powtórzyć, uroczyście oznajmił, że zboża jest dosyć, i że, cokolwiek się stanie, chléb nie będzie nigdy wydawany porcyami tak jak mięso. Było-to nierozsądnie z jego strony, jak dowiodły wypadki następne, musiano bowiem w końcu uciec się do téj ostateczności, a lepiej było od piérwszego dnia wydawać chléb na porcye, kto wié czy niebylibyśmy się tym sposobem dłużéj bronili, chociażby przez jaki miesiąc jeszcze.

Trudno sobie wyobrazić do jakiego stopnia marnotrawiliśmy mąkę. Dawano ją koniom, była bowiem tańszą niż siano i owies. Wyrabiano z niéj biszkopty, które każdy człowiek przezorny zakupywał dla śpizarni w znacznéj ilości na wypadek głodu; a kiedy zakazano wyrabiać owe biszkopty, skupywano ogromne zapasy chleba. Należało się zastanowić, że były-to zapasy stracone, gdyż skoro tylko ogólny śpichlerz wyczerpie się, miasto, pomimo obfitości prywatnych śpiżarń, bę-

dzie musiało kapitulować, a po kapitulacyi i żywność znajdzie się natychmiast. Lecz czyż trwoga umié się zastanawiać? Paryżanie uwierzyli w groźbę Bismarka, który w urzędowym manifeście oznajmił Europie, że się wcale nie podejmuje zaopatrzyć Paryż w żywność po kapitulacyi i że rząd francuzki musi przyjąć na siebie odpowiedzialność za jakie 400 lub 500 tysięcy ludzi, którzy mogą w takim razie umrzéć z głodu na ulicach miasta. Każdy przeto pełnemi garśćmi czerpał w magazynach państwowych i jak mówią konsumpcya mąki podwoiła się prawie.

Kiedy zaczęto wydawać ten produkt na porcye, było już za późno. Dawano już tylko 300 grammów na głowę dziennie. Trzysta grammów! (trochę więcéj niż pół funta, *Prz. Tł.)* jak gdyby to było podobieństwem poprzestać na trzystu grammach chleba! i jakiego jeszcze chleba, wielki Boże! Ten któryśmy jedli w ostatnich dniach oblężenia był czarną i ciężką jak glina mięszaniną najrozmaitszych rzeczy, nie wyjmując i mąki. Każdy z nas zachował go sobie kawałek na pamiątkę strasznych chwil niedoli. I pomyśléć tu, że niezawodnie połowa ludności żyła tylko tém ciastem! Z początku wprawdzie, aż do piérwszych dni było ono jeszcze jakie takie i wesoły Paryża-

nin jadł je chętnie. Gdyby tak jeszcze można było maczać ten chléb w mléku, ah! to byłaby uczta nielada!

Wołowina stała się mytem. Podobnież i baranina. Jedzono już tylko koninę. Gdzie się podział piérwotny wstręt do tego mięsa? Nie myślano już nawet o żarcikach z tego powodu, tak powszechnym stał się zwyczaj jedzenia koni. A jednak żaden restaurator do ostatka nie podawał koniny w swoim jadłospisie; we Francyi bowiem rutyna w formach trwa jeszcze długo po dokonanéj w faktach rewolucyi. Każdy traktyernik wstydziłby się przyznać do tego, że daje gościom mięso końskie, lecz pomimo to wszyscy goście wiedzieli, że wołowina którą jedzą, chodziła pod siodłem lub ciągnęła omnibusy po bruku paryzkim. Zkąd ci przemysłowcy jadła mieli codziennie dość mięsa dla nakarmienia tak licznych gości, pojąć nie mogę. Życie Paryża jest zwykle ogniskiem mnóstwa zagadek, jakie wtajemniczeni tylko mogą rozwiązać. Ci zaś milczą! Faktem jest atoli, za który mogę ręczyć, zresztą cały Paryż wié o nim, że kilkunastu restauratorów miało aż do samego ostatka wszelkie możebne u siebie wiktuały, wyjąwszy, naturalnie, morskich ryb i świéżych legumin, i że przyszedłszy do nich o szóstéj wieczorem, można było kazać sobie podać bardzo

wytworny obiad na dziesięć osób. Prawda, trzeba im było płacić, ale niezawodnie koszt był mniejszy niż w domu.

Cena produktów żywności w grudniu szalenie podskoczyła. Funt oliwy kosztował 6 do 7 franków; o maśle nie było wcale słychać; bogacze płacili po 40—50 fr. za kilogram. Séra nie sprzedawano, robiono sobie z niego podarunki. Znam jednę piękną damę, która *pour les etrennes* dostała zamiast cukierków woreczek kartofli i kawałek séra. Byłto królewski podarek naówczas. Za główkę kapusty płacono 6 franków. Sprzedawano ją zresztą na główki i jedzono taką, jakiéjby dawniéj krolikom nie dano. Cébuli, marchwi, nigdzie nie spotykałeś. Najobrzydliwsze tłuszcze wystawiano na sprzedaż i kupcy się znajdowali na nie. Dzienniki podawały ciągle przepisy jak je oczyszczać i woni przykréj pozbawiać. Królików i drobiu było jeszcze dosyć w Paryżu, ale drożono się z niemi okropnie. Gapie zgromadzali się tak około indyka, jak niegdyś przed jubilerską wystawą.

W chwili kiedy to piszę mam przy sobie, w moim gabinecie, dwa króliki; siedzą skulone w kąciku i patrzą się na mnie dużemi oczyma. Gospodyni przyniosła mi je, twierdząc że się nudziły same w swojéj komórce, że im tam było zimno i nic już jeść nie chciały. Ten ostatni wzgląd

skłonił mię, że przyjąłem biédactwo do siebie i usiłuję je bawić.... do czasu. Nie myślę jednak odczytywać im tego co tu piszę, usłyszałyby straszny wyrok na siebie; mogłyby mi schudnąć z rozpaczy. Mam téż dwa kurczęta, pielęgnuję je troskliwie. Nie lubią prosa. Nie wiem sam co im dawać jeść. Nieraz już naradzałem się z kucharką.

Jeżeli w ten sposób zajmuję czytelnika moim inwentarzem, to bynajmniéj nie przez próżność, nie dla przechwałki z towarzystwa jakie mię otacza, lecz dlatego, by moje opowiadanie dokładny przedstawiało obraz. Te drobne szczegóły więcéj nauczą o domowém życiu Paryżan w téj epoce oblężenia niż szumne frazesy; dadzą téż one wyobrażenie o tym humorze, o téj wesołości, z jaką bawili się ci co mieli jeszcze dosyć piéniędzy, żeby się módz roześmiać od czasu do czasu.

Lecz z każdym dniem zmniejszała się liczba takich ludzi. Burżoazya spostrzegała dno swoich kiesek. Z ciekawém zajęciem śledziłem objawy tego wyczerpywania zasobów. Należałem do małego kółka, które zbierało się zwykle by pograć w wista lub w buliotę. W piérwszym miesiącu ceny gry i stawki były prawie ciągle jednakowe; w drugim zmniejszyły się do połowy, potém do trzeciéj, czwartéj części, aż nakoniec postanowiono

grać bez piéniędzy. Postanowienie z potrzeby... wszyscy byliśmy już goli.

Cóż mówić o tych, którzy nie mieli zapasów? A takich najwięcéj w Paryżu, przyznajmy się do tego. Dlatego téż, doprawdy, nasi bracia z prowincyi, wierzajcie mi, że trudno wypowiedzieć z jaką-to niezwyciężoną odwagą, z jaką wzruszającą rezygnacyą, z jak wysokiém uczuciem patryotyzmu ludność paryzka znosiła przykrości téj długotrwałéj nędzy. Kobiéty, nadewszystko, podziwienie wzbudzały. Nie boleję tak bardzo nad męzką połową ludności; prawie każdy z nich miał swoje 30 sous na dzień, które często przepijał jednym duszkiem. Ale kobiéty! biédne kobiéty! na takie okropne mrozy jak były w grudniu, stały one co rano po kilka godzin przed sklepem piekarza, rzeźnika, korzennika, kupca drzewa lub przed drzwiami merowstwa. Żadna z nich nie szemrała; nigdy nie słyszałem, by którakolwiek z nich, pomimo przyzwyczajenia do klątw, złorzeczyła w sposób przynoszący hańbę patryotyzmowi francuzkiemu; one-to najwścieklej domagały się, by nie upadać, nie poddawać się aż do ostatniego kęsa chleba. A Bóg tylko raczy wiedzieć, ile-to kosztował ich teraz każdy, choćby najmniejszy kąsek chleba! Śmiertelność z każdym tygo-

dniem wzrastała, powodując straszne mnóstwo ofiar.

Zwykła cyfra śmierci wynosi w Paryżu 1200 do 1300; podniosła się ona szybko do 2000, potém do 2400, 3000, 4000 a nawet 4500. Najrozmaitsze choroby spadały gradem na nieszczęśliwą gromadę ludzi, źle żywionych i pozbawionych zwykłego trybu życia. Mnóstwo karawanów ciągnęło ku cmentarzom, nikt najczęściéj nie szedł za niemi. Z dziećmi radzono sobie jeszcze prościéj. Jeden ze służby pogrzebowéj brał trumienkę pod pachę, pod płaszcz, wynosił na cmentarz i wrzucał do wspólnego dołu. Paryzkie cmentarze nie mogły pomieścić trupów. Ta niedbałość o miejsce dla zmarłych była groźnym symptomatem w ludności, która aż do zabobonu oddaje cześć nieboszczykom. Nieraz przychodził mi na myśl pyszny rozdział Tucydydesa o zarazie ateńskiéj; w ostatecznych nieszczęściach teżsame zwykle powtarzają się okrucieństwa.

Jedną z przykrzejszych kwestyj do rozwiązania w tym smutnéj pamięci miesiącu grudniu, była kwestya opałowa. Nie było już węgla kamiennego, koksu, drzewa, a tu mrozy srożyły się okropnie. Nasi rządzący panowie powinni byli przewidzieć, że w zimie zwykle bywa zimno i że kiedy zimno to palić trzeba; ale jestto właściwością

wszystkich rządów we Francyi, że wypadki niespodzianie mogą je zaskoczyć. Handlarze drzewa korzystali, rozumié się, ze sposobności, by drożéj sprzedawać swój towar. Odrazu cierpienie tak strasznie dało się uczuć, że lud, a raczéj kilka band dowodzonych przez nicponiów, straciło spokojność i rezygnacyą. Rzucono się na ogrody, niektóre zupełnie spustoszono. Gwardya narodowa wstrzymała złe w połowie drogi. Administracya tymczasem pośpieszyła przedsięwziąć pewne środki, zdradzające jéj niedoświadczenie i zwykły pośpiech. Nakazała cięcie drzew w lasku bulońskim, węseńskim i nad drogami. Lecz miękkie drzewo źle się pali, dymi i słabo grzeje. Ale cóż, trzeba było i na tém poprzestawać. W niektórych dzielnicach, np. w Montmartre, gdzie ja mieszkam, spotykałeś ludzi najporządniéj ubranych, którzy nieśli związane sznurkiem pięć lub sześć drewienek, zdobytych za rogatkami. Wielu wracało z próżnemi rękami.

Węgiel kamienny, który jeszcze był pozostał, zachowywano dla gmachów rządowych, fabryk i ambulansów. Nadszedł czas, że Paryż, w braku węgla, oświetlano tylko naftą. Przywykliśmy do tego zwolna; nie odrazu na wszystkich ulicach zaprowadzono zmianę. Niemniéj atoli sprawiało to wrażenie na każdym kto sobie przypomniał ów

Paryż dawny, tak pełen światła, tak ożywiony do późnéj nocy. Mgławe światło lampy naftowéj zaledwie przenikało ciemności, która przez to wydawała się jeszcze zupełniejszą; pojazdów ani śladu, zjedliśmy konie; omnibusy coraz rzadsze; magazyny pozamykane; rzekłbyś: olbrzymie prowincyonalne miasto. I rzeczywiście, Paryż odcięty od tego nieustannego potoku cudzoziemców, który bezustannie odżywiał jéj ludność, stawał się corazbardziéj miastem prowincyonalném. Wszyscy na bulwarach się znali, mało brakowało do tego, żeby się wszyscy sobie kłaniali. Kupcy gawędzili na progach swoich sklepów, a gwardziści narodowi dzielnicy, rozprawiali między sobą, nie znając się, o polityce.

## II.

Dużo było rozsądku w téj gwardyi narodowéj, którą wojskowi czystéj krwi trochę lekceważyli, a którą posługując się, lepiéjby byli robili. Ona to dała nam poznać w grudniu to życie przednich straży i wytłumaczyć sobie wiele szczegółów téj wojny, prawie wcale dla nas niezrozumiałych.

Gazety — bardzo słusznie zresztą, trzeba bowiem koniecznie w oblężoném mieście podtrzymywać ducha ludności — najpowabniéj w świecie malowały nam owe przednie straże. Można było

zapewne domyślić się, nasi żołniérze znosili tam wszelkiego rodzaju trudy i niedostatki, ale przedstawiano ich nam jako zawsze czynnych, zawsze wesołych, myślących tylko o nocnéj wycieczce, o przygodzie wojennéj. Żartowano sobie bez miłosierdzia z ostróżności pruskich wart. Opowiadano jak całemi godzinami stoją za drzewem nieruchome. Dwóch naszych żołniérzy z gwardyi ruchoméj, obeszło z dwóch boków, jeden z prawéj, drugi z lewéj strony, takie drzewo. Niepostrzeżenie stanęli oba o pięćdziesiąt kroków od pruskiéj placówki. Żołniérz z prawéj strony dał ognia, Prusak, usłyszawszy to, czémprędzéj przeskakiwał na lewą stronę drzewa; żołniérz z lewéj czekał na tę chwilę i wycelowawszy kładł go odrazu trupem na ziemię. Inną razą chodziło znów o to, aby wyciągnąć wartę pruską z kryjówki, gdzie się schowała. Jeden wolny strzelec umawiał się z drugim. Schwyciwszy taczkę, popychał ją najniewinniéj w świecie i szedł sobie tak, bezbronny, tuż około owéj kryjówki. Pruski żołniérz nie mógł wytrzymać, zobaczywszy go, wysuwa tedy głowę, ramiona, mierzy z igliców-ki i paf! dostaje w samo czoło kulkę, którą czatujący towarzysz naszego żołniérza w téj saméj chwili wypuścił ze swego karabina. I tysiące podobnych zdarzeń!

Te wszystkie podstępy wojenne, których opowiadaniem bawiła się ciągle wyobraźnia Paryżan, gromadziły się, że tak powiem, i stworzyły postać legendową sierżanta Hoff'a. Ów sierżant Hoff nie był wcale mytem, lecz żołniérzem z krwi i ciała, któremu natura dała węch Mohikana i który na wzór amerykańskich Indyan, polował na Prusaków. Znany felietonista paryzki Yriarte, humorystyczny malarz wszelkich ekscentryczności naszego miasta, dał najpiérw poznać światu tę tajemniczą figurę. Yriarte był członkiem sztabu jenerała Vinoy i spotykał w każdym raporcie porannym nazwisko sierżanta Hoffa. Zapragnął więc poznać go bliżéj. Sierżant Hoff pochodził z Saverne. Prusacy, przechodząc przez to miasto, zabili mu starego ojca. Przysiągł sobie, że go pomści. Zrobił ślub, iż codzień zabije choć jednego Prusaka. Wychodził tedy podczas nocy, zwykle sam, i dopiéro śledził pruskie placówki, zaczajał się, czekał nieraz całe godziny w postawie leżącéj, pod krzakiem, a gdy zobaczył ofiarę gdzieś blizko, rzucał się na nią znienacka lub strzelał z ukrycia i... dziękował Bogu, jeśli mu się udało. Jednego dnia, większą połowę nocy czekał w krzewinie blizko pruskiéj warty, a gdy stosowna pora się nadarzyła, wpadł na Prusaka z tyłu i przebił go bagnetem. Wziąwszy potém pruski kask na głowę,

stanął w téj saméj kryjówce i czekał aż inni przyjdą zmienić nieboszczyka. Przyszło dwóch, i sierżant Hoff obu położył trupem poczém drapnął napowrót do swoich. Władza powierzała mu często dowództwo mniejszych wycieczek, a ponieważ podwładni mieli w nim wysokie zaufanie, przeto każdy rad był towarzyszyć mu.

„Jednego dnia (on sam opowiadał to zdarzenie panu Yriarte), miałem z sobą dwunastu bardzo pewnych ludzi. Wykopaliśmy rów i wszyscy ukrywszy się aż po szyję, staliśmy za wałem z bronią wspartą na ziemi świéżo wykopanéj. Ja poszedłem naprzód, sam jeden, nadstawiając ucha... Nagle, a byłato noc, rozlega się o jakie dwieście metrów tentent odddziału bawarskiéj kawaleryi, najmniéj ze 150 ludzi złożonego. Daléjże ja biegnę do swoich i za danym znakiem strzelamy w massę plutonowym ogniem. Nie wiedziały Niemcy ilu nas jest, czy stu czy dziesięciu. Popłoch w szwadronie, ranni spadają z koni, moje tyraliery tymczasem myk do blizkiego lasku, a ja sam jeden zostaję w rowie. W pół godziny potém nadjeżdża liczniejszy oddział pruski, w porządku, dla pozbiérania trupów. Czekałem na to. Sprzątnąłem jeszcze ze trzech i chyłkiem podążyłem za moimi towarzyszami."

Sierżant Hoff stał się ulubieńcem Paryża. Ta-

kie przygody trafiają do smaku naszym rodakom. Otrzymał dzielny żołniérz kilka dekoracyj, ale w dniu 2 grudnia gdzieś znikł i nie można było nawet jego trupa odnaléźć. Dla dopełnienia legendy należy dodać, że w miesiąc potém rozeszła się pogłoska, jakoby ów sławny sierżant Hoff, mściciel swego ojca, był prostym szpiegiem Prusaków, że zatém nietrudno mu było przynosić tyle kasków pruskich na znak zdobytych trofeów po trupach. Lecz posypały się zewsząd protestacye; towarzysze Hoffa reklamowali prawie wszyscy i chwała jego wyszła czystą ze śledztwa, jakie wyprowadzono.

Człowiek ten streszczał w sobie ową zuchwałą śmiałość, wrodzoną Francuzom. Nieprzyjaciel myślał więcéj o swojéj ochronie i nie strzelał do naszych straży, chyba wówczas gdy one same piérwsze zaczepiły. Porównywano téż u nas pruskie straże, do owych drewnianych zabawek wyrabianych w Czarnym-Lesie. Wedeta nieprzyjacielska była w naszych oczach takim drewnianym automatem, który sprawia radość dzieciom a rodzicom zapewnia spokojność. I śmieliśmy się, widząc w myśli, jak taki strażnik pruski wychyla głowę ze swéj kryjówki, wysuwa się potém cały, i maszeruje sztywnym krokiem do obozu. Każdy Prusak był w naszych oczach taką maryonetką,

którą sprzątnąć była to zabawka! Dzienniki nie szczędziły nam opowiadań na ten temat, ukrywając tym sposobem przed nami całą przykrość i niedolę tego życia przednich straży. Na zasadzie ich opisów uważaliśmy to życie za bardzo przyjemne, swobodne.

Dopiéro kiedy gwardya narodowa została powołaną do odbywania służby na tych przednich strażach, poznaliśmy że życie tam nie było wcale wesołe, i zobaczyliśmy naocznie, dotykalnie, szczególne nadużycia wojskowego zarządu, nieudolność dowódzców, wadliwość intendentury, słowem całe to rozprzężenie staréj maszyny, która nosi nazwisko armii francuzkiéj. Świéżém okiem sprawdziliśmy te nadużycia i Paryż zaczął o nich mówić poufnie, z tym wyrazem mieszczańskiéj szczerości, który-to zawsze przekonywa.

Głównem wrażeniem gwardzistów, którzy swój tydzień czasu spędzili na przednich strażach, było poczucie zupełnéj swéj bezużyteczności. Jakto! tyle trudów, tyle nocy spędzonych pod gołém niebem, a rezultat taki mały! Całe dnie schodziły na wypełnianiu mnóstwa czynności bez żadnego celu i pożytku, jak przeglądy, appele, a pracy rzeczywistéj, wiodącéj do czegoś, ani śladu. Było przecie co robić: kopać transzee, budować wały, znosić faszyny, ustawiać działa, i kto je tam zliczy

te najrozmaitsze szczegółki towarzyszące oblężeniu? Dlaczegóż nie powierzono tych robót gwardyi narodowéj stałéj i tym tysiącom ludzi, którzy nie mogli już dostać broni? Dlaczego tyle rąk zostawiać bez zajęcia? Każdy wié mniéj więcéj, że oblężenie wymaga olbrzymich robót ziemnych, ciągłego użycia rydla i motyki; dlaczegóż zgodzono się na to, by tyle osób gniło w próżniactwie, bez żadnego innego zajęcia prócz jedzenia, gry towarzyskiéj i rozpraw klubowych, gdzie mówcy zasiewali demoralizacyą i niezgodę? Czy Prusacy téż tak postępowali? Nie wiedziano właściwie jak stoją ich prace, i to był straszny błąd. Wiedziano tylko że pracują, i to bez przerwy; z ich strony ciągle kopano transzee a ziemne fortyfikacye pruskie jakby cudem wyrastały co chwila z pod ziemi. Otaczało nas tylko 300,000 Prusaków, i my, ludzie zebrani w liczbie miliona nie mogliśmy się zdobyć na to nawet, żeby na każdy rów odpowiedzieć rowem, na każdy wał wałem, na każdą redutę redutą.

Nic dziwnego, że bezczynność trwająca już cztéry miesiące przykrzyła się naszym dzielnym mobilom i walecznym liniowcom. Teraz pojęliśmy ich przygnębioną, smutną minę, a nadewszystko ten wewnętrzny rozkład, który często wychodził na jaw jakimś nie do wytłumaczenia wybuchem

Dowiedzieliśmy się np. z nadzwyczaj surowego rozkazu dziennego, że niektórzy oficerowie nasi zapomnieli się do tego stopnia, iż z kieliszkiem w ręku bratali się z oficerami pruskimi; to znowu że sześciu oficerów zbiegło; postanowiwszy uprowadzić ze sobą i wielu towarzyszów, a Trochu uroczyście postępek ich ogłosił na większą wszystkich patryotów wzgardę; lub znowu władza wojskowa karciła surowo zbyt często powtarzające się nadużycia pijackie w pewnych garnizonach. Te wszystkie dowody bezkarności, pozwalające domniemywać się mnóstwa innych, nieogłaszanych, wyjaśniały się teraz jedném słowem: nasi żołniérze nie mieli co robić, nudzili się.

Za te nudy zwalali winę na starszyznę wojskową, nie mieli do niéj by najmniejszego zaufania. Sami sobie wybierali oficerów (przynajmniéj w gwardyi ruchoméj), tém więcéj przeto nie widzieli powodu patrzéć przez szpary na ich postępowanie. Oficerowie ci, począwszy od naczelnego wodza a skończywszy na poruczniku, bylito wszystko ludzie odważni; ale po największéj części głupi i pełni owych militarnych przesądów, których zbiór stanowi to, co u nas złośliwie nazywają: *une culotte de peau.* Ignorancya tych ludzi weszła w przysłowie; opowiadano sobie o niéj mnóstwo faktów. Jeden z tysiąca:

Nasze wojska miały przebywać Marnę, w miejscu gdzie ta rzeka po długim zwrocie skręca nazad i tworzy półwysep, którego przesmyk nazywają *la boucle de la Marne.* Przechodzi armia przez most na piérwszém korycie rzeki. Stary jakiś jenerał, jadący na czele, zwraca się do szefa swojego sztabu:

— Co to za rzeka?

— Marna, jenerale,

— Marna, patrzcie państwo! ja myślałem, że pod Paryżem płynie Sekwana.

— Tak jest, jenerale, ale ta rzeka nazywa się Marna.

Idą daléj. Po przebyciu wązkiego międzyrzecza, wojsko wchodzi na drugi most.

— A ta rzeka? pyta powtórnie ten sam jenerał.

— Marna.

— Jakto! znowu!... Więc się cofamy! dodał zakręcając wąsa z miną marsową.

Ci jenerałowie, przedstawiający typ głupoty i nie mający wyobrażenia o poważnéj stronie militarnéj karności, byli do wysokiego stopnia energiczni pod względem pilnowania porządku w tych wszystkich drobnostkach życia obozowego, których zbiór we Francyi streszcza się tym jednym

wymownym wyrazem: *le bouton de guêtre*. Gwardya narodowa sama nie wiedziała co myśléć, widząc jaką ci panowie przywiązywali wagę do przepisów, które, być może, miały swoje znaczenie, ale które z drugiéj strony o wiele przetrwały okoliczności z jakich wiodły swój początek.

Dajmy przykład. Nasi jenerałowie mają przesąd co do zupy. Jestto pewnik wojennéj sztuki we Francyi, że żołniérz musi jeść zupę. Toćże i Napoleon piérwszy, wielki, próbował często zupy żołniérskiéj.

— A zupa dobra? pyta zwykle inspektor dopełniając pułkowego przeglądu.

I niéma co mówić, że zupa jest dobrą strawą, bo jest gorąca i pożywna. Ale gospodynie wiedzą ileto trzeba czasu, żeby się dobry rosół ugotował. Niemałą téż rzeczą podczas kampanii jest wyszukiwanie drzewa, wody, rozpalanie ognia. Zaledwie woda zacznie syczéć, a tu nieprzyjaciel wpada, lub trębacz daje znak wymarszu. Otóż i po mięsie napół ugotowaném. Żołniérz przyciąga pasek i daléj w drogę głodny.

Podczas téj wojny Prusacy napadali na nas zwykle wtedy, kiedyśmy byli zajęci gotowaniem zupy. Nasi gwardziści we wszystkich wyprawach gdzie byli posyłani, musieli z obowiązku dźwigać

na plecach wszystko co się odnosiło do przyrządzania zupy, a nigdy nie byli w stanie dokończyć jéj i zjeść. Byłato dla nich *soupe fantastique*.

— Ah, jenerale, odezwał się raz nieśmiało jeden z moich towarzyszów do oficera w podeszłym wieku, którego znał z towarzystw, czyż nie lepiéjby było, zwłaszcza kiedy się jest tak blizko wielkiego miasta, dać każdemu z żołniérzy kawał gotowanego lub pieczonego mięsa, któryby mógł zjeść prędko, w przerwie między dwiema potyczkami?

— Żołniérz potrzebuje zupy, odpowiedział sentencyonalnie jenerał. Żołniérz tylko po zupie dobrze się bije.

— Bezwątpienia, ale jeśli ją jé. Nie wiém jak to tam było za wojen piérwszego cesarstwa, czy nasza wiara miała więcéj wolnych chwil, czy téż woda gotowała się szybciéj, ale dzisiaj te przeklęte Prusaki zawsze nam kocioł przewrócą i musimy pościć.

Jenerał niepostrzeżenie wzruszył ramionami, jak człowiek który nie dopuszcza możności rozbierania artykułów wiary; zupa stała się dogmatem. Zupełnie jak tornister, ów sławny tornister, w którym żołniérz ma miéć wszystko, co dla niego niezbędne. Każą mu go dźwigać, gdy idzie o dwie mi-

le za rogatki, tak jak gdyby się wybiérał na mexykańską wojnę. Piérwszą jego sprawą, gdy biegnie przeciw wrogowi, jest rzucić go o ziemię i najczęściéj nie znajduje go powróciwszy na miejsce; nie powraca tam zresztą zwykle.

Są to wszystko drobnostki, ale one pokazują, że w militarném życiu Francyi cała karność zasadza się na szczegółkowych przepisach, które dzisiaj, dzięki okolicznościom lub warunkom miejsca, stały się bezużytecznemi. Umysłowa bezwładność naszych oficerów przyzwyczaiła ich do tego; wykonywają oni przepis zwyczajem uświęcony i nie łamią sobie głowy nad zaakomodowaniem go do potrzeb nowéj wojny. Czy wojsko znajduje się o pięć minut drogi od miasta we wszystko zaopatrzonego, czy téż na szerokiém polu spustoszonego kraju, nie wypada zmieniać ani na jotę zwyczajów i przepisów obowiązujących.

Podobnież wodzowie nasi nie umieli wcale nagiąć się do wymagań nowéj taktyki przyjętéj przez Prusaków. Nie nauczyli się użytkować ani z telegrafów elektrycznych, ani z kolei żelaznych, podczas gdy nasi wrogowie z rzadką zręcznością posługiwali się temi narzędziami wojennemi. Wysyłaliśmy jak dawniéj żołniérzy z bagnetami na mury forteczne, gdy tymczasem Niemcy nigdy

się nie odsłaniali i nie awansowali, chyba na takie pułki, które dobrze już zostały przerzedzone gradem kul.

Jeden z naszych ambulansistów opowiadał mi tę charakterystyczną anegdotę:

„Przewodnicząc zbiéraniu rannych i trupów, pruscy i francuzcy oficerowie rozmawiali między sobą z grzecznością, zwykłą w podobnych razach. Jeden z oficerów francuzkich zaczął opowiadać głośno piękne zachowanie się pewnego kapitana podczas ataku na Montretout. Ten kapitan stał śród powodzi kul na czele swojego oddziału, a ponieważ i to narażenie własnego życia mu nie wystarczało, wszedł na pień jakiegoś drzewa, zaczął wołać: *En avant! en avant!* i ukazywać żołniérzom drogę końcem szabli. Trzy kule, jedna za drugą, utkwiły mu w piersi, padł na ziemię, jeszcze krzycząc: *En avant!*

— Jak to piękne! jak szczytne! odezwali się Francuzi.

— Jak to niedorzeczne! wtrącił jeden z parlamentarzy pruskich. I ja byłem przytém, dodał, i mogę panom ręczyć, że wszyscy nasi Niemcy uważali tego człowieka za waryata. Na co mu się zdała ta przechwałka z odwagi? Nie wypędził nas ze stanowiska, jakie mu odebrać polecono, i dał się zabić, a na dobitkę przyprawił o śmierć trzech

swoich strzelców, którzy nam wielu sprzątnęli żołniérzy, stojąc ukryci za drzewami. Zelektryzowani jego przykładem wybiegli z poza swoich drzew i zginęli.

W téj anegdocie mieści się całkowity system prowadzenia wojny przez jeden i drugi naród. Widoczną jest rzeczą, iż trzeba nam zmienić dotychczasowy nasz system. Jeszcze bardziéj to pewna, że starzy jenerałowie, napojeni przesądami swojéj kasty, reformy téj nie przeprowadzą. Należy przekształcić armią do szczętu, na wskróś.

Jeszcze z jedną instytucyą dzisiejszą trzeba téż będzie surowo się obejść: z intendenturą. Żaden zarząd nie ściągnął na siebie tylu skarg. Chociażby tylko tysiączna część tego co mówiono o niéj była prawdziwą, intendentura już i tak zasługiwałaby na tę sprawiedliwą wzgardę, jaką powzięła dla niéj opinia publiczna. Kiedy pomyślimy, że o trzy kilometry od Paryża nie można było uorganizować porządnego rozdawania żywności; że przez cały czas trwania wojny, rozkazy i przeciw-rozkazy bezustannie spierały się z sobą; że w samym dniu poddania się fortów, w dniu przez władzę przewidzianym, wszystko tak źle było urządzoném, iż ogromne zapasy żywności dostały się wraz z fortami w ręce Prusaków, dlatego tylko że nie miał kto przenieść ich do Paryża,

gdzieśmy umierali z głodu, niewypowiedziana boleść przejmuje nasze serca. Nietylko boleść, i wstyd cierpieliśmy z przyczyny niegodziwéj intendentury; toćże parę razy czytaliśmy w opisach niemieckich operacyj wojennych: „Wiele winniśmy wdzięczności administracyi francuzkiéj, bez niéj bowiem niejednokrotnie bylibyśmy w wielkim kłopocie co do sposobu wyżywienia naszéj armii. Administracya francuzka była zwykle dość względną i zostawiała nam żywność właśnie tam gdzieśmy mieli obozować wieczorem.“

A jednakże, dziwna rzecz, dowodząca jak wpływowemi są we Francyi administracye silnie ukonstytuowane, pomimo to że nikomu nie zarzucano tak otwarcie jak im nieudolności i bezwładności; pomimo że w ciągu całéj wojny intendentura była kozłem ofiarnym armii i dziś jeszcze wiele osób widzi w niéj jedyną niepowodzenia przyczynę; pomimoto wszystko, na nią to najobficiéj spadła rosa nagród urzędowych.

Trochu, zawsze pełen czci dla hierarchii, obsypał ją łaskami, które wywoływały powszechne oburzenie. Niemniéj atoli wybiła już jéj godzina i przyjdzie pora, że musi ona zdać rachunek i pójść precz, jak tyle innych wojskowych i cywilnych instytucyj u nas, z których niegdyś byliśmy tak zabawnie dumni. Europa nam ich zazdrości!

mawialiśmy. Jakże ona śmiałaby się z nas teraz, gdyby nasze nieszczęścia nie zasługiwały raczéj na litość niż na szyderstwo!

## III.

Ze wszystkich czynności, jakie intendentura pochwyciła w swoje łakome dłonie, żadna nie była tak źle urządzoną i tyle krzyku nie wywołała co służba szpitalna. W swoim czasie dr. Chenu napisał pod tym względem duże statystyczne dzieło, w którém, opierając się tylko na cyfrach urzędowych, dowiódł, że w Krymie i we Włoszech straszna panowała śmiertelność i że przyczyną złego był brak intelligencyi i staranności ze stronyadministracyi. Nie trudno byłoby mu dowieść, że ludzie, którzy mają już tyle do roboty, nie mogą skutecznie zajmować się tém, na czém wcale a wcale się nie znają, że przeto cała służba sanitarna armii powinna być oddzieloną od intendentury i poddaną pod kierunek naczelnego lekarza. Jakaż to bolesna rzecz widzieć że niejedno życie ludzkie, życie tysiąca ludzi, zależało od kaprysu pierwszego lepszego głupca, od dzikiéj rutyny jakiegoś tam kancelisty?

Reforma była tak konieczną, tak pilną, że... wcale jéj nie przeprowadzono. Wysławiano na

wszystkie głosy doktora Chenu, cytowano jego dzieło wszędzie, dano mu nawet podobno oficerski krzyż legii honorowéj, ale nie zmieniono ani na jotę ustanowionego porządku. Tak to często dzieje się we Francyi, i dzięki temu stanęliśmy nareszcie u kresu, gdzie się dzisiaj widzimy.

Niemniéj jednakże praca doktora Chenu przyniosła pożytek. Zasady, których w niéj bronił, przeniknęły wśród mass publiczności; to téż w chwili, gdy wojna wybuchła, powstał jak gdyby jeden okrzyk:

— Intendentura nie jest przygotowaną! nie może być przygotowaną!

Wszyscy pamiętali wówczas niedawną wojnę secesyi; każdy podziwiał cuda, jakich tam dokonała w ciągu kilku miesięcy prywatna inicyatywa, własnym pozostawiona siłom. Z drugiéj strony rozgłośna konwencya genewska działała na wszystkich uspokajająco i nic nie zdawało się piękniejszém, jak nosić na ramieniu, na piersi lub na kaszkiecie, czerwony krzyż na białém polu, emblemat dobrowolnéj służby sanitarnéj. Pod wpływem tych uczuć powstał zapał w zapisywaniu się do publicznéj opieki nad chorymi i rannymi.

Utworzyły się bardzo szybko dwa towarzystwa: jedno, które miało pewien odcień urzędowy, i rekrutowało się mianowicie między ludźmi wiel-

kiego świata, *l'Internationale;* drugie, którego samo nazwisko wskazuje początek, *la Societé des ambulances de la Presse.* Jeden z bardzo rozpowszechnionych dzienników, *Gaulois*, piérwszy otworzył podpisy na składki, które w ciągu jednego miesiąca doszły do miliona. Towarzystwo złożone prawie całkiem z dziennikarzy, pod honorową prezydencyą pana Tarbé, miało czuwać nad najpożyteczniejszém zużytkowaniem tych funduszów. Posiadało ono na szczęście dwóch pełnych poświęcenia ludzi, którzy z zapałem wzięli się do tego: Pana Dordenne de la Grangerie, którego prowincya zna lepiéj pod pseudonimem Marcus, tudzież Armanda Gouzien z *Gaulois*; piérwszy, wytworny i bogaty, lubił aż do śmiészności zachowywać wielkoświatowy ceremoniał, alę był przytém czynny, poświęcający się, dowcipny, słowem taki właśnie, jakiego było potrzeba, by prowadzić z pruskimi parlamentarzami układy o zbieranie rannych i trupów; drugi, daleko prostszy, skromniejszy, ale miał w sobie ducha organizacyjnego i zamiłowanie szczegółów.

Nie do mnie należy opowiadać o usługach, jakie te dwa towarzystwa oddawały nam aż do oblężenia Paryża. Prowincya wié równie dobrze jak my, ile to wysłały one ambulansów na pola bitwy, ile zajść personel tych ambulansów miał z wła-

dzami pruskiemi. Nieprzyjaciel niejednokrotnie brał do niewoli lekarzy, felczerów, wypuszczał ich potem na wolność, znowu chwytał i znowu wypuszczał.

Kiedy po Sedanie zaczęto wierzyć w to, że Prusacy przyjdą pod Paryż, wspaniałomyślność w ludności zdwoiła się poniekąd. Posypały się składki w naturze i w pieniądzach. Otworzono mnóstwo ambulansów. Wiele wprawdzie z tych ostatnich istniało tylko dla formy. Trzeba bowiem przyznać, że w téj epoce wszyscy prawie obawiali się szturmu, rabunków, więc właściciele domów chętnie umieszczali na swoich nieruchomościach czerwone krzyże, naiwnie przypuszczając, że to godło miłosierdzia ustrzeże ich od nieszczęść łupieztwa. Lecz i tak mnóstwo ambulansów istniało na seryo, a organizacya ich postępowała szybko i dokładnie. Pośpiech był potrzebny. Lekarze nie taili, że jeśli się nie usunie wpływów chorobliwych, które niezawodnie powstaną w Paryżu, tyfus musi wybuchnąć. Sprawa była tak ważną i pilną, że wszyscy się nią szczerze zajęli. Wszystkie rozporządzalne lokale zarekwirowano w tym celu, a raczéj same się ofiarowały. Większa część teatrów urządziła ambulanse w swoich *foyers*, a koszta urządzenia pokryły reprezentacye w tym celu dane i kwesty dokonane przez

aktorki. Wielką wadą tych ambulansów było to, że leżały w samym środku Paryża, gdzie powietrze najmniéj czyste; były one jednak urządzone znakomicie, a jeden z nich do tego stopnia był szczęśliwy, że żaden chory w nim nie umarł: był to ambulans teatru *Variétes*, zostający pod opieką doktora Banniére.

Stowarzyszenie *międzynarodowe* założyło główną kwaterę w pałacu *Przemysłu* na polach Elizejskich, ale gdy nadeszła zima, okazało się niepodobieństwo opalania rozległych sal, pokrytych szklanym dachem. Wówczas to przeniesiono rannych na bulwar Włochów do Wielkiego hotelu, gdzie za lokal płacono po 500 franków dziennie. Wybór nie bardzo był szczęśliwy: urządzenie hotelu nie łatwo da się nagiąć do wymagań usługi szpitalnéj, nadewszystko zaś, jeżeli ten hotel został zbudowany na tysiące osób. Dlatego też śmiertelność, pomimo talentu takiego lekarza naczelnego jak *Nélaton*, pomimo staranności, z jaką panie wielkiego świata opiekowały się rannymi, bardzo była znaczną. Ztąd to wyruszył konwój, unoszący na cmentarz zwłoki komendanta Franchetti, człowieka dzielnego, młodego, walecznego, który miał przyszłość przed sobą, i którego zgon powszechną boleść obudził. Towarzystwo *Prassy* również urządziło w Paryżu znaczną ilość am-

bulansów, ale tylko niektóre z nich czyniły zadość warunkom hygienicznym, jakich wymaga szpital dla rannych. I ono, jak wszyscy, zostało niespodzianie zaskoczoném, musiało zatém być zadowoloném i z tego, co się dało naprędce uskutecznić... Ale zasługą tego towarzystwa, pozostanie na zawsze to, że urządziło ono ambulans, który nawet po skończonéj wojnie pozostanie wzorem ambulansów, a być może i typem szpitali: takim był ambulans w Passy, który wykończono dopiéro w ostatnich dniach grudnia, wcale zatém prawie nie mógł funkcyonować; mimo to oddał wielkie przysługi i odda jeszcze większe. Urządzonym jest na sposób amerykański. Cały Paryż oglądał w alei cesarzowéj *ambulanse amerykańskie*. Yankees przywieźli do nas na wystawę powszechną wzory i materyał najrozmaitszych ambulansów, jakie wymyślili podczas wojny secesyi; materyał ten pozostał w Paryżu, tak że podczas oblężenia dosyć go było zużytkować i w ciągu jednéj nocy stanął gotowy szpital. Wyglądał wspaniale, był to rodzaj obozu w środku lasu. W pewnéj odległości od siebie stało mnóstwo namiotów, już to okrągłych, już podługowatych. Każdy namiot był zbudowany z materyi bawełnianéj, nasyconéj pewnym rodzajem smoły, która czyniła je nieprzemakalnemi. Pod każdym z takich namiotów,

mieściły się w piwnicy kaloryfery, które ogrzéwały grunt i suszyły go zarazem. Dla odświéżenia powietrza, znajdował się w każdym namiocie system dowcipnie urządzonych okienek. Nie można sobie wyobrazić nic schludniejszego, nad wnętrze takiego namiotu: ponure trochę, nagie, ale wygodne, praktyczne; nie było tam nic niepotrzebnego, ale za to znalazłeś wszystko, co mogło się przydać choremu lub lekarzowi; słowem namiot taki urzeczywistniał ideał ambulansu, pozwalając małemi środkami wiele uskuteczniać bez kosztu i trudu, posługiwać się tém, co jest pod ręką, zastosowując przez dowcipne modyfikacye każdą rzecz do żądanego wypadku. Nie na pokaz, nie dla zadosyć uczynienia próżności; jedyna próżność polegała na tém, żeby chorych wypuszczać zdrowymi. Jeden szczegół więcéj wypowié niż duża gadanina.

Kiedy zwiédzałem cały ten obóz ambulansów w towarzystwie naczelnego lekarza p. Swiburne i dwóch braci pp. Emila i Wiliama Brewer, przybyliśmy nakoniec do apteki. Wydała mi się ona pustą i to mnie zdziwiło; nie mogłem sobie wyobrazić apteki inaczéj, jak pełną kolorowych słojów z napisami i szaf z szufladami.

— Znamy tylko cztéry lekarstwa, rzekł do mnie p. Swiburne: świéże powietrze, wodę zimną

lub gorącą, opium i chininę. To wszystko niewiele miejsca zajmuje. Reszta niepotrzebna. Wyrzuciliśmy ją.

W gruncie rzeczy byłoto tylko ścisłe i dowcipne zastosowanie się do myśli wyrażonych przez p. Chenu w jego dziele o wojnie krymskiéj, a przed nim, przez innego jeszcze Francuza, p. Michel Levy, w obszernem dziele o hygienie szpitali. Chociaż więc kto inny system taki zaprowadził w praktyce, myśmy go wynaleźli, podali.

Zdziwiliśmy się atoli, zobaczywszy go naocznie. Znajdował się w Paryżu architekt, p. Jaegger, który zblizka studyował w Ameryce i w Niemczech kwestyą takich szpitali pod namiotami i barakami; podał do zarządu inżenieryi militarnéj prośbę o pozwolenie zbudowania jednego w tym rodzaju szpitalu na wolnych placach otaczających Luxemburg. Udzielono mu pozwolenie i trzeba oddać sprawiedliwość władzy, że mu wiele pomogła w urzeczywistnieniu tego planu.

Wówczas-to *Prasa* pomyślała także o zbudowaniu podobnego szpitalu, przy czém, opierając się na doświadczeniach poprzedników, doprowadzono system do najwyższego punktu możliwéj doskonałości. Intendentura uwzględniła żądania tego Towarzystwa i udzieliła summę niezbędną; inżenierya poleciła wykonać projekt kapitanowi

Caillot i dała mu swoich robotników. Po trzech miesiącach dzieło zostało ukończoném.

Nic przyjemniejszego nad widok téj budowli. Istna-to wieś szwajcarska, albo raczéj owo drewniane miasteczko, które dzieci wydobywają z pudełek norymbergskich i ustawiają z domków na stole. Cała wioseczka składa się z 31 baraków; 21 z nich zajmują chorzy. Szczególnego doznaje się wrażenia wchodząc do jednéj z takich sal. Każda z nich ma 30 metrów długości, 10 szerokości, 4 wysokości, licząc od podłogi do początku dachu. Okien w takim baraku dziesięć, światło bardzo jasne. Piérwszy rzut oka wewnątrz wielce przyjemny. Biédne łóżeczka i nieszczęśliwi chorzy znikają poniekąd w téj atmosferze światła. Dwa duże piece stoją na dwóch przeciwległych końcach sali i łączą się w środku rurami. W koło tych pieców siadają zwykle rekonwalescenci. Każda sala mieści 20 łóżek.

— Nie uwierzyłbyś pan, mówił mi sławny chirurg Demarquay, gdym z nim razem zwiédzał te miejsca, do jakiego stopnia wesoły pozór tych sal oddziaływa na stan moralny chorych. Ja to właśnie chciałem tego, żeby umieszczono piece w ten sposób, iżby one mogły się stać środkowym prowadzenia rozmowy punktem. Ogrzéwanie amerykańskie, polegające na umieszczaniu kaloryfe-

rów pod ziemią, przedstawia pewne niedogodności, a mianowicie tę że jest smutném. Ludzie nie wiedzą gdzie usiąść dla poprowadzenia gawędy, przeczytania dziennika; nudzą się. Patrzaj pan na te łóżka, ja nie jestem z nich zadowolony; chciałem żeby chorzy mieli kołdry nie szare lecz jaskrawszéj barwy, a nawet sam kupiłem dla niektórych po drugiéj kołdrze, wielobarwnéj, w deseń. Byliby jeszcze weselsi, żebyśmy tu mieli i firanki tego rodzaju.

Miał słuszność. Francuzi nie odznaczają się powagą ludzi północy. Naga surowość ambulansu amerykańskiego jest dla nas trochę za smutną. Te nizkie pułapy, te szare żaluzye, ten brak wszelkiego przedmiotu mogącego myśl zatrzymać na chwilę, wszystko to odpowiada lepiéj usposobieniu ludu praktycznego, który nie zna innéj przyjemności prócz czytania Biblii. Ponieważ warunki hygieniczne są te same, przekładamy systemat ambulansów Towarzystwa *Prasy* nad systemat amerykański.

Podczas moich odwiédzin, łóżka były zajęte przez rannych z pod Montretout, najwięcéj narodowych gwardzistów. Dr. Demarquay, zarówno jak i jego pomocnik dr. Cousin, bardzo wychwalali ich moralną siłę. Wszyscy prawie byli ranni

kawałkami granatów. Ah! jakiż to bolesny widok ran, sprawionych przez te straszne narzędzia zniszczenia!

Widziałem jednego biédaka—Demarquay mówił mi, że to człowiek żonaty, ojciec sześciorga dzieci—który miał całe udo potargane w kawałki, głowa blada jak u trupa zwieszała się bezwładnie z poduszki, oczy mdłe i otwarte bez żadnego wyrazu, ręce konwulsyjnie chwytały za kołdrę. Owinięto mu ranę, czego nawet nie zdawał się spostrzegać.

— Czyż macie nadzieję uratować go? spytałem gdyśmy wyszli.

— Jedno tylko dla niego jest lekarstwo: kulka w głowę. Téj chirurgii, na nieszczęście, zastosowywać nie wolno. Oszczędziłaby ona wiele bezpożytecznych cierpień niejednemu z tych nędzarzy.

Ostatnia sala ambulansu, na któréj zakończyłem mój przegląd, była ta, przez którą, niestety! przemyka się mnóstwo nieszczęśliwych rannych: była to sala umarłych. Zobaczyłem w niéj trzy jakieś niekształtne paki, owinięte płótnem: po bliższém przyjrzeniu się można było poznać ciała ludzkie. Na jedném ze stołów leżał trup zupełnie nagi, z piersią rozdartą najpiérw przez odłam granatu, potém przez skalpel chirurga. Czułem że

mi się serce mocno ścisnęło i czémprzędzéj wyszedłem odetchnąć świéżém powietrzem. Biédni ludzie! Więc to na tém koniec wojennéj sławy!

Oprócz tych ambulansów stałych, mieliśmy téż cały system ambulansów ruchomych, urządzony na wypadek potyczek. Ich punktem zbornym były Tuileries. Od samego rana członkowie komitetu organizowali karawanę lekarską, złożoną (mówię o ambulansach *Prasy)* przeszło ze stu medyków i studentów medycyny, nie licząc dozorców pilnujących rzeczy i żywności. Za niemi szło 200 lub 250 braci Szkół chrześciańskich, którzy wypełniali funkcye tragarzy; daléj 200 pojazdów kompanii lyońskiéj i orleańskiéj, mnóstwo furgonów i kilka wozów specyalnych, modelu Bindera, dla rannych którzy musieli być niesionymi w pozycyi leżącéj.

Na sygnał dany przez intendenturę, orszak wyruszał w drogę, a zbliżywszy się o ile tylko można było do placu boju, wybierano jakiś pusty dom dla zajęcia tam na pewien czas głównéj kwatery i ztąd członkowie komitetu wysyłali oddziały liczniejsze lub mniéj liczne w tę i ową stronę, stosownie do żywości strzałów, a raczéj do liczby spodziéwanych rannych.

Nie łudźmy się atoli tym obrazem: mówię tu o ambulansie wybornie urządzonym, który p. Ri-

cord poddał najściślejszéj karności i własną ożywił gorliwością. Nie wszędzie panował taki porządek, a raczéj bardzo mało gdzie. W piérwszych chwilach, każdy kto chciał, jechał na plac boju swoim pojazdem pod pozorem ambulansu; wypadała ztąd najdziwaczniejsza mięszanina fiakrów, kabryoletów, amerykanek, dorożek, koczów, omnibusów, wozów zwyczajnych, które przybrane w godło czerwonego krzyża na białém polu, wzajemnie tamowały sobie drogę, krążąc w różne strony. Wszystko to przybywało jak na *steeple-chase*, żeby się przyjrzéć, a o rannych mało kto się troszczył. Nie tylko tłok, ścisk, ale nawet skandal. Administracya położyła nareszcie koniec nieporządkom i ciekawości, otwierając bramy dla prawdziwych ambulansów.

Odtąd było mniéj nieładu, ale i tak było go dużo. Podczas gdy Prusacy z godną podziwu szybkością i zręcznością zbierali swoich trupów i rannych, my traciliśmy Bóg wié wiele czasu na wyszukiwanie naszych i zwykle jeszcze musieliśmy prosić nieprzyjaciela, żeby nam pozwolił spokojnie dokończyć téj przykréj roboty. I cóż nam odpowiadali w takim razie? Oto:

— Waszych trupów jużeśmy pochowali, a o rannych bądźcie spokojni. Są oni razem z naszymi i mają opiekę nie gorszą jakby u was mieli.

Nic nie mogło nas bardziéj rozdraźniać nad tę dotkliwą ironią. A co najgorsza, że Prusacy byli w prawie, szydząc z nas w ten sposób!

## IV.

Niejedna część służby sanitarnéj była urządzona jaknajgorzéj, wszystkie prawie nosiły cechę niedbalstwa zarządu intendentury. Oddział tragarzy, jeśli mam wierzyć udzielonym mi sprawozdaniom naocznych świadków, był złożonym z elementów bardzo nędznych. Wyjmuję z pod tego prawidła braci Doktryny chrześciańskiéj, których piękne zachowanie się wzbudzało podziw całego Paryża i zostało nagrodzone honorowym krzyżem, udzielonym przełożonemu zgromadzenia bratu Filipowi. Ci zakonnicy, w wykonywaniu swoich nowych funkcyj, okazywali tego ducha abnegacyi, poświęcenia i biernego posłuszeństwa, które jest całego ich życia zasadą. Szli spokojnie pod grad kul zbiérać rannych, podnosić ich własnemi rękoma; nie cofali się przed żadną robotą, jakkolwiek byłaby ciężką lub przykrą, nie skarżyli się nigdy na brak pożywienia, pijali tylko wodę, nie dotknęli się żadnego pozostawionego tornistra i wracali następnie do swoich skrom-

nych zajęć szkolnych, nie przypuszczając nawet że byli bohatérami. Jakże mało było im podobnych! Większa część tragarzy byli-to rabusie, przetrząsający tornistry i kieszenie trupów, zamiast podnosić rannych; połowę czasu spędzali na pijatyce i ogrzéwaniu się naokoło polowego ogniska; a spożywając najlepsze wiktuały przywiezione z sobą, krzyczeli jak sępy, jak kruki, na niedbalstwo administracyi, która im jeść nie dawała.

Zaledwie śmiém przyznać się do tego, co jednakże jest prawdą, że do téj patryotycznéj czynności musiano wyrzec się usług gwardyi narodowéj. Czy piérwsze próby w téj mierze się nie powiodły, czy téż nie znaleziono dość energicznego człowiego, któryby umiał silną dłonią utrzymać porządek między obywatelami wezwanymi do téj służby, nie wiem, to jednak pewna, że gwardziści więcéj tu przeszkadzali niż pomagali, a niektórzy nawet skandalów się dopuszczali. Mnię samego proszono jednego razu, bym ofiarował ambulansom *Prasy* usługi dobrowolne pewnéj kompanii gwardzistów, za którą mógłem ręczyć.

— Nie, odpowiedziano mi, gdybyśmy tych przyjęli, niepodobnaby nam było odmówić wielu innym krzykaczom, którzy tylko w słowach umieją się poświęcać. Wolimy już trzymać się bra-

ciszków Szkół chrześciańskich; jest ich mało, to prawda, ale są posłuszni: to punkt najważniejszy.

Inny rodzaj nieporządku zakradał się przy sprowadzaniu rannych do Paryża. Nigdy tak nie było, ażeby intendentura wiedziała naprzód, ile w każdym ambulansie znajdowało się łóżek niezajętych, a ztąd, dokąd wypadło odesłać rannego, stosownie do stopnia niebezpieczeństwa jakie mu groziło. Trzeba więc było zanieść go najpiérw do ambulansu centralnego, zkąd po długiém oczekiwaniu, odsyłany bywał do jednego z ambulansów szczegółowych. Lecz, niestety! zdarzało się najczęściej, że w tym ostatnim nie było miejsca. Konwój przeto szedł daléj i nieszczęśliwy chory pukał nieraz do drzwi kilku ambulansów napróżno. Byłby lepiéj wyszedł, gdyby go Prusacy byli podnieśli z pola bitwy.

Jeszcze gorszym był los żołniérzy, chorych na jaką słabość, którą uważano za zaraźliwą. Intendentura nie urządziła dla takich chorych ambulansów specyalnych, ani też nie wyznaczyła odpowiednich szpitali; tragarze nie wiedzieli co z nimi począć, wszystkie drzwi zamykano im przed nosem. Przykre wynikały ztąd sceny. Gdy do jednego z ambulansów wniesiono gwałtem żołniérza chorego na ospę, naczelny lekarz kazał usunąć wszystkich z tego ambulansu i zamieścił w ga-

zetach list otwarty, zwalający na intendenturę winę za skutki, jakie ten krok jego może za sobą pociągnąć.

Nieprzezorność i nieład, oto były, od samego szczytu aż do podnóża francuzkiéj administracyi, przyczyny naszych klęsk i naszych nieszczęść. Tutaj, na szczęście, osobiste miłosierdzie wszystkiemu zaradzało. Miłosierdzie to w Paryżu podczas oblężenia okazało się nadzwyczaj rozległém, zręcznem, szczerém, gorącém; nie starczyłoby mi pięknych epitetów, gdybym je zechciał dokładnie scharakteryzować. Litość Paryżan umiała nagiąć się do wszelkich potrzeb, przybrać wszelkie kształty. Nigdy ludzie nie ponieśli tyle strat i nigdy tyle dobrego nie świadczyli jedni drugim. Nie było dobroczynnego dzieła, któreby napróżno odwoływało się do publiczności. Szpitale i ambulanse miały aż do zbytku bielizny, serwet, ręczników i t. d.

— Mam przynajmniéj na dziesięć lat szarpi, mówił do mnie dr. Mallez, naczelny lekarz ambulansu w *Komedyi Francuzkiéj*, a koszulami to mógłbym całe moje *quartier* obdzielić.

Gdy się zaczynały zimna, utworzono stowarzyszenia pomocy w dostarczeniu żołniérzom odzieży; jak tylko pojawiło się o tem w gazetach ogło-

szenie, sukno, flanela, barchan, posypały się jakby z rogu obfitości.

Po wielkich bitwach pod Villiers i Champigny obawiano się, czy nie zabraknie łóżek dla rannych i dlatego odwołano się do Paryżan, czy nie rozbiorą pomiędzy siebie rekonwalescentów, dla ustąpienia miejsca nowo przybyć mającym. Nazajutrz podano w tym przedmiocie przeszło 20,000 próśb do prefektury.

Prócz tego otwierały się na wszystkie strony prywatne biura, jużto celem żywienia biédnych, jużto celem dostarczania im pracy.

Paryżanki zasługiwały na cześć najgłębszą przez swoją gorliwość i swoje poświęcenie. Każda bez wyjątku należała albo do jakiegoś ambulansu, albo sprzedawała tanią żywność ubogim, albo ich odwiédzała w mieszkaniach. Powstało i między niemi mnóstwo stowarzyszeń, z ktorych najsławniejsze *Sióstr Francyi.* Przytaczam je za wzór, nie dlatego żeby ono miało oddać więcéj niż inne usług, albo większém odznaczyć się poświęceniem, tylko po prostu dlatego, że trzeba któreś przytoczyć, albowiem w takiém opowiadaniu szczegóły jedynie zajmują, a mówiąc o wszystkich, niepodobna wyjść z poza obrębu ogólników. Można będzie po naszym opisie przypo-

mnieć sobie słowa Wirgilego: *ab uno disce omnes* (z tego przykładu jednego, sądź o wszystkich innych).

Założycielem i organizatorem *Sióstr Francyi* był p. Emil Barrault. Należał on do cywilnego Komitetu obrony i co dzień przesuwało się mu przez ręce mnóstwo projektów, jeden od drugiego dziwaczniejszych. Na jedném posiedzeniu zajął uwagę jego list pewnéj damy, napisany bardzo żywo i z uczuciem, w którym korrespondentka skarżyła się, że z pomiędzy tylu sił społecznych, zostawia się na uboczu jednę z najpotężniejszych, najskuteczniejszych, siłę kobiéty. Żądają od obywatela usług żołniérza; dla czegóż nie powołują jego żony na praczkę, opiekunkę chorych, rozdawczynię żywności lub szwaczkę? Dlaczego nie żądają od nich posług, do których natura je stworzyła?

Odwołać się do administracyi o *rekwizycyą* posług kobiécych, niepodobna! Cała Francya wybuchłaby na to śmiechem, chociaż myśl-to wcale już nie śmiészna. Czyż atoli nie można uorganizować świeckiego zakonu ochotniczek, które obowiązałyby się słownie lub piśmiennie na swój honor, że będą słuchały rozkazów władzy że wszystko zrobią czego się od nich zażąda, i że dopiéro po wojnie zostaną ze swego zobowiązania zwolnione?

Ta myśl dała początek *Siostrom Francyi:* są to poprostu szarytki, czasowe i świeckie.

P. Barrault zajął się bardzo szczerze tą organizacyą. Nie potrzebuję, zdaje się, i nadmieniać, jaka-to była trudna sprawa, ile napotykała przeszkód. Ochotniczek nie brakowało, ale nie można było przyjmować nikogo prócz kobiét nieskażonéj moralności; odsuwało się nieraz i takie, które z zapałem brały się do dzieła, ale wkrótce ich entuzyazm znikał. Trzeba było nareszcie zapobiedz wszelkim nadużyciom w zbiéraniu składek, a nawet zupełnie ich zaniechać, wystarczać samym sobie.

Większą część tych trudności usunięto. P. Barrault pukał do drzwi wielu domów, znalazł niektóre lokale puste i postarał się, że właściciele pozwolili mu zamienić je na ambulansy. Poobsadzał w nich swoje neofitki, zaleciwszy im, by się postarały w sąsiedztwie o łóżka, o lekarstwa, bieliznę i pościel. Składek piéniężnych najsurowiéj zbiérać zabronił. Jedną z reguł stowarzyszenia było, że siostry muszą żyć z własnych swoich funduszów.

Instytucya rozwijała się coraz pomyślniéj. Liczyła 30 ambulansów ruchomych i stałych; jedne z nich przeznaczone dla rannych, inne dla chorych, nawet zaraźliwie chorych. Każdy taki ambulans

ma do posługi pewną liczbę siérot, które ciągle w nim siedzą, we dnie i w nocy, zmieniając się co 24 godzin. Nie mają jednostajnego ubrania; noszą się zwykle szaro, z krzyżem genewskim za całą ozdobę. Jest między niemi kilka kobiét wielkiego świata, większość mieszczanek; niektóre już w podeszłym wieku, mają synów w armii, a opiekując się obcymi, wywdzięczają się może z góry matkom, które kiedyś będą miały o ich synach staranie; inne młodsze (niżéj 25 lat nie przyjmowano), pozbawione przez wojnę zwykłego zajęcia, szukają w trudach ciała rozrywki dla zasmuconéj duszy; inne jeszcze, ożywione wewnętrznym ogniem miłosierdzia, nie znajdują w poświęceniu się nic więcéj prócz przyjemności samego poświęcenia.

Odwiédziłem wraz z p. Barrault niektóre z tych ambulansów. Nie są one jednostajne, urządzały się bowiem jak mogły i gdzie mogły. Zaletą ich jest mała liczba chorych i świéże powietrze. Okna jednego z nich, leżącego w Montrouge, wychodzą na ogród. W około, nic tylko pustki i samotność. Nigdzie piekarza, korzennika, ani kupca win.

— Jakże się tu żywicie? spytałem siostry, która nas oprowadzała.

— Co rano chodzimy do Paryża po prowizyą, ale najczęściéj żyjemy tylko chlebem rozmoczonym w winie.

Osoba która mi to mówiła, była młodą Angielką i od miesiąca już mieszkała w ambulansie ze swoją siostrą, pod dyrekcyą osoby starszéj, *matki*. Pokazała mi téż konia, którego miały dla przewożenia chorych.

— Ja jestem masztalerzem, odezwała się ze śmiechem.

Tego samego dnia wypuściły z ambulansu dwóch uzdrowionych żołniérzy, którzy ciężką przebyli u nich ospę, i czekały na innych chorych, spokojne, wesołe, śród zajęć tak nowych dla siebie.

We wszystkich tego rodzaju wizytach uderzała mnie jedna okoliczność, mianowicie głębokie uszanowanie, z jakiém były ochotniczki ambulansowe dla przedstawiciela władzy świeckiéj. Księża, którzy organizowali zakony niewieście, byli niezawodnie wybornymi znawcami serca kobiéty; ale mnie się zdaje, że wiara religijna niedostatecznie tłumaczy abnegacyą i poświęcenie, które katolicyzm niedowiarkom przedstawia. Kto wié, czy dobrze i daleko szukając, nie znaleźlibyśmy w człowieku potrzeby poddania się, posłuszeństwa, którą jak chcą mogą pokierować ci, którzy otrzymali dar rozkazywania i posiadają moralną siłę.

Rzecz szczególna! osoba która napisała list do p. Barrault, nie ukazała się wcale w stowarzysze-

niu. Nazwisko jéj męża było trochę skompromitowaném, poproszono ją zatém, by pozwoliła, bez siebie saméj, zużytkować piérwotny jéj pomysł w praktyce. Z westchnieniem zgodziła się na to.

A myśl jéj szczytna i daléj sięga niżby się na pozór zdawało. Co za znaczenie w tém samém zbliżeniu dwóch wyrazów: *Siostry świeckie.*

Kto wié, czy ta antyteza nie mogłaby rozwiązać zagadki wychowania dziéwcząt. Konskrypcya kobiét, któreby przeznaczyły dwa lata swego życia nauczaniu!... Nie śmiéjcie się; to rzeczy poważne, bardzo poważne. Przyszłość zachowuje nam wiele innych niespodzianek.

Kto wié, czy od tego oblężenia nie rozpocznie się dla nas era odrodzenia, czy nadmiar nieszczęść nie będzie dla nas szkołą na przyszłość? Dzięki téj wojnie, dotknęliśmy palcem niejednéj rany naszéj, o któréj nawet istnieniu nie wiedzieliśmy; do nas należy poprawić się, przekształcić Francyą. Wojna także wyprowadziła na jaw niejeden przymiot, któregośmy nawet nie podejrzywali w sobie, a którego nadewszystko prowincya nie spodziéwała się znaléźć w Paryżanach, w tych *ludziach blagi.*

Miałem przyjemność w podnoszeniu tych naszych przymiotów; opisywałem je z większym naciskiem. Przedewszystkiem zaś chciałem czy-

telnikowi dać lepiéj poznać nasze kobiéty, chciałem obudzić w nim większy dla nich szacunek. Są one tylko pokryte werniksem lekkomyślności, ale w gruncie rzeczy są to kobiéty poważne, dobre, poświęcające się, słowem prawdziwie francuzkie.

Jedno zdarzenie, jak najautentyczniejsze, pokaże najlepiéj czém one są.

Pewna staruszka, przed oblężeniem zamożna a nawet bogata, została zupełnie zrujnowaną, gdy Prusacy stanęli pod Paryżem. Odprawiła służącą, sama zajmowała się domem i chodziła codzień czekać w tłumie przed piekarzem i rzeźnikiem. Do téj pory mieszkała ciągle ze swoim synem, który na początku wojny stanął pod bronią. Ciężką boleścią dla niéj była nieobecność ukochanego syna. Żyła, jak gdyby go miała jeszcze, tu, przy sobie, jak gdyby nań patrzyła. Na stole kładła zawsze dwa nakrycia, nieobecnego syna i swoje. A szczupłą żywność dzieliła codzień na dwie części: gdy już swoją spożyła, drugą połowę niosła choréj i także podeszłéj wiekiem sąsiadce.

Robiła to przez ciąg całego oblężenia. Nie mogę sobie wyobrazić nic więcéj delikatnego, nic bardziéj wzruszającego nad miłosierdzie udzielane w ten sposób.

# ROZDZIAŁ OSTATNI.

## Bombardowanie. — Kapitulacya.

### I.

Przed fortem Rosny znajduje się dość rozległe wzgórze, które tenże fort ochrania ogniem swoich dział i zkąd panuje się nad drogą, wiodącą do Chelles: jestto wzgórze Avron *(mont Avron)*.

Od samego początku potyczki, 31 listopada i 2 grudnia zajął je bez wystrzału admirał Saisset, stanąwszy tam z dużym korpusem wojska. Ogniem swoich dział zarzucając pola okoliczne, Saisset pomagał ruchom wojsk naszych, odbywanym jednocześnie. Od téj pory wzgórze to pozostało przy nas, i gubernator zaopatrzył je w duże marynarskie działa.

Posiadanie tego wzgórza pocieszało nas za niekorzystne rezultaty wielkiéj wycieczki.

— Zostaliśmy zmuszeni ustąpić za Marnę, mówiliśmy, to prawda, ale wzgórze Avron zostało przy nas, Prusacy nie mogli nam go zabrać.

Dzienniki zajmowały nas każdego rana opisem ważności téj pozycyi, i roli, jaką ona odegrać może w wypadkach, które się przygotowują. Powinniśmy byli właściwie zrobić jednę uwagę, bardzo prostą: jeżeli posiadanie tego wzgórza zapewnia tak wielkie korzyści, dlaczegóż nie ufortyfikowaliśmy się na niém od trzech miesięcy, skoro mogliśmy to zrobić bezkarnie, pod tarczą fortu Rosny? Lecz nie sięgaliśmy tak głęboko; mówiąc *my*, rozumiem przez to ogół publiczności, który się nie zna wcale na działaniach wojennych i wszystko, co mu opowiadają, uważa za prawdę. Zasypialiśmy przeto spokojnie, przekonani, iż wzgórze Avron piękną było zdobyczą, i że Prusacy nigdy nam go nie odbiorą.

Oddział wojska, zajmujący na tém wzgórzu stanowisko, podzielał to samo słodkie przekonanie. Nasi żołnierze marzli tam z zimna, jeżeli bowiem w Paryżu ciepłomierz spadał do ośmiu i dziesięciu stopni, na otwartém powietrzu zimno dochodziło do stopni dwunastu.

Nagle jednego rana przed dniem, gdy nasi lu-

dzie najniewinniéj w świecie wstawali, by się zabrać do swych zwykłych zajęć, rozległ się straszny huk; jedna, dwie, trzy baterye dały ognia. Kule świszczą w powietrzu i spadają gradem między naszych, granaty pękają, uderzywszy o zmarzniętą ziemię, słowem całe wzgórze zostaje otoczone i porwane trąbą ognia i żelaza. W piérwszéj chwili powstał niewypowiedziany nieład, żołniérze biegają na wszystkie strony, nie wiedząc co robić, wkrótce jednak wszyscy oprzytomnieli; kanonierzy z heroiczną zimną krwią stanęli przy swoich działach, resztę wojska rozmieszczono w miarę możności po transzeach i za naturalnemi tarczami, poczem rozpoczął się pojedynek między naszemi i pruskiemi bateryami. Ten piérwszy dzień był straszny.

Urzędowe sprawozdanie podało wieczorem do wiadomości Paryża, że tylko 8 było zabitych, 50 ranionych; może to było i prawdą, ale moralny skutek wywarła ta wiadomość okropny.

Wszyscy ci, którzy byli świadkami owego bombardowania, nie mówili o niém inaczéj tylko z podziwem i przestrachem. Nigdy nic podobnego nie widziano. Był to nieustanny dészcz pocisków, których kawałki, rozrzucane na wszystkie strony, zabijały ludzi, konie, i zadawały najstraszliwsze rany. Horyzont śniegiem ponuro zasła-

ny, szarym całunem okrywał tę przerażającą scenę. Nie było gdzie się ukryć, kilka rowów prawie żadnego nie dawało schronienia. Wojska odważnie zniosły ten napad, ale natychmiast można było poznać, że się nie utrzymają zbyt długo pod tym bezustannym ogniem, który mógłby wzmódz się jeszcze. Trzeba było cofnąć się, lecz obawa opinii publicznéj stanęła na przeszkodzie. Co powié ta ludność paryzka, tak wrażliwa, tak łatwa do przesady w potępianiu, gdy się dowié, że opuszczono pozycyą, którą jéj przedstawiano jako niezmiernie korzystną? Pozostano więc na miejscu przez noc z 28 na 29, wyobrażając sobie zapewne, że patronka Paryża św. Genowefa zstąpi z nieba i zmusi nieprzyjacielskie działa do milczenia.

Nazajutrz od samego rana bombardowanie rozpoczęło się na nowo, nie tak energiczne wprawdzie jak w przededniu, ale po południu nowe baterye wzięły udział w walce: ośm bateryj na raz zasypywało ten nieszczęśliwy pagórek; jedne strzelały wprost, drugie z boku: tą razą sławne działa Kruppa wyszły na scenę. Umieszczono je poza granicą doniosłości naszych dział; rzucały one niezawodnie kule ważące do stu kilogramów. Nasze kule padały bez żadnego pożytku o 500 kroków przed otworami ich dział. *Telum imbelle*

*sine ictu!* Opowiadają, że nasi oficerowie widzieli przez lunety, jak kanonierowie pruscy kłaniali się każdéj naszéj kuli, która padała tak daleko od nich, i szyderczym gestem palcy na nosie wyśmiéwali się z naszych marynarzy.

Nie można już było utrzymać pozycyi: nie mogli nic zaradzić złemu ani żołniérze piechoty stojący bezczynnie pod gradem kul, ani artylerzyści, których mnóstwo ginęło od nieprzyjacielskich granatów. Zaczekano aż noc nadejdzie, by wydać rozkaz cofnięcia się. Cofanie się to nie było ani łatwém, ani pewném; pociski bowiem nieprzyjacielskie mogły zasypywać drogę odwrotu równie gęsto jak samo wzgórze, i trzeba było w ciągu kilku godzin uprowadzić z sobą wszystkie wojenne przyrządy i zapasy, których ustawienie na wzgórzu trzy tygodnie czasu wymagało. Panowała przytém silna gołoledź. Marynarze okazali się i tu równie dzielnymi jak wszędzie. Zaprzęgali się sami do dział i ciągnęli je po ślizkim śniegu, pod strasznym ogniem Prusaków. Ta szybka ewakuacya była prawie tryumfem. Przyznajcie jednak, że smutną było dla nas rzeczą, nie módz już rachować na inne zwycięztwa prócz szczęśliwych odwrotów. Buletyn oznajmiający nam o tym wypadku sprawił popłoch, który łatwo możecie sobie wyobrazić. Zapowiadał on

*nową fazę* oblężenia i dawał dość jasno do zrozumienia, że tą nową fazą było... bombardowanie. Dodawał wprawdzie, że ta nowa faza oddawna była przewidzianą i że *zmodyfikuje ona obronę, nie szkodząc bynajmniéj jéj środkom i jéj energii.*

Powstała w ludności chwila osłupienia, ale ono ustąpiło wkrótce miejsca przed gniewem. Jakto! od cztérech miesięcy mogliśmy byli zająć wzgórze d'Avron; od miesiąca zajmowaliśmy je jaknajspokojniéj i władza nie zrobiła na niém żadnéj fortyfikacyi, żadnéj transzei, żeby można ukryć się w nich i na stanowisku utrzymać! Ależ Prusacy, którzy zajmowali Bourget nawet pod ogniem fortu Aubervilliers, ufortyfikowali się w niém przez trzy tygodnie do tego stopnia, że wytrzymali nietylko bombardowanie ale nawet i szturm. I po dwóch dniach bombardowania musieliśmy opuścić pozycyą, nie zrobiwszy żadnéj szkody nieprzyjacielowi, nie widząc go nawet! O czémże myśleli nasi jenerałowie, nasi inżenierowie?

## II.

Najwięcéj ze wszystkiego niepokoiła nas ta okoliczność, że Prusacy nagle wprowadzili w ogień tyle bateryj, o których nie wiedzieliśmy do téj

pory. Mogli oni zatém o 5000 metrów od naszych linij dokonać olbrzymich robót, bez najmniejszéj o tém wiedzy naszéj; żaden eklerer nie znalazł się, któryby nam przecie doniósł co się święci. Ah! lecz któż nam zaręczy, że to jedyne baterye, że Prusacy nie urządzili takich samych naokoło całego Paryża i że przy piérwszym dniu nie wystąpią z piekielnym ogniem na całéj linii.

Ognia tego, biorę za świadka całą ludność paryzką, nikt się nie obawiał, nie trwożył, oczekiwano nań z męzką rezygnacyą; ale każdy z podwójném zmartwieniem patrzył w przyszłość, widząc, że nasi wodzowie nic nie przewidzieli, że bombardowanie zaskoczyło ich podobnie jak nas, nieprzygotowanych, chociaż my byliśmy usprawiedliwieni, ciągle bowiem łudzono nas próżnemi illuzyami.

Przebiegaliśmy myślą dzieje wszelkich znanych w historyi oblężeń. I przekonywaliśmy się, że oblężeni zawsze przeszkadzali oblegającym w wykonywaniu robót, że niszczyli nasypy, zagwożdżali działa, że na transzee, wały, paralelle, odpowiadali transzeami, wałami, paralellami, a my nic nie zrobiliśmy, a raczéj nic nam zrobić nie kazano, prócz dwóch czy trzech dla formy wielkich wycieczek. Cóż dziwnego, że nagle spadła na nas

jak piorun ta ogromna ilość bateryj, które jak na scenie wyrosły w jednéj chwili z pod ziemi.

Opisywano nam te baterye z wielu szczegółami w ich dowcipnéj a strasznéj komplikacyi. Były one trzypiętrowe, pokryte silném sklepieniem, które miało chronić je od naszych kul, i ustawione na relsach, tak że mogły zmieniać miejsce i przez to wprowadzać w błąd przeciwnika. Artylerzyści przy tych działach skrywali się jak krety w jamach, artystycznie urządzonych i nigdy nie pokazując się na zewnątrz, żadnemu nie podlegali niebezpieczeństwu.

— Ah! dowcipni!... dodawali zwykle reporterowie opisując te prace.

My zaś nie mogliśmy się wstrzymać, żeby sobie nie zadać wzajemnie pytania, dlaczegóż nasi oficerowie artylleryi nie potrafią być dowcipnymi także! Czemuż oni piérwsi nie wpadli na myśl, tak prostą wreszcie? Czemu zresztą, widząc dowcip przeciwnika, nie okazali dowcipu naśladując go natychmiast? I czuliśmy w głębi duszy pewne upokorzenie z powodu naszéj ignorancyi; specyaliści ruszali ramionami za całą odpowiédź i spoglądali na nas z pyszną pogardą; wściekaliśmy się, nie mogąc ich przekonać że mamy słuszność. Oni nas gubili, to rzecz widoczna; ale téż oni jedni tylko mogli nas jeszcze ocalić?

Byliśmy dość rozsądni by to zrozumieć i powtarzaliśmy im, załamując ręce, to z czułością, to z goryczą, to z rozpaczą a nawet z gwałtownością:

— Róbcież cośkolwiek... nie wiemy co... co chcecie... ale, na Boga,... róbcież coś!

Zróbże coś! powtarzali jenerałowi Trochu jego doradcy, przyjaciele, a nawet koledzy, którzy czuli, nie bez pewnéj niespokojności, że oburzenie ludu wzrasta. Rozeszła się po mieście pogłoska o ważném nieporozumieniu, które z tego powodu miało wybuchnąć między członkami rządu; a Trochu, który nigdy nie szczędził proklamacyj, chwycił zaraz za pióro i pisał, pisał, pisał...

„Oznajmiam niniejszém, mówił w jednéj odezwie, że wszyscy członkowie rządu ściśle są zjednoczeni w obec niebezpieczeństw kraju, nadzieją i zamiarem oswobodzenia go.“

Inną razą wymknęło się mu to nieszczęśliwe wyrażenie osobistéj amfazy:

„Bądźcie spokojni: gubernator Paryża nie będzie kapitulował.“

Czytając te dziecinne przechwałki, zanadto bretońskie, niecierpliwość brała. Tu nie chodziło przecie o gubernatora Paryża, tylko o miasto. Wielkaż mi łaska dla nas, że odmówi podpisu pod kapitulacyą, jeśli będziemy zmuszeni do niéj!

Partya radykalna, która czyhała na każdą sposobność wychylenia się naprzód, zrozumiała że to tajone niezadowolenie może oddać jéj znakomite przysługi. Zaczęła znów przebąkiwać o swojéj wiecznéj Kommunie. Nie miała już teraz wielkiego w dziennikach poparcia; jéj gazety prawie nie były czytane. Zaczęła więc walczyć przez afisze; jeden z nich, koloru krwi, wzywał ludność do buntu, oskarżał rząd o zdradę, a burżoazyą o tchórzostwo. Ci którzy mieli w ręku siłę, sądzili że im wypada ostro wystąpić; publiczną tedy proklamacyą oznajmili, że zarządzoném zostało śledztwo przeciw autorom buntowniczego plakatu. Lecz wiadomo jak to się zwykle robią takie rzeczy; główni przywódcy nie wysuwają się naprzód; władza chwyta zwykle tylko drugorzędne, podstawione umyślnie figury.

Znaczna ilość merów sprzyjała Kommunie. Nie byli-to wcale najczynniejsi i najzręczniejsi z urzędników administracyi. Zebrali oni zgromadzenie merów, na którém miano roztrząsać kwestye odnoszące się do prowadzenia oblężenia i przedstawić swoje żale rządowi. Te żale wprędce zmieniły się na rozkazy. Kommuna, zwyciężona na ulicy, chciała teraz wcisnąć się powtórnie przez uchylone drzwi wątpliwéj legalności.

— W obecnych okolicznościach, mówili, my

sami jesteśmy przedstawicielami głosowania powszechnego. Ono-to nadało nam władzę; członkowie rządu zawdzięczają *swoją* tylko rewolucyi.

— Zostaliście wybrani, to prawda, odpowiadaliśmy na to, ale w pewnym oznaczonym celu; zajmujcie się więc swojemi obowiązkami. Jesteście municypalnymi urzędnikami, trzymajcie się swojego kopyta. Roboty wam nie braknie.

Długo jeszcze mogła trwać taka dyskussya, nikt bowiem ustąpić nie chciał i nikt nie mówił o co mu mianowicie chodziło.

— Chcę mieć władzę, powinien był powiedzieć piérwszy lepszy z jednego stronnictwa.

— A ja, mógł był odrzec przeciwnik, nie chcę żebyście ją posiedli, jeszcze mniéj bowiem mam do was zaufania, niż do tych którzy teraz władzę mają w ręku. Nie myślę bynajmniéj, używając trywialnego ale silnego wyrażenia, zamieniać siekiérki na kijek.

Nieporozumienia te, wybuchłe tak nie w porę, zdawały się zapowiadać nowe *journée*. Widoczną było rzeczą, iż demonstracya tego rodzaju, groźna, niebezpieczna, nastąpi skoro tylko jakie silne wrażenie publiczne dostarczy jéj sposobności do wybuchu, a ta perspektywa, tak bolesna i przykra, powiększała jeszcze niepokój wywołany przez bombardowanie.

## III.

Bombardowanie postępowało coraz gwałtowniéj i nie ustawało na chwilę. Z początku ograniczało się ono na fortach wschodnich t. j. Rosny i Nogent, potém potrochu zaczęło się rozciągać i na południowe, na Montrouge, Bicêtre, Issy; daléj na północno-wschodzie zwróciło się na Aubervilliers i już tylko co miało się zacząć na północny fort Saint-Denis.

Ciągle odbywała się kanonada, do któréj zwolna zaczęliśmy się przyzwyczajać. Niektóre strzały głośniejsze przerażały nas jeszcze, ale uspakajano się myślą, iż to były strzały któregoś z naszych dział marynarskich, wyrzucających gradem kule na Prusaków.

Codzień rano, biorąc dziennik do ręki, szukaliśmy sprawozdania z wyrządzonych w przededniu szkód; raporta urzędowe były bardzo uspakajające. Donosiły nam, że nasze forty doskonale się trzymają i że ten ulewny dészcz pocisków, zaledwie słabo kaléczy ich mury. Straty w ludziach były także nieznaczne. Opowiadano nam, że co minuta spada prawie trzydzieści granatów, a w końcu donoszono, ze zabitym został tylko jeden człowiek i dwóch zostało rannych. Wszyst-

ko to mogło być prawdą; bombardowanie bowiem więcéj przestrasza, niżeli rzeczywiście szkód wyrządza; lecz, na nieszczęście, nie wierzyliśmy już bardzo naszym panom rządzącym. Złapaliśmy ich kilkakrotnie na gorącym uczynku kłamstwa. Przytoczę tylko jeden świéży przykład. Kiedyśmy się cofali z Mont-Avron, rząd nam mówił i powtarzał, że to cofnięcie się niéma prawie żadnéj wagi; Prusacy bowiem nie mogą zająć pozycyi opuszczonéj wprawdzie, ale znajdującéj się pod ogniem fortu Rosny. Naturalnie, żeśmy temu uwierzyli; aż dopiéro jednego dnia, przerzucając numer *Moniteur prussien de Seine-et-Oise*, który przypadkiem dostał się nam w ręce, czytamy, że nieprzyjaciel zajął owo wzgórze Avron.

Bah! pomyśleliśmy sobie, to jedna z tych przechwałek, jaką się zwykli odznaczać junkry pruskie... Aż tu nazajutrz dwa raporta wojenne, podpisane przez jenerała Schmitz, mówią nam, że „nasze wojska odbywają wielkie rekonesanse ku Mont-Avron, że zabiérają niewolników, że wypędzają pruskie forpoczty, że burzą mur, za którym nieprzyjaciel ukrywał się we dnie!"

Skoro chwytają jeńców na wzgórzu Avron, to znaczy, że się tam muszą znajdować Prusacy. Konsekwencya jasna. Była ich tam bardzo mała liczba, być może! nie mogli nam zrobić nic złego,

to prawda! ale w każdym razie byli tam; więc téż mówiliśmy sobie na ucho, że lepiéj było odrazu to wyznać, że takie drobne bajeczki, mydlenie oczu, było bardzo niedorzeczne, że to zmniejszało powagę rządu, osłabiając zaufanie ludności.

Nie oświadczono nam stanowczo, ale pozwolono domyślać się, ze bombardowanie nas nie dosięgnie, że się ograniczy na obsypywaniu fortów kulami armatniemi i granatami, że nawet może sięgnąć do muru opasującego, ale nigdy do samego miasta. Mówiłem już w poprzedzającym rozdziale, zkąd wyrodziły się nasze illuzye w tym względzie i zkąd wzrosły aż do tego stopnia, że się stały pewnością. Trzeba było wkrótce je stracić. Piątego stycznia Paryż zobaczył poraz piérwszy pruskie granaty. Spadło ich kilka na ogród luxemburgski i na cmentarz Montparnasse. Szkołę normalną przy ulicy d'Ulm, targ na konie, bulwar d'Enfer, ulicę Saint-Jacques, spotkał także ten zaszczyt. Z początku, między ludnością nastała chwila zwątpienia.

— Oni to robią umyślnie, mówili jedni, celują do kopuły Panteonu i wieży Nôtre-Dame.

— Wcale nie, odpowiadali drudzy, to pomyłka, prosty przypadek! któż bombarduje miasto, bez uprzedzenia o tém władz rządowych? to tylko zabłąkane granaty. Pozycye, zajmowane przez

Prusaków, są zbyt zbliżone do naszych murów; dlatego też, jeśli armaty są nastawione pod kątem zanadto rozwartym, chybiają celu i kule ich spadają na nasze domy.

Tak rozumowali dobroduszni. Jakże mało, pokazuje się, znali tych północnych barbarzyńców, tych Wandalów, których Louis Blanc w swoim krasomówczym stylu porównywał do Mohikanów, którzyby ukończyli szkołę politechniczną.

Wkrótce złudzenie znikło. Nie byłyto zabłąkane granaty. Grad pocisków sypnął się na miasto, na stolicę nowoczesnéj cywilizacyi; pominięto prawo narodów. Bismark nie uprzedził nas; czyż zwyciężeni mogli miéć do tego prawo? Ciało dyplomatyczne, przebywające w Paryżu, protestowało przeciw pogwałceniu praw Bożych i ludzkich; kanclerz odpowiedział im:

— Francuzi winni sami, oni to nierozsądnym oporem doprowadzili nas do takiéj ostateczności! Umywam ręce od wszystkiego.

Byłato nasza wina w istocie! Dlaczegóż opieraliśmy się tak długo? dlaczegóż sami nie wyciągnęliśmy rąk, by nam je okuto w kajdany? dlaczego nie poddaliśmy się sromocie? Tak, byliśmy winni, rozdzierając do tego stopnia serce dobrego Wilhelma, uporem zmuszając go, by nam tak wiele złego wyrządził! On był tém przejęty; ale cóż!

ofiarowywał nasze cierpienia bogowi wojny, który się nim zawsze opiekował i dopomagał mu! On brał za świadka swoją *kochaną Augustę*, i *naszego Fritza*, i cały naród niemiecki, wielki naród niemiecki!....

Wielki naród niemiecki musiał wydać okrzyk radości! On to bowiem nieprzepartym naciskiem opinii publicznéj doprowadził do bombardowania. Dzienniki i listy prywatne (mieliśmy ich dosyć od niewolników i trupów pruskich) nie przestawały powtarzać na wszystkie tony: Cóż to! jeszcze nie bombardujecie? Dlaczegóż opóźniacie się tak z bombardowaniem? Czyż waleczne wojsko niemieckie cofnie się przed myślą bombardowania? O czém myślą nasi jenerałowie?

Byłto jednozgodny krzyk w całéj téj, dobréj, płowéj, uczciwéj Germanii: krzyk zazdrości więcéj jeszcze niż nienawiści. Paryż jéj przeszkadzał. Czuła ona dla niego tę okrutną nienawiść, jaką szpetna kobiéta żywi w sercu dla pięknéj dziewczyny. Nalałaby mu witryoleju na twarz; byłaby swojemi głupiemi nogami podeptała i zgniotła jego piękne i czarujące rysy, aby go ukarać za to, że jest wspaniały, przyjemny, kochany, wielki, i aby uczynić go sobie podobnym.

Jeden z ich dzienników, *Gazeta Krzyżowa*, jeżeli się nie mylę, który nam przypadkiem dostał

się w ręce, napisał w tym przedmiocie długi artykuł, którym usiłował hamować słuszną niecierpliwość swoich współziomków:

„Bądźcie spokojni, mówił im; nastąpi bombardowanie, ale Bismark wié co robi; jestto człowiek zręczny, czeka on na chwilę psychologiczną“.

I autor w dalszym ciągu objaśniał, co rzeczywiście rozumiał przez chwilę psychologiczną. Z uroczystą pedanteryą niemieckich formuł, dowodził, że bombardowanie niéma innego celu jak tylko działać na imaginacyą, a trzeba było właśnie wybrać chwilę, gdzie ta imaginacya była najłatwiejszą do zachwiania się; daléj dawał do zrozumienia, że ta chwila jeszcze nie nadeszła, że byłoby dobrze, gdybyśmy najprzód doznali głodu, potém wojny domowéj, i że bombardowanie, wówczas wymierzone, mogłoby odnieść skutek, jakiego mają się prawo spodziéwać. To właśnie miała być *chwila psychologiczna*!

Wszystko to wypowiedział tonem nauczycielskim, stylem poważnym i zarozumiałym, po którym Henryk Heine poznałby natychmiast swojego Berlińczyka.

Możecie sobie wyobrazić, jak się śmiano u nas z téj *chwili psychologicznéj*. Wyrażenie to stało się modném, nawet w potocznéj mowie. I tak mówiono:

— Chce mi się jeść, jestto moment psychologiczny siadania do stołu.

Ilekroć ktokolwiek niezręcznie się odezwał, wymawiano mu, że nie schwytał momentu psychologicznego. Umieszczano ten moment psychologiczny w śpiéwach i karykaturach. Tak, że kiedy piérwszy granat spadł na ulice Paryża, wszyscy wołaliśmy śmiejąc się:

— Patrzaj, im się zdaje, że nadeszła już chwila psychologiczna!

A jednak! nie! prawdopodobnie nie była to jeszcze chwila psychologiczna. Obawiam się, aby opowiadając wrażenie, z jakiém Paryżanie przyjęli tych niemiłych gości, kule i granaty, nie być posądzonym o przesadę a nawet kłamstwo. Zaręczam jednak, że i tu powiem prawdę, tak jak starałem się ją mówić wszędzie. Jakkolwiek dziwném wyda się to opowiadanie, jest jednakże zupełnie dokładném; widziałem wszystko, widziałem własnemi oczyma, a jeżeliby kto wątpił, odeślę go do wszystkich ówczesnych dzienników, które zasługują na wiarę.

Bombardowanie, rzecz dziwna, zamiast postrachu, budziło raczéj ciekawość w ludzie paryzkim. Tłumy biegły przypatrywać się widowisku nieznanemu im dotąd. Nikt nie słyszał jęku ani krzyku trwogi. Przeciwnie, byłyto wybuchy żar-

tów i śmiéchów, słowem ten zwrot umysłu właściwego tylko Paryżanom, który nazywa się *blague* a który teraz *fit merveille*, dokonał cudu, jak niegdyś szaspoty pod Mentana.

Chmara uliczników i uboższéj klassy ludzi czatowała na spadnięcie granatu. Zaledwie się rozpęknął, rozchwytywali odłamy jeszcze ciepłe i sprzedawali je na pamiątkę oblężenia. Ustanowił się pewien rodzaj giełdy, gdzie kawałki granatów były cenione podług ich objętości lub téż nadzwyczajności kształtu. Im cieplejszy był odłam, tém drożéj go płacono. Przy zbiéraniu ich popełniano wiele niedorzeczności; co jeszcze bardziéj zaostrzało niecierpliwość tłumu. Jak tylko granat zakopał się w ziemię, mężczyzni, kobiéty, dzieci, wszystko biegło by go zobaczyć.

Rząd zmuszony był cyrkularzem zabronić Paryżanom gromadzenia się po miejscach gdzie padały bomby. Dowodził bowiem, że granat padając w oznaczone miejsce, pociąga za sobą drugi a po drugim następuje trzeci, i że przez płochość narażają się niepotrzebnie na niebezpieczeństwo, tak samo, jak gdyby kto podczas dészczu chronił się pod rynnę. Lud przeczytał odezwę na rogu ulic, przyznał jéj słuszność, nikt jednak nie stosował się do niéj. Takato już jest natura prawdziwego Francuza. Pomiędzy żarcikami, będącemi

na czasie, jest jeden, który trąci ulicznikiem paryzkim, a który jest prawdziwie śmiésznym:

Uczono nas, że jak tylko kto usłyszy znaczące gwizdanie, jakie zawsze towarzyszy granatowi, powinien paść twarzą na ziemię, aby odłamy jego roztrzaskujące się nie zraniły go.

Kiedy jaki *ouvrier* lub chłopak uliczny zobaczył odważnego *bourgeois*, tłustego, z ogromnym złotym łańcuchem od zégarka, przechodzącego ulicą, który dopatrywał okiem czegoś w powietrzu, wtedy psotnik czekał aż pan mieszczanin nadejdzie nad kałużę błota, i wówczas:

— Strzeż się! granat! krzyczał z całych sił.

*Bourgeois*, jakby uderzony iskrą elektryczną, wyciągał się jak długi nosem w błocie i dopiéro po ogólnym wybuchu śmiéchu, powstawał zawalany i niepodobny do ludzi.

Co przyczyniło się do utrzymania tego ducha wesołości, to ta okoliczność, że, w istocie, bombardowanie, jeżeli może zniszczyć małe miasteczko, którego domy drewniane zbliżone są do siebie, to znowu jest wcale nie groźném dla wielkiego miasta, poprzerzynanego szerokiemi bulwarami, pustemi placami, skwerami i ogrodami, gdzie domy prywatne, prawie wszystkie z ciosowego kamienia, podobne są raczéj do cytadell swoją wielkością i oporem. Granat, spadający na jeden

z takich domów, przedziurawiał parę sufitów, zrządzał szkody, ale szkody niewielkie, dające się naprawić. Ażeby zniszczyć taki dom, trzeba było setki granatów, wszystkich skierowanych na jedno miejsce; co do zniszczenia jakiéjś całéj dzielnicy Paryża, byłoto przedsięwzięcie nierozsądne i niemożebne.

Jakkolwiek Prusacy mieli wielkie zapasy żelaza i ołowiu, jednak nie mogliby byli tego nigdy dokonać, chociażby nawet przeznaczyli na to dziesięć miesięcy czasu. Prócz wystaw sklepowych i ruchomości, nic nie było jeszcze silnie uszkodzoném. Odwiédzający nad ranem dzielnicę *Łacińską,* na którą dészcz granatów całą noc spadał bez przerwy, dziwili się, jak małe szkody sprawiło to bombardowanie. Mury podrapane, szyby potłuczone, dachówki porozrzucane na trotoarze, tu i owdzie drzwi oderwane, otwór zrobiony w ziemi, oto było wszystko. Aby zobaczyć prawdziwe ruiny, trzeba było udać się na samo miejsce, gdzie spadła bomba. Tam nawet, szkody wzniecały więcéj ciekawości niż przestrachu, a najlepszy dowód jak się na to wszystko zapatrywali Paryżanie, macie w tém, że pewien kupiec win na przedmieściu Auteuil, którego dom ugodzony został kilkoma pociskami granatów, napisał na swoim szyldzie wielkiemi literami „*Au*

*rendez-vous des obus*“ i tłumy ludzi przychodziły do jego zakładu.

## IV.

Prusacy zupełnie chybili celu, jeżeli mieli zamiar rozsiać między nami postrach. Nigdy zato nie będę w stanie opowiedzieć dokładnie, ile wzbudzili gniewu i oburzenia na siebie. Nieszkodliwość bombardowania uwidoczniała i jeszcze jaśniéj wykazywała całą szkaradę tego postępowania. Wojna ma swoje wymagania, to pewna.

Pułk staje w mieście, zabijają mu kilku żołnierzy, władza dla ukarania pali wieś całą. Jestto niegodziwość, zapewne, ale przynajmniéj daje się wyjaśnić a nawet wytłumaczyć potrzebą bezpieczeństwa dla wojska w drodze. Do czego jednak posłużyło bombardowanie? W czém posunęło oblężenie? Sztab pruski wiedział o tém dobrze, że nasze zapasy miały się ku końcowi, że głód sam otworzy im, pomimo naszéj woli, bramy miasta. Było to więc bez celu, bez pożytku, tylko li dla przyjemności niszczenia; by zrobić sobie i dyletantom świata przepyszny widok wielkiego Babilonu, niszczonego żelaznym deszczem? Na tę jednę myśl serce nasze napełniało się oburzeniem i pogardą.

Jeżeli szkody materyalne nie były tak wielkie jak się tego spodziewali nasi Wandalowie, to za to mnóstwo było osób ranionych lub zabitych, szczególnie między ludnością, któréj wiek i płeć nie pozwalały nosić broni. Mężczyzni przepędzali noce i dnie na wałach, pod zasłoną przekopu, o który granaty odbijały się, i tym sposobem nie szkodziły im wcale. Ci nawet, których służba zatrzymywała w domu, łatwiéj mogli opuszczać je na noc, niż kobiéty, starcy lub dzieci.

Co rano dzienniki wyliczały nam smutne wypadki zabicia lub ranienia w dniu poprzedzającym: tu matka z niemowlęciem na ręku, tam dziécię ugodzone w kołysce, tu znów kilka kobiét powalonych w chwili, gdy czekały na żywność, a ileż poodrywanych rąk i nóg, lub roztrzaskanych piersi dużemi odłamami żelaza.

Cały Paryż wstrząsł się od grozy, wyczytawszy w gazetach ogłoszenie:

„Państwo Legendre oznajmiają przyjaciołom i krewnym, że dwie ich córeczki, trzyletnia Alicya i ośmioletnia Klemencya, zmarły ugodzone pruskim granatem.“

Bomba padła w dom świętego Mikołaja, jeden z największych zakładów naukowych publicznych w stolicy, i zabiła pięciu chłopców od lat dwunastu do cztérnastu. Inna znowu przebiła dach

w pensyonie panien, zgniotła na miejscu dwie dziewczynki, raniła bardzo wiele innych. Liczny orszak pogrzebowy odprowadzał zwykle te ofiary na cmentarz, a przy pochowaniu uczniów od św. Mikołaja, Juliusz Favre wyraził w pięknéj mowie boleść całéj ludności paryzkiéj.

Bomby pruskie jakby umyślnie padały tam, gdzie najwięcéj mogły sprawić żałoby. Prusacy z tak daleka mogli strzelać tylko na chybi trafi. Ale fatalność niepojęta zrządzała, że bomby sypały się najzażarciéj na muzea, biblioteki i szpitale. Wiadomo jak bogate jest nasze miasto, zwłaszcza lewy brzeg rzeki, w różne dobroczynne zakłady, a jeszcze więcéj przybyło ich podczas oblężenia. Co dnia téż czytano protestacye najsławniejszych lekarzy, przeciw morderstwu rannych. Najwięcéj padało bomb na szpital wojskowy Val de Grace. Jenerał Trochu kazał tam przenieść rannych jeńców i uwiadomił o tém Moltkego. Zauważono wkrótce, iż odtąd bomby pruskie omijały to miejsce. Następnie granaty zaczęły padać z zaciętością na ambulanse urządzone w pałacu luksemburgskim, trzeba było powynosić chorych z łóżkami. Jardin des Plantes poniósł nieobliczone straty. Z cieplarni, w których znajdowały się najznakomitsze rośliny w świecie, pozostały tylko niekształtne kawałki szkła i odłamy bomb lub że-

laza, a czcigodny i zasłużony w nauce dyrektor tego zakładu, pan Chevreul, napisał deklaracyą, którą podpisali wszyscy członkowie akademii nauk.

Oto słowa tego aktu, zachowanego ku pamięci przyszłych pokoleń:

„Ogród *roślin lekarskich*, założony w Paryżu na mocy edyktu króla Ludwika XIII pod datą 3 stycznia 1636 roku, zamieniony w muzeum historyi naturalnéj 23 maja 1794 roku, zbombardowany był przez wojska pruskie pod panowaniem Wilhelma I króla pruskiego i hrabiego Bismarka kanclerza, w nocy z dnia 8 na 9 stycznia 1871 roku. Dotąd szanowały go wszystkie stronnictwa i wszystkie władze, tak narodowe jako i obce.“

Szczególnie oburzało Prusaków to, że wyrażając się o nich, nazywaliśmy ich barbarzyńcami. Jakżeż jednakże mieliśmy ich nazywać? Barbarzyńcami byli Rzymianie, kiedy rabowali lub oddawali na pastwę płomieni skarby Koryntu; a oni, ci następcy Atylli, czyż nie zasługiwali na miano barbarzyńców, oni, którzy bez potrzeby, wzgardziwszy prawami ludzkości i przywilejami sztuki, szerzyli łupieztwo i spustoszenie w tém mieście, pełném arcydzieł; którzy druzgotali swojemi przeklętemi bombami tę szkołę lekarską i tę Sorbonę, gdzie przyjeżdżali czerpać naukę, z któréj tak się

dziś pysznią; i te biblioteki, w których znajdowali gościnność, tak bezinteresowną, tak rozległą!

Europa cała oburzyła się i oświadczyła to oburzenie przez usta swych reprezentantów. Ale cóż szkodziły zuchwałemu zwycięzcy, upojonemu tryumfami, przestrogi, wypowiadane w dyplomatycznych frazesach. Odpowiadał na nie z brutalskim cynizmem, a jego odpowiédź da się streścić w następujących słowach:

„Nie mięszajcie się do tego, co was nie obchodzi.“

I bombardowanie nie ustawało, a piérwotne żartobliwe usposobienie ludności, zamieniło się zwolna na rezygnacyą, dumną i obojętną. Przebiegałem często przez dzielnice miasta, dotknięte bombardowaniem: życie ich nie zmieniło się w niczém; z uczuciem smutnego uwielbienia, patrzałem na te tłumy ubogich gospodyń, czekające pod pociskami granatów, na kawałek czarnego chleba. Nie śmiały się, nie żartowały, bo to byłoby za nadto. Nie posłyszałem jednak ani jednego szemrania, ani jednéj skargi. Cierpiały w milczeniu, z bohatérską prawie wytrwałością, gotowe na najcięższe ofiary, byle się tylko nie poddać. Kto nie widział tego, ten niéma wyobrażenia o ludności paryzkiéj, ten nie wié, ile ona posiada poświęcenia, prawdziwego patryotyzmu i zaparcia

się siebie. Widok tych nieustraszonych kobiét, dziwnie przejmował serce: łzy mimowoli cisnęły się do oczu.

Rząd ułatwił uboższym rodzinom środki przeprowadzania się w strony miasta mniéj zagrożone, prócz tego mieszkańcy z drugiéj strony Sekwany, którzy mieli przyjaciół na prawym brzegu rzeki, ofiarowywali im chętnie gościnność, rząd nawet otworzył dla mniéj zamożnych koszary, urządził mieszkania i namioty; lud jednak, przywiązany do swoich kątów, nie rad się z nich oddalał; wiele rodzin pozostało w domu bądźcobądź. Trudno mi określić dokładną ilość tych emigrantów, to tylko wiém, że w dzielnicy *Latin* ludność prawie wcale się nie zmniejszyła. Obawiano się, czy przy gorączkowém podnieceniu umysłów, przy ciemnocie panującéj na ulicach, a do tego przy braku policyi, opuszczone domy nie będą narażone na łupieztwo. Obawa okazała się płonną: w tych smutnych czasach, w części miasta napół wyludnionéj, nie było nigdzie ani kradzieży, ani mordów, wszystko było spokojném, jak w najszczęśliwszych czasach cesarstwa.

Co także przyczyniło się do utrzymania dobrego humoru Paryżan, to przekonanie, że wszystko idzie jak najlepiéj poza liniami pruskiemi. Od 20 grudnia do 8 stycznia nie mieliśmy żadnéj urzędo-

wéj wiadomości. Ostry mróz zatrzymał w drodze gołębie, które tylko podczas ciepłéj pogody mogą odbywać swe podróże. Dzienniki pruskie, zdobyte na nieprzyjacielu, użalały się również na brak wieści dokładnych. Te dzienniki, które obracały naturalnie wszystko na korzyść wojsk niemieckich, nie mogły jednak utaić przed nami, że kraj, raz zacząwszy powstawać całemi siłami, nie zatrzymywał się w swoich postanowieniach.

Z trudnością mogliśmy zaledwie cośkolwiek wydobyć przyjaznego naszéj sprawie, zpośród ich opisów pogmatwanych, a trzeba przyznać, że niecierpliwość była już okropna, a nawet bolesna.

Uwydatniała się ona, jak zwykle w wielkich miastach, przez rozgłaszanie o zwycięztwach, pogłoski te znowu się rozbudziły, lecz autorów ich nikt nie znał. Pewnego dnia, jakiś niby żołniérz, który przecisnął się przez obóz nieprzyjacielski, przyszedł oznajmić, że książę Fryderyk Karol został dwa razy pobity przez naszą armią Loary, i że takowa ciągle coraz więcéj wzrasta. Opowiadanie miała miejsce, ale człowiek od którego o tém słyszano, znajdował się w stanie umysłowéj choroby, graniczącéj z pomięszaniem, a tém samém nie można było przywiązywać żadnéj wartości do jego wiadomości.

Co rano gazety publiczne nacierały na rząd,

aby przerwał milczenie; zdawało im się niepodobieństwem, aby rząd mógł nic nie wiedzieć złego lub dobrego, niepodobieństwem, aby nie miał nic do powiedzenia. Co jeszcze drażniło powszechną ciekawość, to, że w jednym z artykułów *Officiel*, które przez swoją ciemność i niezrozumiałość podobne były do wyroczni sybilskich, wsunęła się alluzya do zwycięztwa, jakie mieliśmy odnieść, a które mogło rozbudzić w nas nadzieję.

— Jakie powodzenia! zawołali chórem dziennikarze. Jeżeli wiécie co w tym względzie, dlaczego nie powiedzieć szczerze? Jeżeli zaś nic nie wiécie, pocóż mówicie o nich?

Rząd pokrył się togą dyskrecyi. Lecz urok w końcu zniknął. Mróz złagodniał, słońce zaświéciło. Gołębie, zatrzymane w drodze śnieżną zamiecią, przyleciały z Bordeaux w dniu 7 stycznia. Przyniosły pod skrzydełkami 20,000 depesz rządowych i prywatnych. Nazajutrz téż, po raz piérwszy od cztérech miesięcy, w słowach krótkich, ale niewypowiedzianie słodkich, otrzymałem wiadomość od moich, od tych co mię najbliżéj obchodzili.

## V.

Gambetta donosił nam przez swoje gołębie o działaniach trzech armij na północy.

Jenerał Faidherbe, cofnąwszy się do Vitry Arras i Douai, przedsięwziął w piérwszych dniach stycznia 1871 roku ważne kroki zaczepne, posunął się na południe do Arras, i stoczył przy Bapaume, 3 stycznia, wielką potyczkę, która miała trwać od godziny ósméj rano do szóstéj wieczór. Wypędził Prusaków ze wszystkich ich pozycyj. Szkody z naszéj strony, jak donosił raport, były dość znaczne, ale ogromne ze strony nieprzyjaciela. W kilka dni potém, wygrał nową bitwę pod Amiens i zajął to ostatnie miasto.

Chanzy i Bourbaki obchodzili nas jeszcze więcéj niż Faidherbe.

Chanzy został w Paryżu, nie domyślając się nawet, *bohatérem dnia.* Kiedy Aurelle de Paladines utracił łaski, w skutek opuszczenia Orleanu poraz drugi przez nasze wojska, Gambetta mianował Chanzy jenerałem, i opowiadając działania tego nowego wodza, w których zręcznie ocalał swoje wojsko, zapewniał własnemi słowami: że Chanzy jest prawdziwym wojownikiem, odkrytym przez wypadki. Nie trzeba było nic więcéj dla ludu łatwowiernego i zapalającego się prędko. Wszędzie tylko o nim mówiono. Wrażenie było tak silne, że istnieje jeszcze dotąd. W chwili kiedy piszę ten rozdział, wszystko skończone, zawieszenie broni podpisane, armia Loary znisz-

czona, nasze forty w ręku Prusaków, a jednak jeszcze dziś czuję w sobie nieokréślone uwielbienie dla Chanzy, chociaż i on zapewne został pobitym jak inni.

Co do Bourbaki'ego, ten miał dla nas zasługę, że wymknął się (nie wiémy jakim sposobem) podczas kapitulacyi z Sedanu i pochwycił na nowo za broń.

Piérwszy z tych jenerałów dał się dobrze Prusakom we znaki w okolicach Mans, i mordował ich marszami i przeciw-marszami. O drugim jeszcze nie wiedziano co zrobi; ale nie wątpiono również, że ma zamiar uderzyć na Fryderyka-Karola. Utrzymywano, że odniósł zwycięztwo pod *Nuits*, podczas kiedy Garibaldi wkraczał do Dijon.

Te wiadomości napełniły radością serca Paryżan. Wszystkie oblicza jaśniały nową nadzieją. Spotykano się na ulicach, wesoło ściskano się za ręce i wzajemnie zadawano sobie pytania:

— Jak myślisz, czy wydobędziemy się z tego?

— Tak mi się zdaje.

— Nieprawdaż?

Dodawano sobie wzajemnéj zachęty do wytrwania; wszyscy byli tak zadowoleni, że nawet lepiéj spoglądali na Trochu.

— Wiécie, że wszystko co robią ci jenerałowie, robią podług jego instrukcyj... Czekajcie, on

wié co robi... Jeżeli nie działa, to dlatego, że czeka szczęśliwéj chwili...

Wstydzę się poniekąd opowiadać o tych ciągłych wahaniach się opinii publicznéj, by nie wykazać, że my, Paryżanie, którzy uchodzimy za sprytnych i przebiegłych, jesteśmy tak chwiejnymi, łatwymi do zniechęcenia, do unoszeń, illuzyj. Ale cóż! Nie posiadam daru upiększania wydarzeń, i staram się przedstawiać je takiemi, jakie były. Historya, patrząc na nie z góry i oceniając ryczałtem, opiewać tylko będzie bohatérstwo téj obrony, i podziwiać chwalebną jéj stronę; świadkowie naoczni, przez to samo że patrzą na wypadki zblizka, muszą wnikać w szczegóły.

W innych czasach wystarczyłaby nam była ta otucha do zachowania cierpliwości przez trzy lub cztéry tygodnie: ale długie oczekiwanie zbyt już wyczerpało i rozdraźniło umysły; bombardowanie nie ustawało na chwilę, rozszerzając się ciągle na podobieństwo, że się tak wyrażę, plamy tłuszczowéj. Granaty sięgały z każdym dniem o setki metrów daléj, mówiono już o takich, które spadały nad samym brzegiem Sekwany. Forty nasze odpowiadały, ale jakkolwiek mówiono wiele o sile i doniosłości ich ognia, nam się zdawało, że artylerya fortów małą szkodę zrządzała pruskim bateryom; w każdym zaś razie nie zmuszała

ich do milczenia. Obiegały zresztą po Paryżu pogłoski, ze niektóre z tych fortów, mianowicie Issy, Vanves i Montrouge, znacznie już zostały uszkodzone.

Ile było prawdy w tych pogłoskach? Nikt nie wiedział, nikt bowiem nie mógł pójść zobaczyć. Buletyny pana Schmitz niebardzo były zaspokajające. Przypominaliśmy sobie, co mówił Bismark do Favra: „Jak tylko nam się spodoba, wezmiemy dwa wasze forty, w przeciągu 48 godzin.“ Ależ skoro tylko opanują forty, opanują i Paryż! Trzeba więc na gwałt opiérać się im i to za pomocą innych środków, niż ogień artylleryi, nie mogącéj iść w zawody ze sławnemi działami Kruppa.

Lecz jakież inne środki?

Codzienne wycieczki lub wyjście ludności całą massą; niech będzie co chce, byle działać, byle cóś zrobić. Z tém większém dopominano się o to naleganiem, że wiele osób uważało to gwałtowne i ciągłe bombardowanie, za podstęp wojenny. Mówili oni, iż Moltke dlatego tylko tak silnie bombarduje, ażeby nam zamydlić oczy. Podczas gdy nas głuszą strzały pruskich dział, wysyła on niezawodnie kilka korpusów swojego wojska dla rzucenia się na armią Chanzy'ego i zniszczenia jéj. Żeby zaś poprzéć swój sposób rozumowania ,lu-

dzie utrzymujący w ten sposób i głoszący o swoich blizkich stosunkach, rozsiewali wieść, że w jednéj z tajemnych depesz, Gambetta wyraźnie oburzał się na Trochu, wyrzucając mu otwarcie jego bezczynność.

Nie można wyobrazić sobie radości, jaką sprawiało całemu ludowi opowiadanie dzienników o małych różnych potyczkach. Nie było to nic ważnego, ta lub owa nawet nie powiodła się. Ale co to szkodzi! Widać że wódz naczelny zrozumiał konieczność czynnego wystąpienia. Proszono go, błagano, żeby robił jeszcze więcéj. Najpoważniejsze organa publicznéj opinii dawały mu zręcznie do zrozumienia, że jeżeli nie wierzył w stanowcze powodzenie, jeżeli nie czuł w sobie dość siły, dla przezwyciężenia zagniéwanego losu, powinien był koniecznie zdać naczelne dowództwo komuś śmielszemu i młodszemu.

Najwięcéj oburzano się na jego sztab, który żadnego nie wzbudzał zaufania. To pewna, że ten nieborak Schmitz w najśmiészniejszy zwykle sposób redagował swoje buletyny; nie jestto jeszcze dowodem, że ten kto jest złym pisarzem, ma być koniecznie miernym wodzem.

Oskarżano go wprawdzie o cóś gorszego niż mierność. Pospólstwo mówiło pocichu o zdradzie. Nie wspominałbym o tych pogłoskach, równie

niedorzecznych jak nikczemnych, gdyby nie to, że jenerał Trochu uznał za właściwe zaprzeczyć im w proklamacyi, rozlepionéj na murach. Zrobiono uwagę, że Prusacy wiedzieli zawsze naprzód, w ktorém miejscu będziemy ich atakowali, i że tym sposobem zastawaliśmy ich zwykle w pogotowiu. Któż mógł ich uprzedzać, jeśli nie poufni pana Trochu, którzy jedynie wiedzieć mogli o przedsiębranych wycieczkach. Ten drobny szczegół pokazuje, do jakiego stopnia drażliwości naprężone były umysły.

W całém téż mieście niewypowiedziana zapanowała radość, wszyscy poniekąd odetchnęli, kiedy zrana 19 stycznia zobaczono rozlepioną po rogach ulic, następującą proklamacyą rządu:

„Wróg zabija nasze żony i dzieci, bombarduje we dnie i w nocy, zarzuca granatami nasze szpitale, ze wszystkich piersi naraz wyrwał się okrzyk: „*do broni!*" Ci z pomiędzy nas, którzy mogą zginąć na polu bitwy, pójdą na wroga; ci, którzy pozostaną, zazdroszcząc, iż nie będą wstanie okazać się godnymi heroizmu swych braci, poniosą w razie potrzeby najcięższe ofiary, jako drugi środek poświęcenia się dla ojczyzny. Cierpieć i umrzeć, jeśli tego będzie potrzeba, ale zwyciężyć!"

Na téj proklamacyi nie był podpisany Tro-

chu. Dowiedzieliśmy się z rozkazu dziennego podpisanego przez Le Flô, że ponieważ jenerał stanął na czele wojsk, przeto minister wojny, pełni tymczasowo obowiązki gubernatora Paryża.

Zdawało się nam teraz, iż walka będzie gorąca. Trochu miał widocznie zamiar nie wracać już do Paryża. Chciał nakoniec albo przedrzéć się, albo zginąć na czele swych wojsk. Zaszczyt rozpoczęcia walki, przypadł tym razem na sławne pułki marszowe urochomionéj gwardyi narodowéj. Armia regularna nie miała zaufania do mieszczan przebranych za żołniérzy. Starzy jenerałowie z szyderstwem wyrażali się o ich wojskowych zdolnościach. Jeden z takich jenerałów miał powiedzieć:

— Gwardya narodowa chce, żeby jéj krwi upuścić, dobrze!

A jednak ci mieszczanie, ci pantoflarze, jak ich nazywano z ironią, zadziwili i armią regularną i gwardzistów ruchomych swoją powagą dobréj woli, swoją wojskową postawą, zapałem i poświęceniem. Nie powinienem być podejrzywanym o stronność w tych pochwałach; nie należałem do tych pułków gwardyi, albowiem z krótkiego wzroku niebezpieczniejszy byłem dla moich sąsiadów w szeregu, niż dla wroga. Powtarzam tylko to, co wielu wyższych oficerów mówilo do

mnie samego, co zresztą nikogo prawie dziwić nie powinno. Rzecz naturalna, że ludzie wykształceni, z pojęciami liberalnemi i patryotycznemi uczuciami, którzy walczyli *pro aris et focis*, prawdziwi obywatele, jeżeli nie ofiarowywali w potrzebie obrony miasta więcéj odwagi, niż żołniérze, którzy robią z tego rzemiosło, to przynajmniéj serce wytrwalsze i gotowe do poświęceń, otwartszą inteligencyą, zaparcie się siebie rozważniejsze. Ah! gdyby o tém wcześniéj pomyślano! gdyby z tego chaosu gwardyi narodowéj, któréj tak długo pozwolono wrzéć, w bezpożytecznem rozdrażnieniu, odrazu wydobyto sto tysięcy walecznych ludzi młodych i będących w możności noszenia broni, jakież wojsko moglibyśmy posiąść w przeciągu trzech tygodni! Ale poco ten bolesny żal? Co się stało, odstać się nie może! Nie mogę jednak myśléć o tém bez łez! O! nierozsądne i niedorzeczne przepisy guzikowe, formalne! Już na zawsze chyba zerwaliśmy z niemi! Odtąd równie stanowić będziemy naród pod bronią, nasi żołniérze będą obywatelami, a obywatele żołniérzami! zobaczą wtedy! zobaczą!... dzień odwetu może bliższym jest niż się zdaje!

Bataliony marszowe, przeznaczone do wyprawy, zgromadziły się w nocy i wesoło udały się w drogę z bronią i amunicyą. Z wielkim zapa-

łem zabrały po bardzo żywéj walce redutę Montretout i przez wyłom dostały się do parku Buzenval. Tamto ugodzony kulą, poległ człowiek, którego śmierć okryła cały Paryż żałobą. Byłto Henryk Regnault, malarz Salomé, obrazu cudownego żywością i kolorytem, który w poprzedzającym *Salonie* otrzymał wielką nagrodę, i obiecywał Francyi genialnego artystę. Miał dopiero 29 lat, a wszyscy znawcy jednozgodnie przepowiadali mu, że kiedyś zostanie naczelnikiem szkoły, i jednym z tych ludzi, którzy odnawiają sztukę i stanowią chwałę wieku.

Miał lat 29, zaczynał żyć, był zaręczony od lat dwóch z młodą dziéwczyną, która go kochała do szaleństwa; wystrzał karabinowy jakiegoś Niemca, który może niegdyś zamiatał nasze rynsztoki, rozwiał wszystko: szczęście, chwałę, radość, tyle spodziéwanych arcydzieł, spełzłych na niczém, straconych na zawsze, i oprócz tego narzeczona w rozpaczy, matka umierająca ze zmartwienia, naród i sztuka w żałobie! Oh! cóż to za niegodziwa, jaka głupia rzecz, wojna!

Wzburzony i niecierpliwy tłum oczekiwał na bulwarach i na ulicy Drouot buletynów z pola bitwy, które nadchodziły co godzina. Piérwszy napełnił nas na chwilę radością, która wkrótce zamienioną została na żal, niestety! Tak często

zwodziliśmy się sami, i żałowali przy końcu dnia zbytecznéj uciechy objawionéj za wcześnie. Drugi był już gorszym: mówił o mgle, która przeszkadzała obserwacyom. Trzeci i czwarty wskazywał nam dokładnie, że jeżeli nie byliśmy odepchnięci, to przynajmniéj nie postępowaliśmy wcale; ostatni, datowany o dziewiątéj rano, mówił dosłownie. „Nieprzyjaciel przy końcu dnia rzucił na nas massy artylleryi i piechoty. Musieliśmy cofnąć się ze wzgórz, jakie zajęliśmy rano. Straty z naszéj strony nie są jeszcze znane, od więźniów dowiedzieliśmy się, że ich straty były dość znaczne.“

## VI.

Czyż ciągle będzie to samo! Zawsze będąż nam opowiadać o niezliczonéj ilości artylleryi, która, przybywając zwykle przy końcu dnia, zmienia postać całéj bitwy! Ah! Czyż my wcale nie mamy artylleryi? Cóż zrobiono z temi setkami armat, któreśmy, wiedzeni zapałem patryotycznym, kazali ulać i ofiarowali rządowi, na obronę narodową? Zdaje się, że on je zachował, aby oddać Prusakom przy kapitulacyi. Te przykre wrażenia jeszcze się wzmogły, kiedy nam kazano przeczytać taką proklamacyą nazajutrz:

„Trzeba, mówił p. Trochu, bezzwłocznie dopomnieć się w Sèvres o zawieszenie broni, na dwa dni, podczas których pogrzebiemy trupów! i wywieziemy rannych.“

Dwa dni! Jakażto massa musi być trupów. I jakby na kommentarz do tego buletynu, gubernator dodawał w liście, który był ogłoszony z podpisem p. Schmitz: „Przyślijcie mi powozów i tragarzy ile tylko będziecie mogli.“ Zdawało się, że tu chodzi o uprzątnienie pola bitwy Waterloo.

W całym Paryżu nastąpiło głębokie zdziwienie, a po niém niesłychany smutek. Trudno uwierzyć, że ta sama gwardya narodowa, która się tak dobrze biła, rozproszyła te wrażenia. Każdy sądził, żeśmy straszną bitwę przegrali.

— Ale nie, wcale nie, mówili gwardziści, wydano nam rozkaz cofnąć się, cofnęliśmy się więc, ale z własnéj woli, nie będąc ściganymi, i nie domyślaliśmy się nawet, że to właśnie był manewr, który się nazywa w stylu mtlitarnym porażką. Wiele jest zabitych i rannych niezawodnie, ale nie tyle jak wam się zdaje. Jeżeli Trochu żąda tyle powózek i tragarzy, to dlatego, że zrobiło się błoto i że potrzeba dziesięciu koni, tam gdzie dawniéj podczas mrozu wystarczał jeden.

Powstał jednozgodny krzyk na niezręczność

naszych wodzów. Potém nadeszła rozwaga, pytano się: Czy to rzeczywiście niezręczność? Czy to raczéj nie wyrachowanie? Czy rozsiéwając przestrach między Paryżanami, nie chcą przypadkiem skłonić ich do poddania się? Ci którzy tak myśleli (a wkrótce myśleli tak wszyscy), zauważyli sposób w jaki *Journal officiel*, oznajmiał wiadomości, które otrzymywał z prowincyi przez gołębie.

„Można było, pisał rządowy monitor, odczytać dopiéro piérwsze frazesy depesz z Bordeaux: wskazują one pewne zatrzymanie się w działaniach armii wschodniéj i ważne zwycięztwa armij zachodnich.“

I przez dziwną politykę, rząd pokrył milczeniem co to były za powodzenia, które nazywał ważnemi, wyszczególnił za to czas, na jaki Chanzy zawarł zawieszenie broni.

Wkrótce dowiedzieliśmy się całéj prawdy; była przerażającą. Ten Chanzy, na którego tyle liczyliśmy, nie można już było wątpić, został pobity, wojsko jego rozproszone i zniesione. Ogłaszano nam co godzina depesze, i wydawano rozkazy dzienne; *Journal officiel*, dochodząc do miejsca gdzie miał mówić o porażce Chanzy, stawiał kropki... Ale jakże milczenie to było wymownem!

Z téj strony zatém było po wszystkiém; jednakże potrzeba nadziei była w nas tak silna, że znowu zwróciliśmy oczy na zachód. Tam mówiono nam o pochodach Bourbaki'ego, który przy pomocy Garibaldi'ego, stawał między wojskiem najezdniczém i jego ojczyzną.

— Jeżeli przetnie komunikacye Prusakom, mówiliśmy, możemy jeszcze być ocaleni. Połączy się z Faidherbe'm...

Bo liczyliśmy także na Faidherbe'a!

A jednak niepokój nasz wzrastał z każdą godziną! Bombardowanie, wstrzymane na chwilę naszym napadem na Montretout, rozpoczęło się na nowo z niesłychaną gwałtownością, dnia 24 z rana na Saint-Dénis. Chcieli oni zabrać ten fort, aby módz ulokować się tam i otworzyć ztamtąd silny ogień na Belleville. Sądzili, że ludność przedmieścia, zaniepokojona i wypędzona ze swoich dzielnic, wpadnie do Paryża, rozsiéwając przestrach i grabiąc co się da.

Tak więc groziła nam wojna domowa w niedalekiéj przyszłości. Tego już było zanadto! Nie mogliśmy liczyć na rząd; był on zupełnie zdyskredytowany. Istniał tylko dlatego, że nie mogliśmy znaléźć nikogo na jego miejsce. Ale ogromne panowało wszędy rozprzężenie w skutek jego bezwładności i niezręczności; szczególnie obwiniano

Trochu; pogłoski chodziły po Paryżu, że jego illuminizm przeszedł w szaleństwo; że był obłąkaniem pożérany; że widział świętą Genowefę, patronkę Paryża, i że w jednéj proklamacyi urzędowéj, na szczęście wstrzymanéj przez Juliusza Favre'a, powierzał mieszkańców stolicy, świętéj opiece. Ubierał się cudacznie. Nie trzeba nic więcéj w Paryżu, aby wydać się śmiésznym, szczególnie jeżeli się niéma powodzenia. Niepopularność wzrastała szybko i z takim hałasem, że rząd obrony narodowéj ujrzał się zmuszonym ustąpić: zadecydował więc, że dowództwo paryzkiego wojska będzie odtąd odłączone od prezydencyi rządu. Mianował jenerała dywizyi Vinoy naczelnym wodzem armii paryzkiéj, a zostawiając jenerałowi Trochu władzę prezydenta rady, zniósł tytuł i urząd gubernatora.

I tak spełniły się słowa pisma świętego: „Gubernator Paryża nie podda się nigdy.“ Powód do rozruchów był wielki. Pewno zauważyliście, że po każdéj wielkiéj katastrofie, stronnicy Kommuny ukazywali się z pośród ciemności, jak diabełki z zaczarowanego pudełka niespodzianek. Nie myśleliśmy już o nich, bo i dzienniki ich zamilkły, z braku publiczności, i, jak nam się zdawało, szeregi tych panów bardzo się przerzedziły. Jednakże choć nie wielu zostało z tych fanatyków, którzy nie cofali

się nawet przed myślą wojny domowéj; byli oni ciągle gotowi, i sądzili: że chwila właśnie nadeszła.

W nocy z soboty na niedzielę, garstka wichrzycieli wyłamała bramy Mazas, przy współudziale dyrektora więzienia, któremu dano dymisyą w dwa dni potém, i uwolniła kilku więźniów politycznych, między nimi nieuniknionego majora p. Flourensa. Banda udała się późniéj na 20-ste merowstwo, zrabowała 2,000 racyj chleba i wypiła beczkę wina za pomyślność odbudowanéj Kommuny. Uprzątnięto ich nazajutrz, bez żadnego oporu.

Ale niedługo potém, 101 batalion marszowy w liczbie 150 ludzi zbliżył się do ratusza i stanął na placu, właśnie w chwili, kiedy delegowani jakiéjś manifestacyi bezbronnéj wychodzili z audyencyi, udzielonéj im przez członków rządu. Kilka strzałów wypadło z téj grupy między oddziały mobilów bretońskich, strzegących ratusza. Jeden młody porucznik padł ugodzony trzema kulami. Mobile odpowiedzieli plutonowym ogniem. Zbiegł się wielki tłum, ale usłyszawszy strzały zaczęto się jakoś rozchodzić, krzycząc i popychając. Kilka ofiar zostało na ulicy. Zdawało się, że już po wszystkiém, gdy nagle otwiérają się okna domów, położonych wprost ratusza, i ztamtąd

wypadają gęste strzały z ręcznéj broni. Wydano rozkaz wojskom stojącym na placu wziąć te domy szturmem, schwytano w nich trzynastu zbrojnych gwardzistów i pana Sapia, dawnego dowódcę batalionu, który im przewodził. Wszystko trwało zaledwie dwadzieścia minut.

Tego dnia dopiéro poznałem jak rozległym jest Paryż. Było to w niedzielę, pogoda bardzo piękna, poszliśmy więc, ja z kilkoma towarzyszami, na bulwary. Ludność paryzka, która lubi korzystać zawsze ze słońca, licznie podążała na pola Elizejskie. Przypadkiem spotkaliśmy jednego z kolegów, który opowiadał nam że była bójka w ratuszu. Pobiegliśmy ku téj okolicy i spotykaliśmy wszędzie włóczęgów spacerujących, po których obojętnych minach było można poznać, że nic nie wiedzą o bójce, tak niedaleko się odbywającéj. W miarę, jakeśmy się zbliżali, fizyognomia miasta zmieniała się powoli: wszędzie stały ożywione grupy; zapaleni opowiadacze uliczni i tłum dążący śpiesznie na miejsce bójki. Przebyliśmy plac; za powozami ambulansowemi, w których znajdowali się ranni, spotkaliśmy prefekta policyi pana Cresson, który kazał nam przejść na drugą stronę, bo już wojska przybywały i otaczały miejsce buntu. Byliśmy na lewym brzegu; tam świszczały pruskie granaty, a nasze forty odpowiadały

im armatniemi strzałami. Był to nieustanny grzmot artylleryi. Przez most *des Arts* dostaliśmy się na plac *Théâtre-Français.*

Tłumy ludzi wychodziły z teatru, grano *Mariage de Figaro;* była to godzina, w któréj wychodzą dzienniki wieczorne, publiczność więc rozchodziła się kupować je po kioskach. My szliśmy ciągle aż do pól Elizejskich; dzieci bawiły się jak zwykle, a spacerujący przypatrywali się ciekawie szwadronowi kawaleryi, która szła ulicą z muzyką na czele. I wówczas przypomniałem sobie list żołniérza pruskiego, który dzienniki podawały nam w swoim czasie: „Nie wystawisz sobie, pisał on do matki, jak ten Paryż jest wielki! ale Paryżanie są zabawni ludzie, trąbią sobie po całych dniach."

To starcie, kiedy historyą jego bliżéj publiczność poznała, nie zrobiło wielkiego wrażenia. Wznieciło więcéj pogardy niż gniewu. Ilość oblegających była tak małą, że prędko przyprowadzono ich do porządku; ich przedsięwzięcie było tak niedorzecznem, że uważano ich raczéj za głupców, niżeli za spiskowych. Każdy czuł jednak, że byli to niebezpieczni głupcy, i że trzeba czémprędzéj skończyć z tymi wiecznymi wichrzycielami, którzy do tylu naszych klęsk chcieli jeszcze dodać wojnę domową. Rząd oskarżał pana Flourens

o spólnictwo i porozumiewanie się z nieprzyjacielem. Wiele osób tak myślało.

Byłoto jednak nieprawdopodobném. Minister pruski nie potrzebował już rewolucyi w Paryżu, by sobie otworzyć jego bramy. Nasze smutne położenie pogorszało się co godzina. Już teraz, oprócz Chanzy'ego, dowiedzieliśmy się o porażkach Faidherbe'a i Bourbaki'ego. Bourbaki, ta ostatnia nasza nadzieja, który dostawszy się między dwa nieprzyjacielskie wojska, zamiast nam przyjść na pomoc, sam zaledwie zdołał uciec! *Officiel* podawał nam te wiadomości jedna po drugiéj, bez żadnych komentarzy, jak gdyby chciał nam powiedzieć:

„Widzicie! oto jest położenie! cóż myślicie? cobyście zrobili, będąc na mojém miejscu?"

To milczenie oburzało nas i przywodziło do rozpaczy. Gdziekolwiek zwróciliśmy nasze spojrzenie, spostrzegaliśmy wszędzie niedwuznaczne oznaki blizkiego upadku. Rozdawano ludności po trzysta gramów chleba dziennie i po trzydzieści gramów mięsa końskiego. Trzeba było czekać trzy godziny, aby dostać swoją porcyą u piekarza lub rzeźnika, a często nawet miara była tak niedokładna, że biédni ludzie, którzy nie mieli nic innego do jedzenia, kiedy na nich przychodziła koléj, nie znajdowali już nic w magazynie. Często oddawałem mój kawałek chleba płaczącéj kobiécie:

— I cóż mam robić, mówiła, niéma chleba, ani środków zarobienia nań.

Ten chléb był tak niedobry, że się człowiek wzdrygał patrząc gdy leżał na stole. Wolałem jeść biszkopty, których miałem niewielki zapas. A jednak ten chléb był pożywieniem wielu niegdyś zamożnych rodzin. Robili sobie z niego zupę na winie. Dyarya zaczęła téż na dobre rozpościérać się.

Jednakże ludność była spokojną i zdecydowaną na wszystko. Było wiele smutku i skarg, jednakże nikt nie myślał o układach z Prusakami, któreby ukończyły te nieszczęścia. Umartwienia i prywacye nie miały granic; przytoczę jeden przykład: Paryż więcéj niż piętnaście dni nie miał wcale kąpieli, zabrakło węgla do ogrzéwania wody. Ciągle rekwirowano żywność, najniezbędniejszą; jednego dnia cukier, drugiego kartofle. Skutkiem rekwizycyi, przedmioty żywności znacznie drożały, a rząd, spostrzegłszy to, nie rekwirował daléj. Był to straszny i nie do opisania nieład. Bo jeżeli nie mogliśmy, w tych dniach nędzy, znaléźć jenerała, któryby nami dowodził, nie mieliśmy téż żadnego a żadnego organizatora, któryby nam administrował. Ręce opadały wszystkim ze zniechęcenia.

## VII.

Konieczność kapitulacyi dawała się czuć wszyskim prawie umysłom, napełniając je pomięszaniem i strachem. Dzienniki nie miały jeszcze odwagi wymówić tego słowa stanowczego i okropnego. Nie przestawały jednak zaklinać rządu (mówię przynajmniéj o rozsądniejszych).

— Waszym obowiązkiem jest, mówiły one co rano i pod różnemi postaciami, wiedzieć, wiele czasu możemy jeszcze wytrzymać i na jak długo żywność nam wystarczy i przedsięwiąć cóś w tym względzie. Czas wahania się już przeszedł; trzeba postanowień prędkich i energicznych. Jakież są wasze postanowienia? Jakiekolwiek one są, przyjmujemy je, ale dajcież nam je poznać.

Wiadomości najsprzeczniejsze rozchodziły się po mieście, co do zaopatrzenia w żywność Paryża. Optymiści mówili, że mąki wystarczy do 15 marca, ci którzy lepiéj byli poinformowani, i którzy mieli przystęp do ministeryum, utrzymywali, że zaledwie jej wystarczy na tydzień, i że 3 lutego miasto zostanie bez kawałka chleba. Milion ludzi umrze z głodu, zanim worek mąki lub zboża przywiozą koleją.

Opowiadano, że w ratuszu sam rząd umierał ze strasznéj niepewności. Zwołano do nadzwyczajnéj narady wszystkich wyższych oficerów armii, przedstawiono im stan żywności i położenie wojska i pytano każdego po kolei, co daléj robić, obiecując naczelne dowództwo temu, kto zechce wziąć na siebie odpowiedzialność obrony do ostatka. Od jenerałów przeszli do półkowników, potém do kapitanów, i każdy z nich, jeden po drugim, odrzucał ten niebezpieczny zaszczyt. Jeden tylko, jeżeli to co donoszono jest prawdą, podał z wielkim zapałem sposób niezawodny podług niego, dla zrobienia wyłomu w wojsku; ale utrzymywał znowu, że zrobiwszy raz wyłom, wpadnie się w próżnię z wojskiem bez amunicyi, bez żywności, które wkrótce zostałoby zniesione.

Nic już zatém nie pozostawało prócz traktowania o pokój. Wiele osób było przekonanych, że Juliusz Favre robił już kroki, i że publiczność dowié się o pokoju dopiéro po jego zawarciu. W całém mieście panowało nieopisane wzburzenie. W południe opowiadano, że Gambetta, przerażony tyloma niepowodzeniami, roztrzaskał sobie czaszkę, i że ta wojna zgubna, zaczęta samobójstwem *Prévost-Paradol'a*, kończyła się także samobójstwem Gambetty. O drugiéj zapewniano, że go zabito; o trzeciéj, że znajduje się w Lille

z Faidherbe'm; że nowy rząd został zaprowadzony na prowincyi pod przewodnictwem Thiers'a, który miał prosić lorda Lyons o wyjednanie ogólnego zawieszenia broni. Co jeszcze nadawało większéj wartości wieściom pokoju, to to, że ogień zwolniał z południowéj strony, bo Saint-Denis tylko było ciągle bombardowaném z równą gwałtownością. Nasze uszy przyzwyczajone do nieustannego huku artylleryi były zdziwione tą niespodziewaną ciszą.

Dwudziestego siódmego stycznia dowiedzieliśmy się nareszcie o naszym losie.

W *Journal officiel* ukazał się następujący artykuł:

„Dopóki tylko rząd mógł liczyć na pomoc z zewnątrz, obowiązkiem jego było nie zaniedbywać niczego dla przedłużenia obrony Paryża. W téj chwili, chociaż nasze armie jeszcze istnieją, koleje wojny, rozdzieliły je: jedna jest pod murami Lille, druga po za Laval, trzecia nad wschodnią granicą. Teraz straciliśmy wszelką nadzieję, by się mogły do nas zbliżyć, a obecne położenie nie pozwala nam dłużéj czekać. W takim stanie rzeczy, rząd miał obowiązek traktować o pokój. Układy właśnie teraz się odbywają. Każdy zrozumié, że nie możemy tu podawać szczegółów. Spodziewamy się jednak, że zasada najwyższéj

władzy ludu będzie zachowana przez natychmiastowe zwołanie zgromadzenia narodowego i że zawieszenie broni ma właśnie na celu zwołanie tego zgromadzenia; że podczas zawieszenia wojsko niemieckie zajmie forty; że zachowamy naszą gwardyą narodową nietkniętą, jakotéż jednę dywizyą wojska, i że żaden z naszych żołniérzy nie wyjdzie po za nasze terrytoryum.

Zbyt długo wyczekiwaliśmy téj wiadomości: zbyt dobrze byliśmy do niéj przygotowani, by nas miała uderzyć jak piorun. Trudno byłoby mi lepiéj porównać skutek jaki sprawiła ta wiadomość na nas, z czém inném, jak z mięszaniną uczuć sprzecznych, powstających w naszéj duszy na oznajmienie śmierci, która ma kończyć długą i bolesną chorobę. Ta śmierć była nie unikniona; ona uwalnia duszę z niezwyciężonego ciężaru, wyrywa się nam westchnienie nie zadowolenia, ale pewnego ulżenia: ah! to już skończone! wiemy czego się trzymać! już nie będziemy pożérani tą niepewnością, nie będziemy ofiarą tego bezustannego przypływu i odpływu nadziei i obawy. Następuje pewne osłabienie, pewne zwolnienie nerwów, zbyt często podniecanych. A z drugiéj strony ten nieszczęśliwy, który umarł, kochano go czule; jakkolwiek słabém było to światło nadziei, które tliło w sercach, zachowywano je sta-

rannie dopóki życie tchnęło w piersiach, i rozjaśniało twarz promieniem radości. A oto dziś wszystko skończone, naprawdę skończone; głuche szemranie na los, ponura boleść ogarnia tych którzy go żałują, i pogrąża ich w osłupieniu.

Takie były, o ile mi się zdaje, uczucia, jakie można było wyczytać na twarzy paryzkiéj ludności. Zdają się być z sobą w sprzeczności. Ale nasze serce już jest takiéj natury, że z cudowną łatwością łączy najdziwniéjsze sprzeczności. Ponad wszystkiém unosiła się tylko ta smutna pociecha: to nie nasza wina! brakowało nam ludzi, którzyby nami kierowali. Tę sprawiedliwość Paryż mógł sobie oddać, jak to nawet pan John Lemoinne, dowcipny polemik *Débats*, wyjaśnił w dzielnym artykule: powiedziawszy, że ci co najwięcéj ucierpieli w tém ostatniem upokorzeniu, nie byli to belwilczycy, którzy najbardziéj krzyczeli o zemście, ale cała ta uczciwa burżoazya, odważna, pracowita, poświęcająca się, która myślała o ojczyznie i kochała ją, i która od cztérech miesięcy utrzymywała cały opór, dziennikarz dodawał:

„O wy Francuzi z całéj Francyi! których serca złączyły się i pojednały pod wpływem tych krwawych zapasów, wy, w których duszę wléwamy w téj chwili gorzką boleść, powiédzcie sobie śmiało, żeście spokojni w sumieniu waszém, poświadcz-

cie się Bogiem i ludźmi, żeśmy pełnili powinność naszą aż do końca! Chwała Paryżowi, temu Paryżowi, tak niesłusznie spotwarzonemu, że do ostatniego dnia, do ostatniéj godziny, piastował godnie chorągiew całéj Francyi! Duch narodu, rozbity i rozproszony tyloma przeciwnościami, nadaremno usiłował się skupić. Bodajby w tych ciężkich próbach odzyskał samowiedzę i zaczerpnął siłę odrodzenia!"

Te patryotyczne słowa, były tylko odbiciem naszych myśli. Totéż zawieszenie broni nie spowodowało zamięszania, jakiego się słusznie obawiano. Kilka batalionów gwardyi narodowéj, uniesionych patryotyczną boleścią, sprzeciwiało się i chciało jeszcze pójść na nieprzyjaciela; niektóre z wolnych oddziałów połamały swoją broń; pomiędzy publicznością rozeszła się pogłoska, że kilku admirałów postanowiło raczéj zabić się niż poddać. Przytaczano między innymi admirała Saisset, który utraciwszy syna, młodego oficera zabitego kulą pruską, oddychał już tylko chęcią zemsty. Wszystkie te jednak zapały pierzchły. Nieubłagana fatalność, żelazną ręką powstrzymywała wszelkie zachcenia; i z głęboką boleścią, ale bez wybuchów gniéwu, odczytaliśmy na murach miasta proklamacyą, podpisaną przez wszystkich członków rządu narodowego:

*„Obywatele"*

„Konwencya, która kładzie kres oporowi Paryża, nie jest jeszcze podpisana, ale to nastąpi za kilka godzin.

„Warunki jéj są takie, jakie wczoraj wymieniliśmy.

„Nieprzyjaciel nie wejdzie do Paryża;

„Gwarya narodowa zachowa swoją organizacyą i broń;

„Dywizya z 12,000 ludzi zostaje nienaruszoną; co do innych wojsk, te pozostaną w Paryżu, pośród nas. Oficerowie zachowają swe szpady.

„Ogłosimy konwencyą, jak tylko podpisy będą zamienione, i jednocześnie damy poznać istotny stan naszego zaopatrzenia w żywność.

„Paryż chce być pewnym, że stawiał opór dopóki tylko było można. Cyfry, wykazane przez nas, posłużą za dowód niezawodny

„Wykażemy, że właśnie chleba wystarczy nam zaledwie do chwili nadejścia nowych zapasów, i że nie mogliśmy przedłużać walki, nie narażając na nieochybną śmierć dwóch milionów ludzi, kobiét i dzieci.

„Oblężenie Paryża trwało cztéry miesiące i dwanaście dni, bombardowanie zaś, miesiąc cały. Od 15 stycznia racya chleba ogranicza się na 300 gramach, a mięsa końskiego od 10 grudnia tylko

na 30 gramach. Smiertelność potroiła się. Jednakże, pośród takich niepowodzeń, ani jednego dnia nie było zniechęcenia.

Nawet sam nieprzyjaciel piérwszy oddał hołd moralnéj energii i odwadze, jakiéj ludność paryzka dała dowody. Paryż wiele cierpiał; ale rzeczpospolita skorzysta na tych długich cierpieniach tak szlachetnie znoszonych. Wychodzimy z kończącéj się walki zahartowani do walki na przyszłość. Wychodzimy z niéj z całym honorem, ze wszystkiemi nadziejami, pomimo cierpień obecnéj chwili; więcéj jak kiedykolwiek wierzymy w świetne losy naszéj ojczyzny.

*„Paryż, 26 stycznia 1871 r."*

Byłto 135-ty dzień oblężenia. Wszystko skończone, skończoné na zawsze. Zwiesiliśmy głowy, i powrócili do domu z oczyma pełnemi łez.

# EPILOG.

Dziś mamy niedzielę, 12-go stycznia. Paryż i Francya wybrała swoich reprezentantów, naród odzyskał dawne prawa. Paryż, zdeblokowany, może nareszcie komunikować się z prowincyą. Oboje podają sobie ręce i odbudują Francyą.

Oh! jakże były smutnemi te trzynaście czy cztérnaście dni! Ja sądzę, że nigdy i żaden naród nie doznał podobnych nieszczęść, jakie spadły na nas przez ten czas, który był tak krótkim, a wydał się nam nieskończonym. Nie były to nudy ziéwającego człowieka; byłto rodzaj czarnéj melancholii, osłabienie ogólne, ponury smutek, który, używając wyrażenia popularnego, ale energicznego, łamie ręce i nogi, a o którym Latynowie wyrażali się, że ubezwładnia członki i pozbawia sił, *vires que resolvit*. Nie ma się ochoty do niczego i zamyka się oczy, by nie widziéć tego, co się dzieje wkoło nas. Są to godziny niezwyciężo-

nych nudów, gdzie staje się dla ciebie obojętném wszystko co cię otacza, gdzie towarzystwo krępuje cię równie jak samotność, gdzie ma się ochotę zagłębiać w czarnych myślach, gdzie oddałoby się życie za jedno nic. Przestaje się być człowiekiem, i jeżeli zdarzy się wziąć do ręki dziennik, wówczas przychodzi ochota zawołać:

— Nie mówcie mi już o niczém; ta nędza i hańba, wszystko to jest mi obojętném. Nie należę już do tego świata. Idźcie precz, mam już dosyć!

A kiedy pod wpływem téj bezwładności wyszedłeś na ulicę, spotykałeś wszędzie postacie z wyrazem czarnego smutku. Nie mówię już o warunkach zawieszenia broni; bo i po cóż? cała Francya je zna. Wiedzieliśmy o tém dobrze, że nas oddano ze związanemi nogami i rękami podstępnemu i chytremu zwycięzcy. Każdy z tych artykułów uderzał nas sztyletem:

„*Prusacy nie wejdą do Paryża, dopóki trwać będzie zawieszenie broni.*“... a my dodawaliśmy sobie:

— Nie omieszkają jednak wejść, natychmiast po zawieszeniu broni, i to wejść uroczyście....

„*Gwardya narodowa nie będzie rozbrojona*“, a myśmy mówili do siebie, że to nie dla naszego honoru lecz przez zdradę; nieprzyjaciele nasi liczyli na wojnę domową; spodziéwali się, że pozo-

stawiając broń belwilczykom, wzbudzą zamieszki, a potém przyjdą i zawołają: „hola!“

Tę linią odgraniczenia, która oddzielała od resztek naszych wojsk linie niemieckie, śledziliśmy na mapie, i przekonywaliśmy się z boleścią, że czwarta część naszéj ojczyzny zostawała w ich ręku, ogołocona, spustoszona, ogłodzona karmieniem tych opasłych Niemców, którzy przechadzali się z pychą po okolicy, z impertynencką a zarazem gapiowatą miną, otaczając się kłębami dymu swoich fajek. Wschód stanowił wyjątek; tam jeszcze w najlepsze prowadzono wojnę, ale i ten wyjątek zwrócony był przeciw nam, by nas pozbawić ostatniego wojska, jedynego jakie się trzymało, ostatniéj naszéj fortecy, Belfort, która heroicznie wytrzymała bombardowanie.

Jakiż rozrzewniający widok naszych biédnych żołniérzy, wracających bez broni do wielkiego miasta! Ich powrót, niestety! nie miał w sobie nic wspaniałego. Brak karności, który nas zgubił, odjął téj wzniosłéj manifestacyi piętno wielkości, które mogłoby pozostać. Wszyscy ci nieszczęśliwi, prócz marynarzy i kilku wzorowych kompanij, powrócili brudni, wynędzniali, wielu nawet pijanych, nie ukrywając na wychudłéj twarzy zadowolenia ze skończonéj wojny. Spacerowali po naszych bulwarach, znudzeni, niezadowoleni, nie robiąc nic

po całych dniach, a my pytaliśmy się z tajemnym przestrachem, jaki wpływ może wywrzéć na te dusze wstrząśnięte zgubna bezczynność; ażali ci naturalni stróże porządku nie staną się podporą wojny domowéj? Około wałów, które były tak ożywione i dumne, które drwiły z nieprzyjaciela, mając tysiące armat, z otwartemi paszczami, pozostała pustynia. Gdzieniegdzie szyldwach przy zdjętém z lawety, albo odwróconém od Prusaków dziale; wszędzie obraz zniszczenia i rozpaczy. Ale co najbardziéj zasmucało, to ów pośpiech całego prawie pospólstwa, by czémprędzéj przejść bramy i podążyć do forpoczt pruskich, dla zakupienia żywności. Trzeba jednak dodać, na obronę tych nędzników, którzy wzbudzali w nas taki wstrętny widok, że Paryż zaczynał umiérać z głodu; że nieznośny chléb z otrąb, jedyne nasze pożywienie, był wydzielany w bardzo małéj ilości; że stan moralny, nie będąc podtrzymywany żadną już nadzieją, milczał przed wołaniem czczych z głodu wnętrzności; ale mniejsza o to, trzeba było lepiéj poczekać jeszcze. Jeszcze kilka dni cierpliwości! Można było jeszcze zrobić cóśkolwiek dla honoru francuzkiego imienia, kiedy się już przetrwało cztéry miesiące takich cierpień. Nie wszyscy jednak mieli tę odwagę. Liczny tłum cisnął się do pruskich forpoczt, wyciągając rękę, jedni, by otrzy-

mać jałmużnę z kilku kęsków chleba lub kawałka wędliny, inni, by kupić jakich wiktuałów; a byłto raniący serce widok, patrzéć na miny zuchwałe, i pogardliwą litość tych żołniérzy, którzy obserwowali te tłumy z uśmiechem i ruszając ramionami. Nic nieprzyjemniejszego nad obojętną i wymuszoną grzeczność ich oficerów.

Ta opłakana scena przeciągnęła się dłużéj niżbyśmy sobie życzyli. Prusacy, bądźto przez niemożność materyalną, bądź téż przez złą wolę, nie pośpieszali z zaopatrzeniem w żywność Paryża. Stawiali rozmaite zarzuty, przeszkadzali ruchowi, zatrzymywali wozy napełnione wiktuałami, a na wszelkie wołania odpowiadali: „*Nix, nix, pas passer!*“ Szeregi ogromne wozów czekały swojéj kolei, a ich woźnice tupali nogami i przeklinali. Każdy prywatny, przybywający z tłomoczkiem lub koszykiem pełnym chleba i baraniny, nie był pewny czy mu nie porwą jego zapasu. Wydostawszy się raz z rąk nieprzyjaciela, ludzie ci musieli obawiać się większego niebezpieczeństwa. Spotykali oddziały włóczęgów za rogatkami, którzy nie podlegali żadnéj policyjnéj kontroli; włóczęgi owi zajęli sobie miejsca między fortami a wałami, i tam, kiedy lud umiérał z głodu, rabowali ich w imieniu braterstwa. Wieśniacy nie śmieli puszczać się na te niebezpieczne drogi. Byłato ta

sama tłuszcza, która piérwszego dnia otwarcia targów zrabowała dwa czy trzy pawilony *Halles*. Nazajutrz zamknięto je, a żywność, która była trochę spadła z ceny, na wiadomość o zawieszeniu broni, podniosła się wysoko. Policya nie wdawała się wcale w te rozruchy, zostały one uspokojone przez zdrowy rozsądek publiczności. Dano do zrozumienia wszystkim, że jeśli chcą wstrzymać dowóz żywności do Paryża i podnieść jéj cenę, to niech przerażają sprzedających i niech zaprowadzą taksę. Co rano na targu był straszny tłok, kompletna licytacya przy mięsie, a szczególniéj przy rybach. Paryż przez tydzień cały miał jakąś nieopisaną chęć na świéżą rybę, która, przez swoją nieprzystępną cenę, była prawie niemożebną do nabycia.

Pamiętam, że w dwa dni po zawieszeniu broni, jeden z moich przyjaciół, który musiał udać się do Wersalu i przywiózł ztamtąd, wśród tysiącznych niebezpieczeństw, chleba białego i innych zapasów, zaprosił nas na obiad. Piérwsza potrawa była z ryby morskiéj gotowanéj, a druga ze smażonéj. Bułka szczególniéj sprawiła nam nieopisaną radość. Włożyłem jéj kawałek do kieszeni, a nazajutrz rozdzieliłem po malutkim kawałeczku między moich przyjaciół, jak to robią z poświęcanym chlebem na prowincyi.

W téj chwili, kto mógł opuszczał Paryż jaknajprędzéj. Od piérwszego dnia było 25,000 próśb o paszporta, a każdy utrzymywał iż wyjeżdża. Jedni wyjeżdżali na prowincyą, aby uściskać żonę i dzieci, inni znowu mieli niezwyciężoną chęć ujrzenia swoich wiosek i domów, położonych w okolicach Paryża, i przekonać się naocznie co się z niemi stało.

Wieśniacy nie domyślają się nawet jak mile widzi Paryżanin swoje małe *at home* letnie, które sobie najczęściéj kazał sam wybudować, które przyozdobił własnemi rękami, które przystroił pięknemi meblami i przedmiotami sztuki. Teofil Gautier opowiadał wrażenia, jakich doznał, gdy raz podczas oblężenia Paryża zdołał odwiédzić swoją piękną willę w aleach Neuilly, a każdy Paryżanin podzielał te jego wrażenia z równém uczuciem w tym wzruszającym obrazie.

„Nakoniec przybyliśmy do naszego domu, nie wiedząc czy znajdziemy chociaż jego ślad. Na zewnątrz nic się nie zmieniło. Głowa *Zwycięztwa* z Partenonu, na którą p. de Laborde przywiózł z Aten marmur, umieszczona na tle czerwonego marmuru w okrągłéj framudze, była na swojém miejscu: zwycięzka siostra Wenery z Milo; prześlicznych kształtów, *vis superba formae*, nieśmiertelny ideał piękności, opiekuńcze bóstwo biédnego

mieszkania. Jedno okno było otwarte, jak gdyby domek mieścił jeszcze swoich dawnych mieszkańców. To nam wydało się dobrą wróżbą. Zadzwoniliśmy, ogrodnik otworzył nam i weszliśmy z sercem wzruszoném do mieszkania nie większego jak mieszkanie Sokratesa, które nietrudno było napełnić przyjaciółmi.

„Kiedy się wchodzi do mieszkania oddawna pustego, zdaje się nam, że komuś przeszkadzamy. Niewidzialni goście, zamieszkali tam podczas twojéj nieobecności, usuwają się przed gościem; zdaje się, że uciekają przed tobą, pokazując ręby swych szat. Samotność i opuszczenie składają razem cóś tajemniczego, co cię zadziwia. Na twój widok duchy, które sobie cóś szeptały, milkną, pająk przędąc pajęczynę zawiesza swą pracę, nastaje głęboka cisza, a w pustych pokojach echo twoich kroków wydaje dziwne dźwięki. Najmniejsza szkoda nie była zrobiona. Nikogo tu nie było od czasu naszego wyjazdu. Skromne schronienie poety było uszanowane.

„Na kominku w naszym pokoiku tom Alfreda de Musset pozostał otwarty na téj saméj kartce. Na ścianie wisiała kopia głowy Ricard'a, którą zaczęła robić nasza kochana córka, tak daleko od nas będąca, niestety! która nie przeczyta i tego

artykułu. Flakonik perfum na toaletce rozsiewał zapach po jéj panieńskim malutkim pokoiku.

„Godzina się zbliża; bramy miasta zamykają teraz o piątéj. Przed opuszczeniem naszego zaniedbanego mieszkania, przeszliśmy się trochę po ogrodzie. Zmrok wieczorny zapadał a droga w aleach pokrywała się niebieskawą gazą. Wiatr silnie dmuchał, a zmrożone listki i ogołocone drzewa drżały i trzęsły się, jak gdyby im było zimno. Małe *dahlie* rozkwitały na grządkach, a stary kos z żółtemi nogami, dobrze mi znany, frunął, jak gdyby chciał mię przywitać. Dwa silne strzały armatnie, posłane jakby na dzień dobry pruskim redutom przez Mont-Valerien, nie zdawały się zbytecznie przestraszać ptaka, przyzwyczajonego do podobnych hałasów. Jest to ten sam ptak, który gnieździ się na każdą wiosnę w starym bluszczu, w zielonéj draperyi rzuconéj na murze, i śpiéwa przelatując koło moich okien, śmiejąc się, jak gdyby czytał to co ja piszę.“

Niewielu było tak szczęśliwych jak Teofil Gautier. Wszędzie ruiny! wszędzie gruzy! Chaton, Bougival, Marly, czarujące miejsca, w których spędziliśmy tyle przyjemnych i wesołych chwil, co oni z wami zrobili? Zapakowali i zabrali z so-

bą, jako ludzie zabiegli, wszystko, co miało jakąś wartość i dało się zabrać; a z dzikością i po pijanemu poniszczyli resztę. Wszędzie spotykam właścicieli ze zranioném sercem, którzy płaczą nad swoją siedzibą, opustoszoną lub zniszczoną! To są stracone miliardy! Lecz miliardy nie byłyby niczém! pocieszonoby się wkrótce po nich. Rana pieniężna nie jest śmiertelną. Ale tyle pamiątek zabranych, zniszczonych! Oh! Nie mówmy nawet o tém!

Wróćmy do Paryża. Nowiny, jakie ciągle nadchodziły, powiększały jeszcze pomięszanie i przestrach. Byłato chwila, w któréj Gambetta, zerwawszy z rządem, którego był delegowanym, wydał ów sławny dekret, mocą którego wszyscy ci, którzy występowali za cesarstwa, jako rządowi kandydaci, nie mogli być wybiéranymi. Sprawiło to okropne na nas wrażenie. Obawiano się już wojny domowéj w Paryżu; czyżby znowu prowincya miała powstać przeciw Paryżowi. Dowiedzieliśmy się jednocześnie, że Lyon ukonstytuował się w kommunę; że Marsylia nie uznaje zawieszenia broni; może i inne wielkie miasta pójdą za ich przykładem. Ze strasznym smutkiem patrzyliśmy w przyszłość. Organy stronnictwa radykalnego przybrały ton mowy wynioślejszy, ostrzejszy jak zawsze. Napadały na rząd z nadzwyczaj-

ną gwałtownością. Niestety! pod tym względem zgadzaliśmy się wszyscy: uczciwi ludzie, w których ręce powierzyliśmy nasze losy, nie zrobili tego co mogli i powinni byli zrobić, nie umieli wydobyć z zacnéj burżoazyi paryzkiéj żywiołów wytrwałości i siły, które zamykała w swém łonie. Ale pocóż te bezużyteczne zarzuty? Czas na nie już minął. Zbliża się dzień sądu.

Nadszedł już nawet. Zgromadzenie zwołane. O ile możemy o tém wnosić z wieści, jakie nas dochodzą, Paryż i inne większe miasta wybrały ludzi bardzo przychylnych rzeczypospolitéj, która, słusznie lub niesłusznie, otrzymała przydomek *czerwonéj*: prowincya, przeciwnie, głosowała z nadzwyczajném umiarkowaniem. To całe nieszczęście naszego położenia. Prusacy nie chcieli, byśmy się porozumieli. Trzymali oni do ostatniéj chwili Paryż w odosobnieniu od prowincyi. W chwili kiedy to piszę, listy odbiéramy bardzo rzadko i to odpieczętowane; nasze nie odchodzą wcale; tylko za pomocą kontrabandy otrzymujemy dzienniki, a niewolno nam wysyłać naszych. Jakżeż porozumieć się, kiedy każdy żyje w atmosferze swoich własnych myśli i uczuć!

Chcą nas do reszty zgnębić przez wojnę domową; ale zdaje mi się że im się to nie uda. Ufam w ten zdrowy rozsądek, który jest wyraźną cechą

ludu francuzkiego. Niesprawimy naszym nieprzyjaciołom téj wielkiéj radości. Jeżeli ta mała książeczka, poznajamiając lepiéj naszych braci z prowincyi z Paryżem i pozwalając im ocenić nas jak się należy przy naszych błędach, nie płynących bynajmniéj z natury, jeżeli, powtarzam, ta książka przyłoży się w jak najdrobniejszéj części do utrzymania zgody i pokoju, nie będę żałował tego, żem ją napisał.

Zacząłem ją nie powiem wesoło, ale z pewną szczerą żywością, w dniach nadziei i dumy. Stopniowo stawała się ona smutniejszą, aż nareszcie kończy się czarnemi myślami.

Starajmy się zapomnieć o nich! Niech każdy z nas wypełnia swój obowiązek, z oczyma zwróconemi na tę dewizę Paryża, na okręt, który powinien stać się dewizą całéj Francyi:

„*Fluctuat nec mergitur.*“

„Często miotany, nigdy nie zatonie.“

*Niedziela d. 12 lutego 1871 r.*

KONIEC.

## SPIS ROZDZIAŁÓW.


| | | Str. |
|---|---|---|
| ROZDZIAŁ PIÉRWSZY | Przed oblężeniem . . . . . | 1 |
| „ DRUGI | Przygotowania do oblężenia . . | 29 |
| „ TRZECI | Prusacy idą . . . . . | 55 |
| „ CZWARTY | Châtillon—Ferrières—Villejuif . | 87 |
| „ PIĄTY | Piérwsze dni oblężenia. — Fizyognomia moralna Paryża . . | 109 |
| „ SZÓSTY | Bourget. —Poddanie się Metz. — Manifestacya 31 października . | 139 |
| „ SIÓDMY | Życie domowe Paryża w październiku i listopadzie . . . | 192 |
| „ ÓSMY | Prowincya powstaje.—Bitwy pod Paryżem.—Bombardowanie się zbliża. . . . . | 242 |
| „ DZIEWIĄTY | Moralny stan Paryża w grudniu. Życie przednich straży. —Ambulansy. . . . . | 293 |
| „ OSTATNI | Bombardowanie.—Kapitulacya . | 340 |
| EPILOG . . . . . | | 396 |




LGARN
VKWARI



Biblioteka Główna
Akademii Obrony Narodowej
18914/1
11-018914-000-0